cena 15 PLN (w tym 8% VAT) www.panstwo.net indeks 211060 #232 04/2026

Małgorzata Matuszak
POKOLENIE ALFA: DZIECI CYFROWEGO ABSOLUTU

Krzysztof Karnkowski
PRL ZACZERNIONY OŁOWIEM

Antoni Rybczyński
AMERYKA TRUMPA. „POKÓJ POPRZEZ SIŁĘ"

NIEZALEŻNA GAZETA POLSKA

NOWE PAŃSTWO

Metoda Tuska

TSUNAMI POGARDY I KŁAMSTW

ISSN 1895-4960

OKŁADKA: MARIUSZ TROLIŃSKI

eprasa.pl d19016ffac

TEMAT NUMERU 4–11

Metoda Tuska. Tsunami pogardy rozbija bariery dla kłamstwa / 4

IDEE 12–34

Andre Malraux, czyli o kulturze, która nie jest festynem / 12

HISTORIA 36–55

Polski bohater z ONR... / 36

KULTURA 64–70

Z czego się śmiejecie?... / 64

ŚWIAT 76–98

Ameryka Trumpa. „Pokój poprzez siłę” / 76

Spis treści

TEMAT NUMERU

Piotr Lisiewicz
Metoda Tuska. Tsunami pogardy rozbija bariery dla kłamstwa 4
Dawid Wildstein
Tuska trzeba było wymyślić 9

IDEE

Mateusz Matyszkowicz
Andre Malraux, czyli o kulturze, która nie jest festynem 12
Jakub Maciejewski
Krucjaty – zwierciadło Zachodu 18
Jacek Rutkowski
Otworzyć na powrót bramy niebios 22
Ewa Polak-Pałkiewicz
Potrzebni nowi ziemianie 26
Małgorzata Matuszak
Pokolenie Alfa: dzieci cyfrowego absolutu 32

HISTORIA

Piotr Lisiewicz
Polski bohater z ONR. Szwargot żydowskich kramików i łoskot niemieckich czołgów 36
Dariusz Jarosiński
Peerel zaczął się we Lwowie w 1939 roku 42
Agnieszka Kowalczyk
Generał Elżbieta Zawacka. Jedyna polska cichociemna 48
Wacław Jędrzejewicz
Jak uratowano polskie złoto 54

KULTURA

Tomasz Łysiak
Z czego się śmiejecie? Czyli gogolowskie lustro 190 lat po premierze 64
Krzysztof Karnkowski
PRL zaczerniony ołowiem 68

ŚWIAT

Antoni Rybczyński
Ameryka Trumpa. „Pokój poprzez siłę” 76
Hanna Shen
USA kontra oś Iran–Chiny: walka o dominację 81
Stefan Czerniecki
Kobieta, która ocaliła papieża Wojtyłę 84
Hanna Shen
Tak minął miesiąc w Azji 92
oprac. Antoni Rybczyński
Agonia hydry. Islamska republika ajatollahów i strażników rewolucji 94

Stałe rubryki

Katarzyna Gójska
Zabijanie normalności
NA POCZĄTEK 3

Małgorzata Matuszak
Czym jest... cisza
KATECHIZM INTELIGENTA 35

Rozmowa Krzysztofa Wołodźki
Zwykłe dziewczyny, polskie losy
PRZYSPOSOBIENIE OBRONNE 56

Marcin Wolski
Komu sprzedał swą duszę Donald Tusk?
PAPKULTURA 63

Marek Kalinowski
Muzyka w cieniu wojny
DO GRAJĄCEJ SZAFY... 71

Krzysztof Wołodźko
Jednym obfitość, drugim strach
DZIENNIK LEKTUR 72

Tomasz Sakiewicz
Czy Tusk będzie miał swój kryzys
OSTATNIE SŁOWO 99

„NOWE PAŃSTWO”
DOSTĘPNE WYŁĄCZNIE W PRENUMERACIE!
Zamów na prenumerata.swsmedia.pl i zyskaj dostęp do treści, które mają znaczenie!

miesięcznik
WYDAWCA
SŁOWO NIEZALEŻNE Sp. z o.o.
REDAKCJA
02-056 Warszawa
ul. Filtrowa 63/43
e-mail: redakcja@niezalezna.pl
www.panstwo.net

NIEZALEŻNA GAZETA POLSKA NOWE PAŃSTWO

ZESPÓŁ
Stefan Czerniecki, Katarzyna Gójska (redaktor naczelna), Dariusz Jarosiński, Marek Kalinowski, Krzysztof Karnkowski, Agnieszka Kowalczyk, Piotr Lisiewicz, Ewa Polak-Pałkiewicz, Jakub Maciejewski, Małgorzata Matuszak, Tomasz Sakiewicz, Hanna Shen, Grzegorz Wierzchołowski, Marcin Wolski, Krzysztof Wołodźko

SEKRETARZ REDAKCJI
Martyna Hajdo-Trolińska
DYREKTOR WYDAWNICZY
Tomasz Sakiewicz
PROJEKT GRAFICZNY
Mariusz Troliński
DTP
Aleksander Razcwarkow
KOREKTA
Maria Fijołek, Irena Bišta-Kanciała

INFORMACJA O PRENUMERACIE
www.prenumerata.swsmedia.pl
prenumerata@swsmedia.pl
tel. 605 900 002

NUMER KONTA DLA PRENUMERATORÓW
NIEZALEŻNE WYDAWNICTWO SP. Z O.O.
BANK PEKAO SA
82 1240 5963 1111 0010 3867 3017
(przelew z zagranicy SWIFT: PKOP PL PW)

DRUK **LOTOS POLIGRAFIA Sp. z o.o.**

Redakcja zastrzega sobie prawo do skracania i redagowania tekstów.
ISSN 1895-4960

eprasa.pl d19016ffac

Katarzyna Gójska

Zabijanie normalności

Spór, nawet bardzo ostry, jest elementem demokracji. Granica zostaje jednak przekroczona, gdy władza sięga po narzędzia rodem z państwa policyjnego.

Niszczenie niezależnych i krytycznych mediów, publiczne obniżanie statusu niewygodnych dla rządzących dziennikarzy, wykluczanie ich z udziału w wydarzeniach otwartych, trwały bojkot niekontrolowanych stacji telewizyjnych, portali czy gazet, odbieranie im prawa zadawania pytań przedstawicielom rządzącej koalicji. I oczywiście systemowe niszczenie opozycji poprzez pozbawianie jej subwencji, prześladowanie poprzez działania organu ścigania, do tego nielegalnie przejętego i obsadzonego. I w końcu dowolne interpretowanie prawa – zgodnie z aktualną potrzebą polityczną – oraz tworzenie pseudoprawnych podstaw działań represyjnych. Wszystko to obserwujemy dziś w naszym kraju. Przeciętny obywatel może nie zdawać sobie nawet sprawy, jak dalece zostały naruszone normy demokratycznego państwa prawa, jak głęboka jest ofensywa antylegalności na życie publiczne w Polsce. Intencje koalicji 13 grudnia są czytelne do bólu – chodzi o ograniczenie wolności. Do wszystkiego, co w jej ocenie jest niewygodne i zagrażające. Mamy zatem systemowe atakowanie Republiki, odbieranie opozycji możliwości działania nawet poprzez ograniczanie jej możliwości wypowiedzi w parlamencie. A teraz, to nowość ostatnich dni, reglamentowanie możliwości wypowiedzi z mównicy sejmowej przedstawicielowi prezydenta. To naprawdę niesamowite, że problemem dla ekipy Tuska jest kilka wystąpień szefa KPRP i po dosłownie kilku takich przemówieniach Sejm przeprocedował ich ograniczenie! Istniejące przez lata prawo, które było postrzegane również jako dobry demokratyczny zwyczaj, zostało skasowane tylko dlatego, że mąciło spokój rządzącej w Sejmie większości. To najlepszy symbol kierunku, jaki obrała opisana przez Bachmanna i ogłoszona przez premiera „demokracja walcząca". I będzie szła dalej. Represje będą się nasilać, łamanie Konstytucji RP i ustaw przybierze na sile – przed Donaldem Tuskiem i jego politycznym środowiskiem czas walki o wszystko. Do wyborów parlamentarnych zostało półtora roku. Ten czas rządzący wykorzystają na zmaksymalizowanie szans utrzymania władzy, a kampania i głosowanie będą przebiegać w skrajnie nieuczciwych warunkach. Kluczowe jest zatem utrzymanie dużego kanału informacyjnego, całkowicie niezależnego od władzy. Znaczenie Republiki w zbliżającej się – a tak naprawdę już trwającej – kampanii wyborczej będzie jeszcze ważniejsze niż podczas wyboru prezydenta. ■

> Intencje koalicji 13 grudnia są czytelne do bólu – chodzi o ograniczenie wolności. Do wszystkiego, co w jej ocenie jest niewygodne i zagrażające.

eprasa.pl d19016ffac

eprasa.pl/19016ffa

Piotr Lisiewicz

Metoda Tuska. Tsunami pogardy rozbija bariery dla kłamstwa

To była najbardziej absurdalna scena po przejęciu rządów przez Tuska w 2023 roku. Premier ogłosił, że porodówka w Lesku nie została zamknięta. Miał pecha, bo o jej zamknięciu mówiły wcześniej zgodnie wszystkie media. No a w razie wątpliwości każdy obywatel mógł do niej przyjść, zadzwonić albo po prostu – to przypadek większości – ustalić w mediach społecznościowych, jaka jest prawda. Dlaczego Tusk mimo to skłamał? Z przyzwyczajenia? A może z przekonania, że jego oczywiste kłamstwo zwolennicy władzy wychwalać będą jako akt brawury i bezkompromisowości, właśnie dlatego, że jest oczywiste? To w sumie błahe na tle innych kłamstwo pokazuje stan psychiczny, w jaki wpędziły Polskę w 2026 roku rządy patologicznego kłamcy.

ILU. MARIUSZ TROLIŃSKI

eprasa.pl d1901efac

Zdrajca narodowy", który będzie „miał krew na rękach" i celowo „realizuje putinowską wizję wielkiej Rosji" – takie wyzwiska pod adresem prezydenta Karola Nawrockiego pojawiły się ze strony obozu Donalda Tuska po tym, jak zawetował on niemiecki SAFE. Sam premier ogłosił kłamliwie, że celem prezydenta jest polexit. Połączenie kłamstwa i pogardy to sposób Tuska, którego metodycznie używa on jako oręża politycznego od początków III RP. Czy to jeszcze działa?

Wiecznie żywe kłamstwo o polexicie

Jak zawsze najostrzejsze słowa wypowiada nie sam Tusk, lecz robią to jego współpracownicy, którzy owym stekiem bluzgów, które na zimno formułuje Tusk, wspierają oskarżenia wobec przeciwników. Taką rolę odgrywał niegdyś Janusz Palikot. Tym razem poseł Konrad Frysztak wykrzykiwał w Sejmie: „Jeśli kiedyś zginie polski policjant, polski strażnik graniczny albo funkcjonariusz SOP, to Nawrocki będzie miał tę krew na rękach i nigdy jej nie zmyje!". I dodawał, że „to zdrajca narodowy". Z kolei Przemysław Wiszniewski, z nadania obecnej władzy ławnik Sądu Najwyższego, członek zarządu Otwartej Rzeczpospolitej – Stowarzyszenia przeciw Antysemityzmowi i Ksenofobii, pisał w „Gazecie Wyborczej": „Nawrocki wetując ustawę zdemaskował się jako wróg polskiej racji stanu… Zależy mu jedynie na realizowaniu putinowskiej wizji wielkiej Rosji, która odzyska, co utraciła po '89 roku. Polska ma w jego planach powrócić do bloku wschodniego Europy". Pisał tak o prezydencie, który ścigany jest przez Rosję listem gończym.

A Tusk całe te emocje, których dwa pierwsze z brzegu przykłady podałem powyżej, kanalizował pod swoją tezę, mówiąc: „Jeśli oddamy władzę w 2027 roku tym, którzy chcą wyjść z Unii Europejskiej, to oni do tego doprowadzą i wyjdą z Unii Europejskiej. Ja naprawdę to wiem". Rzecz jasna nie podając na ową tezę śladu dowodu. Zresztą który to już raz pojawia się to polexitowe kłamstwo? Dokładnie 6 lat temu, w 2020 roku, Tusk dowodził: „Wszystkie, podkreślam, wszystkie działania PiS wpisują się precyzyjnie w rosyjską strategię rozbijania Unii Europejskiej i geopolityczną izolację Polski".

Islamiści Kaczyńskiego i Tusk walczący z rosyjskim gazem

Takiego Tuska znamy świetnie. Tego, który z obrońcy uchodźców zmienia się niemal w ksenofoba walczącego z imigrantami. Z wojującego antyklerykała w gorliwego katolika. Z przedstawiciela „aferałów" w pogromcę złodziei.

„Polacy muszą odzyskać kontrolę nad swoim państwem i jego granicami!" – tak jeszcze za rządów PiS zatytułował jeden ze swoich filmików Tusk. Ogłosił w nim: „Oglądamy wstrząśnięci sceny z brutalnych zamieszek we Francji. I właśnie teraz Kaczyński przygotowuje dokument, dzięki któremu do Polski przyjedzie jeszcze więcej obywateli z państw takich jak, cytuję: Arabia Saudyjska, Indie, Islamska Republika Iranu, Katar, [Zjednoczone] Emiraty Arabskie, Nigeria czy Islamska Republika Pakistanu […] Jarosław Kaczyński jednocześnie szczuje na imigrantów i chce ich wpuścić setki tysięcy".

„Ewa Kopacz miała już przygotowany projekt dość podobny do 500 plus z podobnymi skutkami, ale ona była w tym ostatnim roku porządkowana sytuacji po światowym kryzysie finansowym" – twierdził Tusk w lipcu 2021 roku. Wcześniej wielokrotnie uzasadniał, dlaczego był przeciwnikiem tego programu.

„Mamy ważne kontrakty rosyjskie, to wiadomo, że my tego norweskiego gazu za dużo nie potrzebujemy. W związku z tym polski rynek jest za mały dla Norwegii, żeby inwestować w tak potężne przedsięwzięcia, jakim byłby gazociąg" – mówił Tusk w marcu 2014 roku. „To ja zaproponowałem Norwegom pracę nad Baltic Pipe" – stwierdził w marcu 2023 roku.

Podobne przykłady podawać można nie dziesiątkami, a setkami. I jakoś kłamstwa te uchodzą Tuskowi na sucho. Po Rafale Trzaskowskim od razu widać, kiedy bezczelnie kłamie. Tusk z jakichś powodów dla części słuchaczy pozostaje wiarygodny.

Prawdomówność objawem słabości

Naukowcy prowadzą badania nad zjawiskiem patologicznych kłamców. Psycholog Tomasz Witkowski w czasopiśmie „Niebieska Linia" (nr 5/2004) przedstawiał następujące wyniki badań: „Analiza 19 przypadków patologicznych kłamców i osób angażujących się w patologiczne oskarżenia wskazuje, że większość z nich posiada wyjątkowe zdolności językowe […] Większość patologicznych kłamców jest świadoma swoich zdolności np. do tworzenia długich i barwnych kompozycji językowych".

Jak stwierdzał, istnieją po prostu naturalni kłamcy: „Autorytety w dziedzinie badań nad kłamstwem, a do takich można zaliczyć Paula Ekmana, piszą o naturalnych kłamcach. Zdaniem Ekmana, ludzie ci już w dzieciństwie nabywają przekonanie, że potrafią wprowadzić w błąd swoje otoczenie. Nie odczuwają żadnego strachu przed przyłapaniem na oszustwie". Hipotezę w tej sprawie przedstawił Paweł Kukiz. Zwrócił on uwagę na to, że sam Tusk opowiadał, iż ojciec bił go w dzieciństwie. I dlatego, według Kukiza, musiał nauczyć się już jako dziecko perfekcyjnie kłamać.

Jak opisuje Instytut Badań Wariograficznych, u patologicznych kłamców „kłamstwa są budowane na zasadzie piramidy, gdyż jedna zależność rodzi następną". Zaś wśród atrybutów, które patologiczni kłamcy przypisują kłamstwu, jest ten, według którego „możliwość umiejętnego kłamania oznacza siłę, podczas gdy prawdomówność to często oznaka słabości".

Przecież to właśnie widzimy na konwencjach KO i wiecach Donalda Tuska, w czasie których ich uczestnicy świetnie wiedzą, że Tusk kłamie, ale wywołuje to podziw na ich twarzach. Z nutką zazdrości: aż tak zgrabnie kłamać żaden z nas by nie potrafił.

eprasa.pl d19016ffac

Szokująca opowieść Przemysława Sytka. Odkręcone śruby w kole

Chyba najbardziej szokująca, gdy chodzi o początki działalności Tuska w III RP, jest opowieść Przemysława Sytka. Mówi on o tym, jakimi metodami Tusk osłaniał złodziejstwa z lata 90., gdy stał na czele Kongresu Liberalno-Demokratycznego. W latach 1991–1993 Sytek był posłem zasiadającym w kluczowych z punktu widzenia transformacji komisjach sejmowych – komisji systemu gospodarczego oraz komisji budżetu i finansów. Głośna była wówczas sprawa NFI, czyli Narodowych Funduszy Inwestycyjnych.

Sytek, w młodości działacz podziemnego Niezależnego Zrzeszenia Studentów, poseł Konfederacji Polski Niepodległej, zgłosił projekt, który był bardzo niewygodny dla partii Tuska. – Żeby te firmy, które przyjadą tu, by zarządzać NFI, były traktowane choć trochę uczciwie. Zaproponowałem, żeby, skoro dostają majątek do zarządzania, wpłaciły do Skarbu Państwa 5 proc. jego wartości jako gwarancję. Że jeśli to zarządzanie im nie wyjdzie, to te 5 proc. przepadnie – opowiadał „Gazecie Polskiej".

Wtedy w komisji systemu gospodarczego jej przewodniczącym był poseł KLD Jarosław Ulatowski, a jego zastępcą Sytek. Ulatowski zaprosił go na swoje urodziny w Sali Lustrzanej. Tam zaproponował mu rozmowę z Tuskiem. – Na końcu sali był stoliczek, stała na nim buteleczka z whisky. Siedział sobie w jednym fotelu Donald Tusk i poprosił mnie, żebym usiadł w drugim. Tusk powiedział, że obserwują mnie i w tej Konfederacji Polski Niepodległej ja się marnuję. I że mógłbym przejść do nich. To jest bardzo proste, wystąpisz z klubu, trzy miesiące będziesz posłem niezależnym, a potem przyjdziesz do nas – wspomina Sytek.

Co Tusk miał mu zaoferować w zamian? – Mieli mi umożliwić zakup działki wielkości 1500 metrów w centrum Warszawy. Zapytałem, za co niby miałbym kupić tę działkę. „Z kredytu". Zaśmiałem się. „Ja nie mam możliwości wzięcia takiego kredytu". Powiedzieli, że kredyt załatwią, a potem dokonają podziału tej działki. Sprzedam połowę i za to spłacę kredyt. Geodetę, co tym się zajmie, już mają. I jestem ustawiony do końca życia.

Mimo nacisków Sytek odmówił. Jakiś czas później coś dziwnego zaczęło się dziać z jego samochodem. Doszło do tego w czasie niedzielnego wyjazdu z dziećmi na lody na Stary Rynek w Poznaniu. Być może poseł wykrył uszkodzenie samochodu dlatego, że jest inżynierem, absolwentem Politechniki Poznańskiej. – Na ulicy Zawady był bruk, słyszę jakiś hałas w samochodzie. Jestem silnikowcem, więc sprawdziłem, co się dzieje. Nic się nie zdarzyło. Pojechałem dalej po asfalcie, na lody z dziećmi na Stary Rynek. Kiedy wracałem, na tym samym odcinku znów to samo. Kopnąłem w koło. Słyszę brzdęk. Uklęknąłem. To był samochód, który miał śruby samozaciskowe. Wystarczyło tylko lekko dokręcić śrubę i ona się trzymała, wyglądała jakby była zakręcona. Tylko od strony kierowcy miałem przykręcone koło. A wszystkie trzy pozostałe koła na jednej śrubie się trzymały. Gdyby odpadło jedno koło, zaraz odpadłyby dwa kolejne. Mógłbym zginąć – relacjonuje. Tusk zaprzeczył, by stawiał wspomniane propozycje Sytkowi.

Werbowanie uczciwych do mimowolnego legitymizowania oszustwa

Krzysztof Wyszkowski, działacz Wolnych Związków Zawodowych, pomysłodawca nazwy Solidarność, mówił, że takie działanie Tuska jak próba pozyskania Sytka były standardem. – Proponował mi uwłaszczenie się na Bramie św. Ducha nad Motławą w Gdańsku w zamian za udostępnianie sali w tym budynku na zebrania działaczy Kongresu Liberalno-Demokratycznego. Ja oczywiście odmówiłem.

Tusk zaprosił Wyszkowskiego do KLD, by uwiarygadniał swoim autorytetem działalność tej partii. Podobnie było w Krakowie z opozycjonistą Radosławem Hugetem. Huget wspominał: – Oni stworzyli nawet w Krakowie przedstawicielstwo Ministerstwa Przekształceń Własnościowych. Ja miałem sprywatyzować Żeglugę Krakowską. Na szczęście się w to nie wpieprzyłem.

Zarówno Wyszkowski, jak i Huget zrozumieli, co mają uwiarygadniać, i odeszli z KLD. Jak opowiada Huget, jego rozstanie z Tuskiem było bardzo gwałtowne. – Mówię: Ty, Donald, to, co się dzieje, to, delikatnie mówiąc, świństwo jest, co my tu robimy? On żarł w Sejmie te swoje kołduny pieprzone. I popatrzył na mnie, do dzisiaj to pamiętam, jakby był latającą ośmiornicą. Jakiś kosmita.

Jak mówił „Gazecie Polskiej", gdy wyszedł z KLD, partia ta postanowiła go zniszczyć. – Miałem poważne problemy finansowe. Najpierw myślałem, że może czegoś nie umiem, ale szybko przekonałem się, że to wszystko było kontrolowane. Oni chcieli, żebym wrócił do nich na kolanach. Miałem rodzinę – żonę, dwójkę małych dzieci. Nie miałem na jedzenie i taka była ta moja wolna Polska. Musiałem wyjechać, myć garnki do Anglii. No i tam jestem do dzisiaj.

Nikt tego dziś nie pamięta, ale już wtedy Tusk stosował metodę bezczelnego kłamstwa, w obronie prywatyzacyjnego złodziejstwa. „Mogę stanąć nago na głowie na szczycie Pałacu Kultury i powtarzać, że prywatyzacja już przyniosła Polsce biliony złotych, że polskie przedsiębiorstwa są mało albo nic niewarte i dlatego są tanio sprzedane" – mówił w „Gazecie Wyborczej" z datą 14–15 sierpnia 1993 roku.

Rokita: Jak Tusk wymyślił budowanie nienawiści. I Palikota

Dalszy etap niszczenia polskiej polityki przez patologicznego kłamcę opisał kolejny z jego bliskich współpracowników – Jan Rokita – w rozmowie z Pch24.pl: „Tusk wymyślił – ja dokładnie wiem kiedy, rozmawiałem z nim wtedy na ten temat – koncept radykalnej polaryzacji i budowania nienawiści wobec PiS-u, a konkretnie wobec braci Kaczyńskich".

eprasa.pl d19016ffac

Wskazał na rolę, jaka miała przypaść w tej sprawie Januszowi Palikotowi: „W 2005 roku uznano, i to był ten kluczowy moment, że to jest zadanie totalne, że to trzeba robić cały czas. Trzeba w związku z tym szukać najrozmaitszych sposobów, insynuacji. Wtedy wymyślił Palikota, który miał tę metodę zastosować w praktyce".

Były polityk PO wskazał na moment, w którym Janusz Palikot miał odegrać wyznaczoną mu wcześniej rolę. Jak przypomniał Rokita, był to okres, w którym „prezydent Lech Kaczyński był najbliżej zaproszenia Ukrainy do NATO w Bukareszcie 2008 roku, bo przekonał do tego Busha". Jak zaznaczył, był to sukces ówczesnego prezydenta: „To w tamtym czasie – na polecenie Tuska – w Warszawie Palikot zwołał konferencję prasową, podczas której oświadczył, że cały świat poszukuje w Bukareszcie prezydenta Polski, który się zamknął od kilku godzin w klozecie i nie chce z niego wyjść, bo się boi". „Gdy Palikot jest w formie, to jego wybryki ożywiają polską politykę" – mówił Tusk w rozmowie z Onetem 27 czerwca 2010 roku.

Kłamstwo Tuska bywało w III RP doskonałe, gdy istniał monopol

Kłamstwo Donalda Tuska bywało w III RP kłamstwem doskonałym, gdy udawało mu się osiągnąć warunki zewnętrzne zbliżone do tych, które opisał Józef Mackiewicz w powieści „Droga donikąd". Jeden z jej bohaterów, Tadeusz, mówi: „Bolszewicy dokonali naprawdę epokowego wynalazku […] Natura ludzka, wskutek swej niedoskonałości, nie jest w stanie posiąść prawdy absolutnej. W tych warunkach kłamstwo w dziedzinie psychicznej jest zjawiskiem równie naturalnym, jak, powiedzmy, w dziedzinie fizycznej jest nim żywioł powietrza, wody i tak dalej, bez których nie możemy się obejść. Niezależnie od tego, czy będzie to kłamstwo złe, złośliwe, czy też niewinne, towarzyskie, czy, jak bywa, miłosierne".

Oczywistość? Tak, ale komuniści wyciągnęli z tej oczywistości wnioski, jakich nie wyciągnął nikt dotąd w historii. Tadeusz objaśnia: „[…] ongiś znalazł się wielki wynalazca, który pod żywioł wody podstawił koło […] Identycznie zrobili bolszewicy: pod naturalny potencjał ludzkiego kłamstwa podstawili młyńskie koło […] żeby przepytlować ludzką psychikę". Bolszewicy ustalili, że „skoncentrowane kłamstwo ludzkie posiada siłę, której granic na razie nie znamy, że można dokonać przewrotu gruntownego w takich dziedzinach, jak mowa ludzka, znaczenie słów itd.".

Na czym polega „technika bolszewicka"? Tadeusz objaśnia Pawłowi. „Bolszewicy […] wskazują sufit i mówią od razu: »Widzicie ten sufit… On jest czarny jak smoła«. […] Ty myślisz, że to jest ważne dla ludzi, że prawda jest odwrotna? […] A oni się przekonali na podstawie praktyki, że to wcale nieważne". Niemożliwe? Tadeusz zwraca uwagę, że niemożliwe może być coś jedynie dopóty, dopóki istnieje możliwość wytknięcia kłamstwa palcem. Z chwilą „gdy palec zostanie sparaliżowany, wszystko staje się do pomyślenia".

Big Brother pod krzyżem pamięci

Tak jak było w powieści Mackiewicza, było też w Polsce w 2010 roku. Szczytowym osiągnieciem Tuska jako kłamcy było zatuszowanie rosyjskiej zbrodni w Smoleńsku za pomocą Big Brothera pod krzyżem pamięci na Krakowskim Przedmieściu. Trzy prorządowe telewizje nadawały przekaz: jeśli nie wierzysz w to, że w sprawie Smoleńska Rosjanie prowadzą rzetelne śledztwo, to jesteś taki jak ci spod krzyża. A jacy oni są? Starzy, sklerotyczni, tępawi, zdewociali, słabi, niepełnosprawni. A jednocześnie niebywale agresywni, sfanatyzowani i usiłujący terroryzować resztę obywateli. Trudno wyobrazić sobie kogoś budzącego większe politowanie niż agresywny słabeusz.

Telewizyjne migawki pokazywały: ci, którzy są młodzi, pełni życia, robią sobie jaja z takich jak oni. Filmiki w internecie to był już Big Brother ekstra, tylko dla dorosłych: mogliśmy zobaczyć, jak popychają ich, plują na nich, oddają mocz na ich znicze. Może to niеładnie, ale tamci aż się o to proszą przez swoją agresję – brzmiał przekaz.

Wnioski dla widza: nie gadaj o Smoleńsku, bo jak będziesz bredził o zamachu, będziesz taki jak ci, na których plują i oddają mocz. Na pewno tego chcesz?

Każdy dziennikarz wie, że wszystko można było przedstawić odwrotnie. Pokazać w telewizji rosyjskich pisarzy, inteligentów, obrońców praw człowieka, którzy powiedzą to, o czym w Rosji wie każdy człowiek z ulicy: niezależność rosyjskiej prokuratury czy sądów od rządu to fikcja. Można było pokazać młodych, profesjonalnych polskich prawników mówiących rzeczowo, z przykładami, że śledztwo jest prowadzone skandalicznie, a rosyjskie i polskie instytucje zajmujące się dochodzeniem to nieprofesjonalny, postkomunistyczny skansen.

I znowu: Tusk nie pluł osobiście na osoby modlące się pod krzyżem. On tylko uruchomione przez aparat medialny emocje kanalizował pod własne kłamliwe tezy: nie było zamachu w Smoleńsku, a śledztwa rosyjskie (!) i polskie były wiarygodne.

Czarnkizm, czyli nie odstawiamy nogi

W 2026 roku kłamstwa i pogarda wracają znowu jako wybuchowa mieszanka, ale to wcale nie musi się udać. Inaczej niż w 2010 roku nie ma jednolitego frontu medialnego, bo największą oglądalność ze stacji informacyjnych ma Telewizja Republika. Prezydent Karol Nawrocki pokazał w kampanii wyborczej, że jest typem osobowości, po której hejt spływa. Do tego ma największe poparcie wśród najmłodszego elektoratu, więc operacji ze sklerotycznymi wariatami nie da się powtórzyć. Wreszcie kandydatem PiS na premiera został prof. Przemysław Czarnek, który jest lepszym mówcą od Tuska i „nie odstawia nogi", potrafiąc mocniej i nie bez ironii odpowiedzieć na każdą obelgę. Machina pogardy i kłamstw natrafiła na poważne przeszkody. ■

Poszerzona wersja tekstu, który ukazał się w „Gazecie Polskiej" nr 13/2026.

eprasa.pl d19016ffac

Kłamstwo jest fundamentem polityki Tuska, jego istotą. Jednocześnie jednak zmieniało się ono przez kolejne lata. Niczym coś żywego – dojrzewało, tworzyło nowe formy, dostosowując się do dynamiki ekosystemu politycznego. Warto więc przyjrzeć się tej swoistej ewolucji, zastanowić się, co w tym kłamstwie jest rodzajem akcydensu, efektem chwilowej sytuacji politycznej, co zaś jest jego niezmienną esencją.

Dawid Wildstein

Tuska trzeba było wymyślić

ILU. MARIUSZ TROLIŃSKI

Jednym z najważniejszych elementów propagandy uśmiechniętej Polski, jej swoistym znakiem rozpoznawczym, jest pogarda wobec współobywatela i oferowanie swoim zwolennikom „wyższego" statusu społecznego. Jest to oczywiste kłamstwo, które służy tylko intensyfikacji wewnątrzspołecznego konfliktu, jednak nie ma innego przełożenia na rzeczywistość. Karmiąc aspiracje wyborców Tuska, jednocześnie w żaden sposób nie spełnia tego, co obiecuje. Zwolennicy uśmiechu nie tylko nie stają się nagle lepsi, nie poprawia się też ich byt, nie zwiększa pensja czy metraż mieszkania. Jednocześnie jednak, poprzez umiejętne żerowanie na kompleksach i wspomnianych aspiracjach, tworzenie tego typu dystynkcji okazuje się idealnym sposobem, za pomocą którego można ukryć proces niszczenia państwa i debaty publicznej.

Dziedzictwo Michnika i „Wyborczej"

Zauważmy jednak, że opisane powyżej kłamstwo, nazwijmy je na potrzeby tego tekstu „kłamstwem aspiracyjnym", wcale nie zostało wymyślone przez Tuska i jego ekipę. Uśmiechnięty premier i sprzedane mu media, budując wokół tego fałszu swoją propagandę, wykorzystały już wcześniej obecną w przestrzeni publicznej narrację. I to jedną z najważniejszych, bowiem mowa tu o kłamstwie będącym legitymizacją powstania systemu III RP. Sposobem, w jaki zdołano usprawiedliwić patologie transformacji i dominację postkomunizmu. Mafijny układ między byłą nomenklaturą oraz częścią antykomunistycznej opozycji, umożliwiający wspomnianej grupie kontrolowanie zasobów państwa, przedstawiono jako efekt ich zasług. Jako właściwie naturalny efekt inteligencji, obrotności, umiejętności odnalezienia się w nowych warunkach. To kłamstwo nie tylko ukrywało gangsterski charakter wspomnianego układu, robiąc z niego wypadkową obiektywnych warunków wolnego rynku, w których każdy miał równe szanse. Dodatkowo dawało idealne narzędzia narracyjne do ataku na tych, którzy ośmielali się kwestionować nowe status quo.

Wyjątkowo wartościowa poznawczo w tej materii jest lektura tekstów „Wyborczej" z lat 90. (pamiętajmy, że nie był to wtedy po prostu biuletyn propagandowy władzy, tylko była to potężna instytucja, współtworząca kształt Polski). Każde oskarżenie nowego systemu i jego beneficjentów było natychmiast neutralizowane specyficzną propagandą, będącą melanżem klasizmu, infantylnego moralizowania oraz radykalnej pogardy wobec przeciwnika. Ci, którym nie podobała się transformacja, okazywali się małymi, zawistnymi ludźmi. Oskarżając polityków III RP o korupcję, czynili to nie z troski o państwo, tylko z zazdrości oraz z potrzeby zemsty. Z prymitywnych emocji, z chęci bycia „elitą", do której jednak nie pasują jako reprezentanci ciemnogrodu i tej gorszej Polski. Przedstawiano ich więc jako ludzi, którzy nie dorośli tak do demokracji, jak i do Europy. Relikty starych czasów, które powinny odejść. Jednocześnie własnym odbiorcom postkomunizm i jego nośniki, takie jak „Wyborcza", wmawiały, że są właśnie tą nową, lepszą Polską. Że wyrwali się z zaściankowatości, że stali się, dzięki właściwemu oddaniu głosu, Europejczykami, że stoją po stronie tych, którym się udało, po stronie sukcesu. Konstytutywnym elementem tej narracji było jej wypłukanie z realnych kwestii politycznych, za to wypełnienie jej sloganami odwołującymi się do kompleksów i aspiracji swoich wyborców. Nie jest ważne, w jakim stanie jest państwo, co robi dany polityk etc., liczy się tylko to, że jesteś po stronie zwycięzców.

Co zmienił Smoleńsk

Wszystkie opisane powyżej elementy widzimy też w propagandzie PO w 2005 roku. Jest ona tak samo pusta i plastyczna. Skoro polityka, rozumiana jako troska o państwo, o dobro wspólne, jest w tej narracji nieistniejąca albo drugorzędna względem zaspokajania aspiracji odbiorców, to poglądy na jej temat można dowolnie kształtować. Dla wyborcy najważniejsza ma być identyfikacja jako ten lepszy, mądrzejszy, którą osiąga poprzez wspieranie odpowiedniej partii. To zaś, czy dane ugrupowanie akurat jest za wysokimi czy niskimi podatkami, za rozbudową czy likwidacją armii, za mniejszą czy większą pomocą społeczną, ma być dla niego nieistotne. Tego typu wyborca może jednego dnia uznawać 500 plus za bezsensowne rozdawnictwo, drugiego – wspaniały pomysł samego Tuska. Mają to bowiem być dla niego kwestie niejako estetyczne, które są tylko dodatkiem do tego, co naprawdę „ważne".

Do pewnego momentu można więc uznać, że to kłamstwo aspiracyjne, na którym Tusk oparł swoją politykę, było po prostu zwyczajną powtórką z rozrywki" Jedyną „zasługą" uśmiechniętego premiera było odświeżenie tego fałszu, dostosowanie go do nowych warunków politycznych oraz sposobów uprawiania propagandy. W pewnym momencie jednak to kłamstwo weszło na nowy poziom. Nie tyle się zmieniło, ile pokazało, w co może wyewoluować, jaki tkwi w nim upiorny potencjał. Mogliśmy to zobaczyć, kiedy doszło do tragedii smoleńskiej. Przede wszystkim nastą-

eprasa.pl d19016ffac

piła maksymalizacja politycznego hejtu. Żeby zneutralizować Smoleńsk, Tusk musiał przedstawić tę tragedię najpierw jako rzecz właściwie nieistotną, z czasem posunął się jednak, za pomocą Palikota, dalej, pokazując ją jako coś pożądanego. Po raz pierwszy w dziejach i tak fatalnych standardów etycznych, w debacie publicznej III RP zostały usankcjonowane życzenia śmierci, cieszenie się z niej. Żeby jednak utrzymać takie natężenie nienawiści, Tusk i jego ekipa musieli odwołać się do jeszcze jednej emocji. Lęku. Zaczęto przedstawiać PiS jako partię, która spowoduje, że zaatakuje nas Rosja. Wtedy w kłamstwie Tuska pojawił się nowy element – przestało ono być ukryte. Ówczesny premier nie tyle przekonywał Polaków, że faktycznie wszystko było idealne, jeśli chodzi o relacje polsko-rosyjskie i działania Moskwy w sprawie 10 kwietnia. Za to niejako puszczał oko do wyborców, mówiąc: musimy iść w tę ściemę, inaczej czeka nas wojna.

Wtedy też pojawił się spot zatytułowany „Oni pójdą na wybory, a Ty?" (który sami spindoktorzy PO zatytułowali dużo trafniej „Zło"). Po raz pierwszy w historii III RP najważniejszym zagrożeniem okazał się współobywatel. To on był niebezpieczeństwem, to on miał „pójść na wybory", sprowokować – swoją głupotą i wsparciem niewłaściwych polityków – Rosję. Współobywatel okazał się więc nie tylko, jak dotychczas go przedstawiano, kimś żałosnym, obrzydliwym, od którego ci „lepsi" Polacy chcą się odciąć. Stał się wrogiem egzystencjalnym, bowiem zdolnym zagrozić nawet istnieniu tej właściwej, „europejskiej Polski". No i wolno go okłamywać.

Esencja kłamstwa

Biorąc pod uwagę powyższą, rzecz jasna uproszczoną, szkicową historię kłamstwa Tuska, można spróbować pokusić się o próbę określenia, co w nim jest trwałe, co jest jego swoistą esencją. Po pierwsze, jest to kłamstwo niejako puste, wciąż zmienne, dostosowujące się do okoliczności. Celem tego kłamstwa nigdy nie jest stworzenie trwałej, fałszywej wizji rzeczywistości, chodzi w nim o to, żeby – za pomocą histerii, maksymalnego rozedrgania emocji – wywołać w odbiorcy stałą dyspozycję do przyjmowania czegokolwiek, co tzw. autorytety uznają za politycznie optymalne w celu utrzymania bądź zdobycia władzy. Mamy więc do czynienia z pełnym nihilizmem, jeśli chodzi o element idei czy wartości, co prowadzi do zaskakującej, opisanej chociażby w kontekście Smoleńska, sytuacji świadomego fałszu, kiedy odbiorcy wiedzą, że ich przywódcy kłamią, ale uznają to wręcz za stan pożądany, skoro w ten sposób realizują swoje cele.

To, że owo kłamstwo Tuska może być tak puste, ciągle się zmieniać, jest ściśle powiązane z jego drugą, istotową cechą – istnieje ono tylko na zasadzie określania się względem wroga, wobec którego ma być używane, zaś tym przeciwnikiem jest zawsze członek tej samej wspólnoty. To on jest postrzegany jako największe zagrożenie, zaś fundamentalnym celem kłamstwa Tuska jest walka z nim, uniemożliwienie mu wpływu na rzeczywistość. Dodatkowo wspomniana wewnątrzspołeczna dystynkcja, którą to kłamstwo tworzy, staje się podstawą tożsamości jego odbiorców. W ten sposób ich identyfikacja staje się czysto negatywna, ich aspiracje zostają sprowadzone do tego, żeby „nie być jak tamci". Mogą oczywiście tę narrację ubierać w szatki „bycia Europejczykiem", „bycia postępowym" etc., ale jedyną semantyką wspomnianych stwierdzeń jest: „nie jestem jak tamci". Przy pełnej pustce i zmienności kłamstwa tym, co pełni więc rolę stałą, jest właśnie wewnętrzny wróg. Tym samym też nie jest możliwy żaden „pokój" z nim, walka jest koniecznością. Nawet nie tyle z powodu tego, jak straszny on jest (chociaż oczywiście demonizowanie tzw. moherów czy Polski B nie ma sobie równych, jeśli chodzi o stopień hejtu i absurdu), tylko dlatego, że wyłącznie on tworzy tożsamość tej „lepszej, liberalnej Polski". Bez tego hejtu nasi postępowcy przestaliby po prostu istnieć.

Wiąże się to z trzecim stałym elementem tego kłamstwa – totalny, wewnątrzspołeczny konflikt, jaki tworzy, jest destrukcyjny dla demokracji, państwa i degeneruje w stopniu niebywałym debatę publiczną. Ta ostatnia przestaje mieć sens, skoro samo oddanie głosu przeciwnikowi politycznemu staje się najgorszym z grzechów. Tym samym i demokracja się kończy, ponieważ celem nie jest znalezienie kompromisu z tymi, którzy myślą inaczej, tylko zniszczenie ich, są oni bowiem postrzegani jako egzystencjalne zagrożenie. Państwo także przestaje być wartością, kwestie takie jak jego naprawa, z trawiącymi go patologiami, stają się drugorzędne. Więcej, okazuje się nawet, że w celu zniszczenia wewnętrznego wroga można się sprzymierzyć z zewnętrznymi podmiotami politycznymi (na przykład Brukselą czy Berlinem).

Puentując ten tekst, można uznać, że faktycznie kłamstwo Tuska ma formę, którą zdeterminowała także sama postać przywódcy PO i to, w co sam się uwikłał. Jednak jego istotą, od początku, był postkomunizm. W tym zakresie więc, nawet jeśli Tusk by nie istniał, system ten musiałby go stworzyć. ■

eprasa.pl d19016ffac

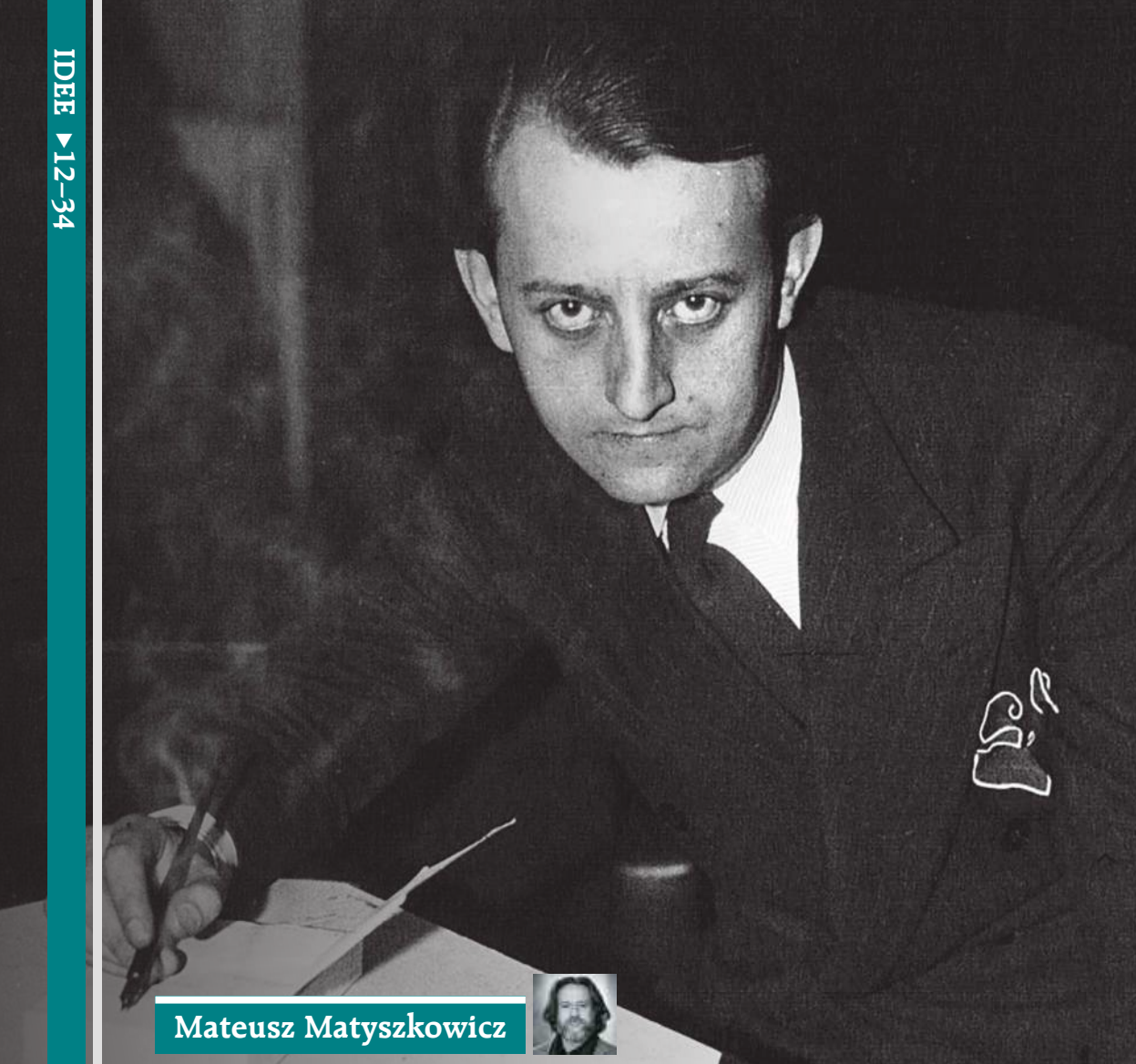

Mateusz Matyszkowicz

ANDRÉ MALRAUX, CZYLI O KULTURZE, KTÓRA NIE JEST FESTYNEM

eprasa.pl d-9018fac

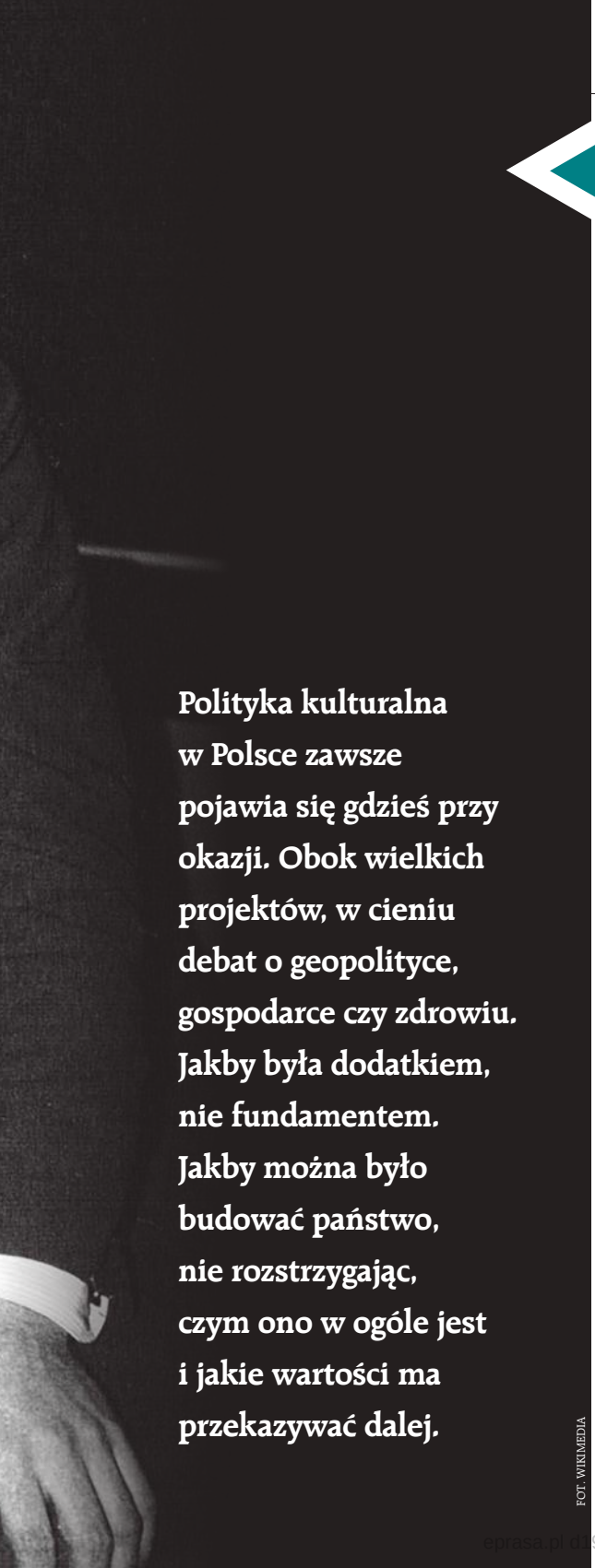

Polityka kulturalna w Polsce zawsze pojawia się gdzieś przy okazji. Obok wielkich projektów, w cieniu debat o geopolityce, gospodarce czy zdrowiu. Jakby była dodatkiem, nie fundamentem. Jakby można było budować państwo, nie rozstrzygając, czym ono w ogóle jest i jakie wartości ma przekazywać dalej.

FOT. WIKIMEDIA

Tym, którzy próbują to przypomnieć, natychmiast zarzuca się elitaryzm, snobizm i polityczną naiwność. I jeśli taki zarzut pada po prawej stronie, powinien wywołać wstyd. Bo jest niczym innym jak powtórzeniem języka lewicowej rewolucji kulturowej, tej samej, która od dekad podkopuje sens istnienia kanonu. Jej logika jest prosta: nie ma dzieł wyższych i niższych, nie ma hierarchii, nie ma formy, która zobowiązuje. Wszystko jest równoważne, a więc w gruncie rzeczy nic nie ma znaczenia.

Powtarzając to, niektórzy na prawicy nie tyle polemizują z elitami, ile przejmuje ich najbardziej destrukcyjny język. Odrzucenie kanonu nie jest gestem zdroworozsądkowego buntu. Jest zgodą na to, by kultura przestała pełnić swoją podstawową funkcję: przekazywać to, co w nas najważniejsze. Bo wraz z kanonem nie reprodukuje się gustów ani stylów. Reprodukuje się porządek wartości. I jeśli ten porządek zostaje unieważniony, państwo może mieć armię, budżet i strategie, ale przestaje wiedzieć, po co istnieje.

Będzie mogło – parafrazując Churchilla – wygrać wojnę, ale nie będzie wiedziało po co.

Cofnijmy się do Malrauxa

Kiedy w 1959 roku generał de Gaulle powołał do życia pierwsze na świecie ministerstwo kultury i postawił na jego czele André Malrauxa, wielkiego pisarza, eseistę i człowieka wyobraźni historycznej, nie tworzył po prostu nowego działu administracji. Myślał o wielkości Francji, o tej idée directrice, która prowadziła całe jego myślenie o państwie. Ani de Gaulle, ani Malraux nie rozumieli tej instytucji jako jeszcze jednego sektora władzy publicznej, wyodrębnionego obok innych, jak wyodrębnia się rolnictwo, gospodarkę czy armię. Nie chodziło o „politykę kulturalną" w dzisiejszym, technicznym, sensie tego wyrażenia. Chodziło o coś znacznie poważniejszego: o nadanie polityce francuskiej jej najwyższego wyrazu. Kultura nie miała tu być jednym z narzędzi państwa. Miała stać się miejscem, w którym państwo rozpoznaje własny sens i własną wielkość.

To nie był projekt administracyjny. Malraux mówił wprost: „L'art est un anti-destin". Sztuka jest sprzeciwem wobec losu. Nie ozdobą życia zbiorowego, nie jego luksusowym dodatkiem, ale aktem oporu wobec przemijalności, wobec śmierci, wobec tego wszystkiego, co odbiera człowiekowi sens. Jeśli tak rozumie się kulturę, nie można już umieścić jej obok rolnictwa czy przemysłu. Nie jest „sektorem". Jest odpowiedzią na najbardziej pierwotne doświadczenie ludzkie. De Gaulle rozumiał to intu-

eprasa.pl d9016ffac

icyjnie: państwo, które nie organizuje tej odpowiedzi, przestaje być czymś więcej niż aparatem zarządzania. Dlatego ministerstwo kultury nie było dodatkiem do republiki. Było próbą nadania jej formy, która przekracza czystą administrację i sięga w stronę przeznaczenia.

Francja znajdowała się wówczas w jednym z najbardziej napiętych momentów swojej historii. Kraj zniszczony przez wojnę, nie tak fizycznie jak Polska, lecz głęboko nadwyrężony instytucjonalnie i społecznie, zmagał się z osłabieniem państwa, zaniedbaniem infrastruktury oraz postępującą pauperyzacją ludności. Do tego dochodziła konieczność ustabilizowania życia politycznego w warunkach narastającego kryzysu imperialnego i przyspieszających procesów dekolonizacyjnych, które podważały dotychczasową pozycję Francji w świecie.

Ale problem był głębszy niż gospodarka czy administracja. Francja musiała opowiedzieć się na nowo wobec samej siebie. Po wstydzie Vichy, po długo wypieranym współudziale w Zagładzie, po doświadczeniu państwa, które nie tylko zostało pokonane, lecz także skompromitowane. Była to Francja coraz mniejsza, z imperium rozpadającym się na oczach świata, i zarazem Francja naznaczona doświadczeniem śmierci: kraj byłych żołnierzy, wdów, rodzin żyjących w cieniu niedawnej wojny. W takiej sytuacji pytanie o kulturę nie było pytaniem o jedną z polityk publicznych. Było pytaniem o to, czy Francja jest jeszcze zdolna nadać sens własnemu istnieniu.

Na lewym brzegu Sekwany, w paryskich kawiarniach, filozofowie i pisarze próbowali przepracować to doświadczenie w kategoriach egzystencjalnych: jako świadomość pustki, rozpadu, utraty sensu. Tymczasem życie społeczne toczyło się własnym rytmem. Francuzi chodzili do kina i, ku wyraźnemu niepokojowi elit, wybierali przede wszystkim kino amerykańskie. Młodzież czytała komiksy sprowadzane zza oceanu, język codzienny coraz śmielej przyjmował anglicyzmy, a nowe formy kultury masowej zaczynały wypierać dawne wzorce.

Koniec świata

Był w tym procesie rys głębszy niż tylko zmiana gustów. Dawna potęga, kolonialna i kulturalna, której język przez stulecia pełnił funkcję uniwersalnego medium ludzi wykształconych, musiała nagle uznać, że sama znajduje się w pozycji odbiorcy. Francja nie tylko traciła terytoria. Traciła również swoją uprzywilejowaną pozycję w obiegu znaczeń. Ustępowała miejsca kulturze, która nie niosła ze sobą ani klasycznego kanonu, ani historycznej głębi, lecz oferowała coś innego: hamburgera z frytkami.

De Gaulle zdawał sobie świetnie sprawę, że upragniona wielkość Francji wymaga przedefiniowania jej kultury, a André Malraux nadawał się do tego zadania znakomicie. Ten pisarz i eseista, który na początku swojej drogi intelektualnej zajmował się analizą poezji kubistycznej, z czasem zwrócił się ku kanonowi nie jako zbiorowi martwych dzieł, lecz jako przestrzeni żywego doświadczenia. Będąc pod silnym wpływem Nietzschego, wierzył, że wielkość dzieł kultury podnosi samego odbiorcę i że poprzez obcowanie z tym, co największe, człowiek sam zostaje wyniesiony ponad swoją przeciętność. Nie chodziło mu o edukację ani o upowszechnianie kultury w sensie administracyjnym. Chodziło o przemianę, o moment, w którym jednostka, konfrontując się z dziełem, przestaje być tylko odbiorcą i zaczyna uczestniczyć w czymś, co ją przekracza.

Była tu ukryta specyficzna postawa samego Malrauxa, która dobrze odpowiadała duchowi epoki. Pisarz był agnostykiem, więcej, podzielał camusowską świadomość absurdu życia, tak charakterystyczną dla powojennych pokoleń. Po nietzscheańsku rozumiał jednak kulturę jako sposób przezwyciężania nihilizmu. Jeśli bowiem nasza biologiczna egzystencja nie niesie ze sobą ostatecznego sensu, to może on zostać odnaleziony w dziele kultury – nie jako pocieszenie, lecz jako akt sprzeciwu wobec nicości. Dzieło nie tłumaczy świata, ale stawia mu opór. W tym sensie kultura nie jest dla Malrauxa ucieczką od rzeczywistości, lecz formą walki: próbą wyrwania ludzkiego doświadczenia z porządku czystej przemijalności i wpisania go w coś, co trwa dłużej niż jednostkowe życie.

Bo choć dla samego Malrauxa transcendencji nie ma, albo być może nie ma, interpretacje są tu różne, to jednak poprzez kulturę człowiek może transcendencji doświadczyć, odnajdując dzięki temu na nowo sens.

Aby ta koncepcja była spójna, w filozofii kultury Malrauxa musi istnieć hierarchia, muszą być dzieła wyjątkowe, arcydzieła, które są punktem odniesienia. Musi istnieć rozróżnienie na dobre i złe, wybitne i marne, godne uwagi i jej niegodne. To rozróżnienie jest jednak czymś zupełnie innym niż podział na kulturę wysoką i niską albo kulturę elitarną i masową.

Dziś nadużywamy pojęcia „kultura wysoka" jak jakiegoś magicznego zaklęcia, raz jako pochwały, raz jako oskarżenia. Malraux nigdy się nim nie posługiwał. Co więcej, całe to rozróżnienie jest w głębi sprzeczne z tym, jak on rozumiał kulturę. Dla niego nie było „wysokiego" i „niskiego", była tylko

eprasa.pl d19016ffac

siła, która potrafi człowieka wyrwać z przypadkowości istnienia. Arcydzieło nie miało klasy społecznej ani biletu wstępu; miało moc metamorfozy. Stawianie na „kulturę wysoką" jako elitarną kategorię byłoby dla niego zdradą jego własnej myśli: kultury jako anty-śmierci, dostępnej każdemu, kto zechce stanąć przed dziełem twarzą w twarz.

W jego własnym języku nigdy nie pojawiały się te sztywne etykietki. Mówił o „plus grandes œuvres de l'humanité" (największych dziełach ludzkości), o „chefs-d'œuvre" (arcydziełach), o „héritage artistique" (dziedzictwie artystycznym). Kiedy w latach 60. pytano go o „kulturę popularną", odpowiadał krótko i ostro: „Je n'aime pas le mot culture populaire – la culture est populaire par ceux qu'elle atteint, et non par ce qu'elle est" („Nie lubię pojęcia kultury popularnej – kultura staje się popularna przez tych, do których dociera, a nie przez to, czym jest"). Kultura staje się popularna nie dlatego, że jest prosta albo masowa, ale dlatego, że dociera do ludzi i ich przemienia. To nie podział na gatunki, lecz na efekt spotkania. Malraux nie chciał ani obniżać poprzeczki, ani jej podnosić – chciał, żeby największe dzieła po prostu mogły mówić do każdego Francuza, bez pośredników i bez wstydu.

To pojęcie „kultury wysokiej" w obecnym sensie zostało w dużej mierze ukute przez lewicę lat 70. i 80., zwłaszcza w kręgach związanych z Jackiem Langiem i ideą edukacji popularnej, właśnie po to, by ośmieszyć i zdegradować wizję Malraux. Potrzebna była prosta karykatura: gaullistowski minister w masce snoba, który narzuca masom muzealne arcydzieła, zamiast dać im prawo do własnej twórczości. Zamiast dyskutować z jego filozofią, kulturą jako buntem przeciwko absurdowi, przypięto mu etykietę „elitaryzmu" i w ten sposób sprowadzono całe jego dzieło do reliktu starego porządku. Malraux nie bronił „wysokiej kultury". Bronił kultury jako takiej i właśnie za to został pośmiertnie ukarany pojęciem, którego sam nigdy nie użył.

Kiedy dziś słyszymy zatem z ust prawicowych polityków pojęcie kultura wysoka, pamiętajmy, że kryje się za nim tak naprawdę lewicowa retoryka, która utożsamia znaczną część dziedzictwa kulturowego człowieka ze snobizmem, elitarnością, niedostępnością i zaprzeczeniem demokratycznym ideałom.

W tej koncepcji Malraux ukryty jest fascynujący paradoks. W przeciwieństwie do lewicy nie wierzył on w demokratyzację kultury rozumianą jako jej wyrównywanie, upraszczanie czy dostosowywanie do przeciętnego odbiorcy. Uważał natomiast z całą stanowczością, że każdy Francuz powinien mieć do niej dostęp. To napięcie jest kluczowe: nie chodziło o to, by kultura stała się „dla wszystkich" przez obniżenie własnych wymagań, lecz o to, by wszyscy mogli stanąć wobec tego, co najwyższe, nawet jeśli ich odpowiedź będzie różna.

Malraux doskonale zdawał sobie sprawę, że poziom odbioru zawsze będzie się różnił i to nie tylko ze względu na wykształcenie, lecz często wbrew niemu. Możemy bez trudu wskazać ludzi znakomicie wykształconych, którzy pozostają głusi na doświadczenie sztuki, niezdolni do wejścia w jej wewnętrzny porządek. I odwrotnie: znamy też tych, którym nie dane było przejść pełnej ścieżki edukacyjnej, a jednak ich kontakt z dziełem jest intensywny, osobisty, twórczy, jakby bardziej bezpośredni. Dla Malraux nie był to problem, który należało rozwiązać, lecz fakt, który należało przyjąć. Kultura nie jest i nigdy nie będzie przeżywana jednakowo. Nie podlega standaryzacji.

> KULTURA STAJE SIĘ POPULARNA NIE DLATEGO, ŻE JEST PROSTA ALBO MASOWA, ALE DLATEGO, ŻE DOCIERA DO LUDZI I ICH PRZEMIENIA. TO NIE PODZIAŁ NA GATUNKI, LECZ NA EFEKT SPOTKANIA.

Nie w tym zatem rzecz, by wszyscy odbierali kulturę tak samo ani by osiągali ten sam poziom rozumienia. Rzecz w tym, by państwo stworzyło warunki, w których każdy może się z nią zetknąć, bez barier geograficznych, ekonomicznych i symbolicznych. Dostęp nie oznaczał dla Malraux uproszczenia. Oznaczał zniesienie przeszkód. To rozróżnienie jest zasadnicze i do dziś w dużej mierze niezrozumiane. W tym sensie wyprzedził on wiele późniejszych koncepcji polityki kulturalnej, także tych, które, paradoksalnie, przedstawiały się jako bardziej egalitarne, a w istocie sprowadzały kulturę do funkcji socjalnej lub rozrywkowej.

eprasa.pl d19016ffac

Ta koncepcja znalazła swoje konkretne przełożenie instytucjonalne. Malraux był zdecydowanym zwolennikiem decentralizacji kultury. Francja połowy XX wieku była pod tym względem krajem skrajnie scentralizowanym, być może nawet bardziej niż Polska dzisiaj. Aby istnieć w kulturze, należało być w Paryżu: tam tworzyć, tam wystawiać, tam bywać. Paryż był nie tylko centrum administracyjnym, lecz także jedynym realnym miejscem obiegu kultury, a reszta kraju pozostawała na marginesie.

Muzeum wyobrażone

Projekt Malrauxa polegał na przełamaniu tej koncentracji. Chodziło o to, by kultura przestała być doświadczeniem paryskim, a stała się doświadczeniem francuskim. Najbardziej widocznym wyrazem tej polityki było tworzenie w całym kraju domów kultury – maisons de la culture – instytucji, które miały nie tyle „animować" lokalne życie kulturalne, ile wprowadzać do niego bezpośredni kontakt z dziełami najwyższej próby. Nie były to więc ośrodki produkcji kultury lokalnej w dzisiejszym sensie, lecz miejsca spotkania z kanonem: z teatrem, sztuką, muzyką, które dotąd pozostawały zarezerwowane dla wąskiego kręgu odbiorców w stolicy.

W tym sensie Malraux nie „upowszechniał" kultury. On ją przenosił. Wyrywał ją z jednego miejsca i oddawał w inne, bez zmiany jej natury. I właśnie dlatego jego projekt pozostaje do dziś tak trudny do powtórzenia.

W to wpisuje się jego koncepcja musée imaginaire (muzeum wyobrażonego). Malraux rozumiał je nie jako instytucję w sensie materialnym, lecz jako przestrzeń, w której dzieła sztuki zostają wyrwane ze swoich pierwotnych kontekstów i zaczynają istnieć obok siebie, w jednym, symbolicznym porządku. Dzięki reprodukcji, fotografii, albumowi, książce Egipt, Grecja, średniowiecze i nowoczesność mogą spotkać się w jednym spojrzeniu. Muzeum przestaje być miejscem, a staje się doświadczeniem.

To przesunięcie ma zasadnicze znaczenie. Skoro dzieło może zostać przeniesione i zobaczone poza swoim historycznym i geograficznym zakorzenieniem, kultura przestaje być przywilejem miejsca. Przestaje należeć do Paryża, do konkretnej świątyni sztuki, do określonej klasy społecznej. Staje się dostępna wszędzie tam, gdzie ktoś jest zdolny ją zobaczyć. Musée imaginaire jest więc teoretycznym dopełnieniem jego polityki: skoro dzieła mogą krążyć w wyobraźni, powinny też krążyć w przestrzeni społecznej.

Ale jest w tym jeszcze jeden, głębszy ruch. Muzeum wyobrażone nie jest tylko narzędziem demokratyzacji dostępu. Jest sposobem budowania hierarchii na nowo. To właśnie w nim dzieła zaczynają ze sobą „rozmawiać", konfrontować się, ujawniać swoją siłę. Nie istnieją już jako elementy lokalnej tradycji, lecz jako uczestnicy wielkiego dialogu ludzkości. I dopiero w tym zestawieniu ujawnia się to, co dla Malrauxa było najważniejsze: które z nich rzeczywiście potrafią oprzeć się czasowi.

KIEDY DZIŚ SŁYSZYMY Z UST PRAWICOWYCH POLITYKÓW POJĘCIE KULTURY WYSOKIEJ, PAMIĘTAJMY, ŻE KRYJE SIĘ ZA NIM TAK NAPRAWDĘ LEWICOWA RETORYKA, KTÓRA UTOŻSAMIA ZNACZNĄ CZĘŚĆ DZIEDZICTWA KULTUROWEGO CZŁOWIEKA ZE SNOBIZMEM, ELITARNOŚCIĄ, NIEDOSTĘPNOŚCIĄ I ZAPRZECZENIEM DEMOKRATYCZNYM IDEAŁOM.

W tym sensie musée imaginaire nie znosi kanonu, ono go tworzy. Nie przez decyzję instytucji, lecz przez napięcie między dziełami, przez ich zdolność do przetrwania w tej wspólnej przestrzeni. Dlatego projekt Malrauxa pozostaje tak wymagający: zakłada odbiorcę, który nie tylko patrzy, lecz także porównuje, rozpoznaje, wybiera. Nie konsumenta kultury, lecz uczestnika jej wewnętrznego sporu.

Wówczas wydawało się to projektem niemal szalonym, ale czas w dużej mierze przyznał rację Malrauxowi. Dziś sami funkcjonujemy w ramach takiego muzeum, choć rzadko to sobie uświadamiamy. Kontakt z kulturą odbywa się za pośrednictwem nośników elektronicznych, które sprawiają, że dzieła, nawet jeśli nieobecne fizycznie, pozostają dla nas dostępne, widzialne, niemal na wyciągnięcie ręki. Obrazy, rzeźby, architektura, całe porządki estetyczne krążą w przestrzeni cyfrowej i układają się w coś na kształt nieustannie rozszerzającego się musée imaginaire.

eprasa.pl d19016ffac

A jeśli chcemy zbliżyć się do nich bardziej, przekroczyć poziom reprodukcji i stanąć wobec dzieła w jego materialnej obecności, możemy to zrobić. Wsiadamy w samolot – wciąż kosztowny, ale nieporównanie bardziej dostępny niż w latach 60. – i w ciągu kilku godzin przenosimy się z jednego porządku kulturowego w drugi. To, co dla Malrauxa było intuicją i projektem, stało się codzienną praktyką późnej nowoczesności. Różnica polega tylko na tym, że on widział w tym szansę na spotkanie z wielkością, podczas gdy my coraz częściej traktujemy to jako kolejną formę konsumpcji.

Po Malrauxie

Po odejściu Malrauxa jego projekt został poddany surowej krytyce i w dużej mierze rozmontowany. Jak wspomniałem wyżej, symbolem tej zmiany jest Jack Lang – dziś postać skompromitowana choćby przez swoje związki z kręgiem Epsteina, a w latach 80. i 90. faktyczny car francuskiej kultury z nadania Mitterranda. To nie była korekta kursu. To była zmiana paradygmatu.

Lang chciał, żeby kultura była „bliżej ludzi" – czyli w praktyce łatwiejsza, bardziej atrakcyjna, mniej wymagająca. Żeby przyciągała, a nie stawiała opór. Żeby świeciła, zamiast formować. Festiwale, wydarzenia, spektakle, które dobrze wyglądają w mediach, które przyciągają tłumy, które napędzają turystykę i lokalne gospodarki. Kultura jako sektor usług, jako element przemysłu czasu wolnego. Nie trzeba już było stawać wobec dzieła i mierzyć się z nim – wystarczyło w nim uczestniczyć.

Ale to była tylko powierzchnia. Głębiej Lang zrealizował dawne marzenie lewicy, które wcześniej pozostawało w dużej mierze teoretyczne. Rewolucjoniści przez dekady krytykowali kulturę burżuazyjną i jej konsumpcyjny charakter, ale jednocześnie dążyli do zburzenia hierarchii, które tę kulturę podtrzymywały. Lang znalazł skuteczniejsze narzędzie. Nie zniszczył kanonu frontalnie. Rozpuścił go w konsumpcji.

To był ruch znacznie sprytniejszy. Zamiast mówić, że arcydzieła nie istnieją, sprawił, że przestały mieć znaczenie. Zamiast atakować hierarchię, uczynił ją niewidzialną. Wszystko stało się kulturą: koncert, happening, wydarzenie miejskie, instalacja, festyn. W tej masie różnic przestało się widzieć. A jeśli nie ma różnicy między dziełem, które wymaga, a produktem, który się zużywa, to znika też potrzeba wysiłku. Kultura przestaje podnosić człowieka. Zaczyna go obsługiwać.

Lang użył więc dokładnie tego, co lewica wcześniej krytykowała – logiki konsumpcji – aby doprowadzić do dekanonizacji i ostatecznej banalizacji kultury. Tam, gdzie Malraux widział w kulturze formę oporu wobec nicości, Lang uczynił z niej narzędzie zarządzania nastrojem społecznym. Tam, gdzie chodziło o spotkanie z wielkością, pojawiło się doświadczenie atrakcji. I to przesunięcie okazało się trwałe – bo nie wymagało walki z odbiorcą. Przeciwnie, oferowało mu dokładnie to, czego oczekiwał.

Przestroga na koniec

Tym tekstem chcę przestrzec kolegów przed wpatrywaniem się w Langa jak w model do naśladowania. To ślepa uliczka. Kultury narodowej nie buduje się tanimi festynami, sezonowymi wydarzeniami i „ofertą dla wszystkich". To nie są narzędzia formowania wspólnoty, tylko jej rozpraszania. Dają chwilowy ruch, nie zostawiają śladu. Państwo, które uznaje je za swoją politykę kulturalną, rezygnuje z ambicji na rzecz zarządzania nastrojem.

Polska jak rzadko kiedy potrzebuje dziś opowieści o sensie własnego trwania. Potrzebuje samorozumienia, które nie będzie importem ani reakcją, lecz własnym głosem. Kiedyś napisałem, że Polska powinna być krajem opowiadającym, a nie opowiadanym – i to zdanie pozostaje aktualne. Jeśli sprowadzimy siebie do roli uczestników festynów, nie stworzymy dla siebie języka. Zostaniemy zbiorowością, która reaguje, ale nie mówi; która konsumuje obrazy, ale ich nie wytwarza.

Efekt będzie przewidywalny. Będziemy grupą, która kiwa się w rytm łatwej muzyki, a następnego dnia wraca do pracy w cudzym porządku – montując samochody w niemieckich fabrykach, składając elementy świata, którego sens powstaje gdzie indziej. Kultura w tej logice nie podnosi, tylko zagłusza. Nie buduje podmiotowości, tylko ją rozpuszcza.

Tymczasem wszystkie wielkie narody opowiadają się przez kulturę. Francuzi przez swoją literaturę i malarstwo, przez ciągłość formy i języka. Niemcy przez Wagnera i Thomasa Manna, przez wysiłek myślenia, który przekłada się na instytucje i styl życia. To nie są dekoracje. To są narzędzia samoopisu, które wyznaczają horyzont wspólnoty.

Polacy mają zasób porównywalny, a pod wieloma względami większy – tylko traktują go jak archiwum, nie jak żywe źródło. Jeśli tego nie odwrócimy, nie będziemy „krajem opowiadającym". Będziemy miejscem, o którym inni opowiadają – w swoich językach, na swoich warunkach. A to jest różnica między państwem, które istnieje, a państwem, które jest tylko montownią i krajem tranzytowym. ■

eprasa.pl d19016ffac

Jakub Augustyn Maciejewski

KRUCJATY
– zwierciadło Zachodu

Zajęci przepraszaniem za wielkość naszej cywilizacji i za naturalne zakręty historii nie tylko zapominamy o przeszłości, lecz także tracimy fundament dzisiejszego funkcjonowania. Wyprawy krzyżowe były wspólnotowym i cywilizacyjnym przełomem i żadne lamenty nad przelaną na wojnach krwią nie anulują skuteczności tamtej wielkiej idei. I jej trwałości oraz aktualności.

Były wyprawami wojennymi, kończyły się rozlewem krwi, zapowiadały kolonializm i sprawiały cierpienie Arabom – absurdalna, ale powszechna narracja kształtuje nasze wyobrażenie o krucjatach, które w latach 1095–1291 mobilizowały europejskie rycerstwo do walki z islamem. Ale to nie były tylko wojny, lecz cała rewolucja myślenia – to, co wcześniej było zrozumiałe dla garstki kościelnych hierarchów, kilku arystokratów i uczonych, stało się powszechną wśród rycerstwa wiedzą – że ponad księstwami, królestwami, a nawet cesarstwem (państwami narodowymi) istnieje jeszcze coś większego: wspólnota wiary, republika chrześcijańska, cywilizacja zachodnia.

Chrześcijanie potrafili więc odróżnić wyznawcę tej samej wiary od wyznawców Allacha czy bóstw pogańskich, zaczęli rozumieć, że mają wspólne interesy, tożsamość i misję. Co więcej, dzięki krucjatom wyraźniej zarysowały się różnice między Kościołem wschodnim i zachodnim, które wcześniej były ukryte pod chłodnymi, ale poprawnymi relacjami Rzym–Konstantynopol. Zachód okazał się koncentrować bardziej na honorze, Wschód zaś na dworskich rozgrywkach. Dla rycerstwa Europy zawiła dyplomacja Bizancjum była intryganctwem i tchórzostwem, zaś dla elit Konstantynopola Zachód wydawał się nieco barbarzyński i bardziej grzeszny.

Gdy na Wschodzie powoływano się na świętego Bazylego, nakazującego surowe pokuty za zabicie człowieka nawet na wojnie, Zachód czytał św. Augustyna, który dopuszczał wojny „z nakazu Bożego".

Pokonać islam

Najważniejsza była jednak różnica cywilizacyjna pomiędzy chrześcijaństwem a islamem. Muzułmanie zagrażali Europie z trzech stron – na półwyspie Iberyjskim, w południowej Italii i w Azji Mniejszej. Różnice między dwoma kręgami kulturowymi były widoczne na pierwszy rzut oka – w strojach, obrzędach religijnych, ale i w filozofii. Chrześcijanie dopiero odkrywali Arystotelesa i Platona, muzułmanie przerabiali ich na swoją modłę. Jedni zajmowali się sobą, drugim Allach nakazywał zbawić przez podbój cały świat. Wreszcie ci pierwsi byli podzieleni na setki księstw i księstewek, luźno połączonych władzą cesarską czy papieską, a wrogość między Słowianami a Germanami czy Frankami a Italczykami angażowała siły w bratobójcze walki.

I wtedy przyszedł papież Urban II, który w 1095 roku na synodzie w Clermont wezwał do wyprawy krzyżowej. Nie znamy dokładnej treści wezwania papieża do krucjat. Steven Runciman, wybitny badacz tamtej epoki, porównując różne jego wersje, tak oto streszcza istotę przemówienia: „Niechaj chrześcijaństwo zachodnie wyruszy na ratunek Wschodu. Niechaj pójdą tam zarówno bogaci, jak i ubodzy. Niechaj poniechają zabijania się w walkach bratobójczych i wyruszą na wojnę sprawiedliwą, czyniąc dzieło boże, a sam Bóg stanie na ich czele. Ci, którzy polegną w bitwie, otrzymają rozgrzeszenie i odpuszczone im zostaną wszystkie grzechy. Życie tutaj jest pełne nieszczęść i zła, ludzie zdzierają siły na zgubę swego ciała i duszy. Tutaj są biedni i nieszczęśliwi. Tam czeka ich wesele i dostatek, tam zyskają sobie prawdziwy afekt Pana Boga».

Ważnymi motywami były Jerozolima i Betlejem, najważniejsze miasto chrześcijaństwa, miejsce działalności Jezusa Chrystusa. Ówczesne mapy świata stawiały Jerozolimę w centrum świata, od którego miały rozchodzić się ziemie trzech kontynentów: Europy, Azji i Afryki. Tam były miejsca święte, których muzułmanie nie szanowali należycie. Tam należało wrócić.

To ważna i przełomowa idea – oznaczała, że ponad królami i ich dynastycznymi interesami, ponad plemiennymi obyczajami różnych ludów i tradycją poszczególnych państw jest coś więcej. Wiara w Boga była podłożem moralności, ale miała też wytwarzać wspólnotę interesów – chociażby religijnych (odzyskanie Jerozolimy). Europa, poszatkowana na rozmaite organizmy polityczne, miała wspólne mianowniki, miała się rozwijać w obrębie swoich prowincjonalnych wspólnot, ale też realizować wspólne cele. Cywilizacja zachodnia ukształtowała się m.in. na fundamencie takiego rozumienia świata.

Pokonać Turków

Idea ta nie umarła wraz z upadkiem, wcześniej odzyskanych, twierdz chrześcijańskich na Bliskim Wschodzie (utrata Akki). Idea ta doznawała licznych wypaczeń i nadużyć, ale co jakiś czas powracała na właściwe tory. W XV wieku Władysław Warneńczyk próbował zatrzymać ekspansję Imperium Osmańskiego – nie udało się. W XVI wieku próbowano zniszczyć panowanie Turków na Morzu Śródziemnym, ale brała w tym udział głównie Hiszpania. Europa znów była zajęta sobą i zwalczaniem się wewnątrz chrześcijańskiej wspólnoty, doświadczając „łżekrucjat", takich jak walki krzyżaków z Polakami czy wyprawy na heretyków na południu Francji. Święta wojna katolików powróciła jednak z wielkim rozmachem w XVII wieku – z udziałem Polski.

FOT. WIKIMEDIA

eprasa.pl d19016ffac

Choć w polskiej historiografii Święta Liga (1684-1699), powołana po polskiej odsieczy Wiednia Jana Sobieskiego w 1683 roku, kojarzy się jako niekorzystna dla Rzeczypospolitej, była w istocie prawdziwą wyprawą krzyżową. Tak ją postrzegał Ojciec Święty Innocenty XI, którego cały pontyfikat był z pasją realizowanym projektem walki Europy z islamem.

Papież miał plany ogromne i w samym Rzymie tworzył szczegółowe plany podziału Imperium Osmańskiego i pomniejszych krajów na strefy wpływów chrześcijańskich mocarstw. Sobieski miał dostać dla Rzeczypospolitej Mołdawię i dostęp do Morza Czarnego, Austria miała wyzwolić Węgry, Wenecja Dalmację, Grecję i jej wyspy, Francja miała wylądować w Egipcie i Syrii, a Hiszpania na wybrzeżu północno-zachodniej Afryki. Trudności, jakie napotkał Innocenty XI (pontyfikat 1676–1689), dawały prawdziwy obraz kondycji cywilizacji chrześcijańskiej – Europa bardziej nienawidziła siebie nawzajem niż zewnętrznego wroga, który życzył jej upadku, a wezyr turecki wprost mówił, że chce „z bazyliki św. Piotra w Rzymie zrobić stajnię dla swoich koni". Hiszpania była słaba, z niepełnosprawnym królem, na którego bezpotomną śmierć czekały wszystkie mocarstwa. Rzeczpospolita i Cesarstwo Niemieckie były skłócone i nieufne wobec siebie, a Francja... Francja popierała Turcję! Taką drogę przeszedł Zachód od XI do XVII wieku, że dawniej jednoznacznie solidaryzował się z obrońcami chrześcijaństwa, zaś później potrafił wspierać największego europejskiego wroga. Z takim wyzwaniem miał zmierzyć się Innocenty XI, który swoją wizję Ligi Świętej oparł ostatecznie na trzech państwach: Rzeczypospolitej, Austrii i Wenecji.

Ale nie było to proste. Nuncjusz papieski Opizio Pallavicini pisał z Warszawy do Rzymu o Sobieskim i o jego relacjach z sojusznikami: „Król ma wspaniałomyślne dusze i gdyby jego siła i siła jego sprzymierzeńców odpowiadała wielkości jego duszy, moglibyśmy mieć nadzieję na ogromne zwycięstwa, ale ponieważ łatwiej pragnąć niż osiągnąć, należy kierować sprawami w sposób praktyczny, a nie w niebezpieczeństwie wzbudzenia zazdrości, która jest skałą, o którą rozbijają się wszystkie ligi". Sprzymierzeńcy kłócili się o wszystko – kto ma które ziemie atakować, kto ma „pożyczyć" jakie uzbrojenie i wojsko, kto jak ma się tytułować i wreszcie kto ma kogo poślubić – bo dwory planowały wzajemne małżeństwa. To również pokazuje przepaść między dawną a ówczesną Europą – dawniej wystarczyło mądre i przemyślane wezwanie papieża, w XVII wieku zaś trzeba było tuzina nuncjuszy, którzy dokonywali dyplomatycznych cudów, by ugasić pożary w relacjach pomiędzy monarchami. Święta Liga osiągnęła jedynie ułamek swoich pierwotnych planów – nie odbiła Konstantynopola, nie zniszczyła Imperium Osmańskiego, choć przywróciła tej części Europy bezpieczeństwo.

Dawniej mozaikę państw europejskich łączyły chrześcijaństwo i wspólny wróg – islam, Turcy, później demokracja przeciw nazizmowi i komunizmowi. Co dzisiaj nas łączy i przeciwko komu mamy się mobilizować? Rosja chce wypchnąć NATO z Europy Środkowej, Chiny bez oporu infiltrują UE, a radykalny islam drwi, że Europę obali od wewnątrz.

Ale podobieństwo z pierwszymi wyprawami krzyżowymi było jeszcze jedno – papież skutecznie włączył w Ligę Świętą państwo prawosławne – Moskwę. Sojusz wenecko-austriacko-polsko-moskiewski miał więc w szeregu osiągnięć coś, czego w średniowieczu nie udało się zrealizować. Wówczas Bizancjum lawirowało pomiędzy krzyżowcami, wreszcie zostało przez nich zdobyte, tu zaś prawosławie zrobiło krok ku Europie, choć z fatalnymi skutkami (wzmocnienie się Moskwy i ekspansja na zachód). Warto jednak podkreślić, że idea krucjaty, a więc ponadpaństwowego sojuszu przeciwko zewnętrznemu zagrożeniu, nadal krążyła nad Europą.

▶ Pokonać komunizm

Różnie bywało przez następne 250 lat. Wezwania do sojuszu przeciwko jakiejś idei bywały podchwytywane, ale nie zawsze w dobrej sprawie. O ile koalicja antyfrancuska, łącząca mocarstwa od Wielkiej Brytanii po Rosję, znajdowała religijne

eprasa.pl d19016ffac

i ideowe uzasadnienia, to już Święte Przymierze było skierowane przeciwko niepodległości Polski i wolności innych, mniejszych narodów. Nie były to krucjaty (crux – krzyż) w obronie krzyża, lecz geopolitycznych celów.

A jednak idea takich wypraw powróciła w XX wieku. Nie islam był już wówczas zagrożeniem, islam słaby, gnuśny i podzielony, lecz to nazizm i komunizm stały się niejako nowym antychrystem. Islam, Turcy, naziści i komuniści – wszyscy przychodzili ze wschodu (z perspektywy Anglosasów) i wszyscy chcieli podbić świat i zniszczyć cywilizację zachodnią. Na czele nowej krucjaty stanęło już nie papiestwo z Frankami (jak w I krucjacie), nie Austria z Rzeczpospolitą (jak w Świętej Lidze), lecz Stany Zjednoczone.

Krucjatę antynazistowską rozpoczęto porozumieniem mocarstw na Konferencji w Casablance (styczeń 1943 roku). Uznano, że zagrożenie niemieckiego nazizmu jest tak bezprecedensowe, że wojna ta ma trwać aż do totalnej kapitulacji Berlina. To pewna różnica z poprzednimi wyprawami wojennymi Zachodu – wówczas cele były ograniczone i ostatecznie nie zniszczyły przeciwnika.

Także krucjata antykomunistyczna miała jedną wyraźną różnicę – zakładała wspólnotową walkę ze Wschodem, ale nie poprzez bezpośrednią konfrontację. Prezydent Harry S. Truman powiedział: „Wolałbym mieć trwały pokój na świecie niż być prezydentem. Życzę pokoju, pracuję dla pokoju i nieustannie modlę się o pokój". Bomba atomowa uniemożliwiła spełnienie bezpośredniej militarnej wyprawy „krzyżowej", ale ekonomicznie, ideowo i wojnami peryferyjnymi nadal można było zwalczać komunizm. Podczas swojego przemówienia do narodu prezydent Truman tak mówił o wartościach Zachodu, znajdujących najpełniejszy wyraz w USA: „Amerykanie stoją mocno w wierze, która zainspirowała ten naród od początku. Wierzymy, że wszyscy ludzie mają prawo do równej sprawiedliwości w prawie i równych szans na udział w dobru wspólnym. Wierzymy, że wszyscy ludzie mają prawo do wolności myśli i wypowiedzi. Wierzymy, że wszyscy ludzie są stworzeni równi, ponieważ są stworzeni na obraz Boga». Niektóre wezwania amerykańskiego prezydenta brzmiały podobnie – choć wyrażone współczesnym językiem – do przemówienia w Clermont: „W dążeniu do tych celów, Stany Zjednoczone i inne podobnie myślące narody znajdują się w bezpośrednim sprzeciwie wobec reżimu o przeciwnych celach i zupełnie innej koncepcji życia". Truman mówił o fałszywej filozofii komunizmu, tak samo jak o fałszywej religii islamu mówili hierarchowie Kościoła w średniowieczu. „Z Bożą pomocą przyszłość ludzkości będzie zapewniona w świecie sprawiedliwości, harmonii i pokoju" – zakończył orędzie Truman. „Deus vult" (Bóg tak chce) – przekonywał papież Urban II.

Krucjata XXI wieku

Pytania o wielki projekt walki ze złem, oparty na ponadnarodowej współpracy, ważny jest i dzisiaj. Zachód ma z kim walczyć, ale czy chce to robić? Pewną próbą zwalczania przeciwników naszej cywilizacji była wojna z osią zła, jaką wypowiedział George W. Bush, lecz nieprzekonujące cele i wyniki ostatecznie rozmyły motywację do niszczenia terroryzmu. Nie pomogło też opieranie się w niektórych kwestiach na Rosji, która cynicznie deklarowała walkę z terrorystami, ale mając na myśli dławionych przez nią samą Czeczenów.

Dziś Donald Trump apeluje o solidarność Europy w walce z Iranem, który blokuje cieśninę Ormuz dla zatrzymywania eksportu ropy z Bliskiego Wschodu. Enigmatyczna i bierna Unia Europejska wydaje się obojętna w sprawie reżimu ajatollahów, ale w sprawie Palestyny czy Wenezueli wręcz stawała przeciwko USA. Stary Kontynent zdaje się bardziej nienawidzić Stanów Zjednoczonych niż autorytarnych dyktatur w różnych częściach świata. I to też jest zwierciadło Zachodu, tak jak w przypadku wszystkich poprzednich krucjat. Dawniej mozaikę państw europejskich łączyły chrześcijaństwo i wspólny wróg – islam, Turcy, później demokracja przeciw nazizmowi i komunizmowi. Co dzisiaj nas łączy i przeciwko komu mamy się mobilizować? Rosja chce wypchnąć NATO z Europy Środkowej, Chiny bez oporu infiltrują Unię Europejską, a radykalny islam drwi, że Europę obali od wewnątrz. W czym zgadza się cała Europa wraz ze Stanami Zjednoczonymi? Waszyngton chce Pax Americana, a Europa zeroemisyjności własnej gospodarki, Trump mówi o dwóch płciach, a Bruksela o inkluzywności kilkudziesięciu „płci kulturowych".

Za oceanem chcą, by Jerozolima należała do Izraela, ale lewicowy mainstream naszego kontynentu życzy tego Palestyńczykom. Gdyby Europa nie była tak słaba i ospała, pewnie zdobyłaby się na „łżekrucjatę" przeciwko amerykańskiej prawicy, niczym XVII-wieczna Francja życząca chrześcijańskiej Austrii upadku w walce z Osmanami.

W historii naszej cywilizacji takie kryzysy wewnętrznych rozłamów już istniały, nie jesteśmy świadkami czegoś absolutnie nowego. A jednak póki nie zdefiniujemy wspólnych wartości i wspólnego wroga, to marzenia o wielkości Zachodu będą musiały poczekać na inne czasy. ■

eprasa.pl d19016ffac

Jacek Rutkowski

Arcybiskup Fulton Sheen, analizując szerzącą się szpetotę kościołów, stwierdził, że architektura sakralna jest w tak złym stanie, gdyż architekci nie mają do przekazania żadnego duchowego przesłania. Tymczasem gotycka katedra miała tych duchowych przesłań tyle, że można nimi było sypać jak z rękawa.

Otworzyć na powrót bramy niebios

eprasa.pl d19016ffac

Istnieje na Facebooku strona „Biskup płakał, gdy konsekrował". Gromadzi ona najdziwniejsze i najbrzydsze, pod względem architektonicznym, istniejące kościoły, głównie z Polski. W średniowieczu również mógłby powstać taki zbiór, najpewniej w formie manuskryptu, w którym znajdowałyby się ryciny kościołów, kiedy podczas konsekracji biskup też płakał. Czyniłby to jednak nie z żalu, że przyszło mu przyczyniać się do funkcjonowania obiektu „brzydkiego", lecz ze wzruszenia, że błogosławi cud sztuki architektonicznej, którego piękno pomoże wiernym w drodze duszy do Boga.

Czym jest kościół?

Zarówno zatem średniowieczne, jak i współczesne kościoły mogą dostarczać wzruszeń i łez. Te łzy mają inny charakter z tego prostego powodu, że inaczej rozumiano, czym właściwie jest kościół. Jeśli by architekt uważał, że „dom" to słowo oznaczające (wyłącznie) miejsce do spania, zbudowałby coś w rodzaju kabiny do spania, takiej jak te, w których można spać w niektórych nowoczesnych hostelach. Jeśli architekt uważałby, że „budka na przystanku autobusowym" to przede wszystkim miejsce służące udostępnianiu przestrzeni reklamowej, to niekoniecznie zadbałby o to, żeby chroniła ona od wiatru, słońca czy deszczu; czuwałby natomiast pieczołowicie, aby zmieściło się tam jak najwięcej reklam.

Otóż współcześnie kościół uchodzi przede wszystkim za „dom modlitwy", miejsce, w którym mogą się zebrać wierni, żeby się razem pomodlić. Jeśli akurat zbiorą się na modlitwę gdzie indziej, nie stanowi to najmniejszego problemu. Można modlić się tu lub tam, gdyż „Bóg jest wszędzie". Natomiast w koncepcji średniowiecznej, uwiecznionej m.in. we wspaniałej liturgii konsekracji, kościół symbolizuje bramę niebios, niebieskie Jeruzalem, miasto święte oraz Ciało Chrystusa rozpięte na krzyżu. Kościół miał wiele znaczeń, które się wzajemnie uzupełniały i wspierały. Summa średniowiecznego geniuszu, gotycka katedra, jest tak bogata architektonicznie i treściowo, że może symbolizować jednocześnie wiele rzeczy naraz. Kościół to również miejsce modlitwy, ale w pewnym sensie następczo. Kościół ma swoje symboliczne znaczenie i dlatego ludzie tam przychodzą – gdzież można się lepiej modlić niż w niebieskim Jeruzalem?! Dlatego warto chodzić na modlitwę do kościoła. Między kościołem a innymi miejscami zachodzi głęboka różnica metafizyczna.

Budynku, który ma służyć za niebieskie Jeruzalem i miasto święte, nie można zbudować byle jak. Do takiego zadania należy podchodzić z bojaźnią i drżeniem. To samo dotyczy przebywania w takim budynku. Żeby zachowywać się jak, za przeproszeniem, japoński turysta w katedrze w Chartres, trzeba być naprawdę pozbawionym jakiegokolwiek wyczucia, trzeba do tego estetycznej i moralnej ślepoty. Natomiast żeby się godnie i z uszanowaniem zachowywać w kościele budowanym według najnowocześniejszych mód, trzeba od czasu do czasu sobie przypominać, gdzie się właściwie przyszło.

Czym jest symbol?

Kościół to w koncepcji średniowiecznej miejsce czcigodne ze względu na swoje symboliczne znaczenie. Co to jednak znaczy, że kościół coś symbolizuje? Chodzi o to, że teologowie tak się umówili? Dlaczego kościół miałby mieć jakikolwiek związek z niebieskim Jeruzalem?

Aby odpowiedzieć na te pytania, wróćmy do samego pojęcia symbolu. Pochodzi ono od greckiego συμβάλλω (symballo), czyli „zebrać razem". To słowo zyskało znaczenie metaforyczne za sprawą sposobu służącego do wzajemnego rozpoznawania się, na przykład przy zawieraniu interesów. Obie strony miały części nieregularnie połamanej tabliczki: gdy „zebrały razem" te części, a one do siebie pasowały, obie strony mogły być przekonane, że druga strona reprezentuje daną osobę, przy której połamało się tabliczkę.

Otóż w średniowieczu „zbierano razem" rzeczywistość zmysłową i rzeczywistość duchową. Każda rzecz zmysłowa ma swój odpowiednik – drugą część tabliczki – w świecie duchowym. Według stosowanej już przez ojców Kościoła metafory, Bóg napisał dwie księgi: księgę Pisma i księgę Natury. Za pomocą każdej z nich Bóg daje się poznać, trzeba tylko umieć te księgi czytać. Jak twierdził święty Bonawentura, czytanie księgi Natury zostało utrudnione przez grzech pierworodny i znieprawienie natury ludzkiej, jednak pozostaje ono dalej możliwe. Czytanie odsyła zawsze do znaczenia tego, co się czyta. Nie czyta się przecież książki dla samej książki albo dla liter, które zawiera, tylko dla treści, którą przekazuje. Według myślicieli średniowiecznych każda rzecz stworzona jest częścią napisanej przez Boga księgi, a prawdziwe znaczenie każdej rzeczy jest duchowe.

Używanie symbolu

Średniowieczna koncepcja symbolu odchodzi nieco od etymologii, gdyż w tejże dwie przystające do siebie tabliczki są równorzędne. Natomiast w średniowieczu to, co symbolizowane, jest ważniejsze od symbolu, duchowe znaczenie jest znacznie ważniejsze od samej zmysłowej rzeczy. Znakomicie obrazuje to roz-

FOT. WIKIMEDIA

eprasa.pl d19016ffac

różnienie świętego Augustyna na „uti" oraz „frui", „używanie" i „napawanie się". Rzeczami zmysłowymi nie powinniśmy się napawać, a jedynie ich używać. Mają one naturę środka, nie zaś celu. Świat zmysłowy porównuje Augustyn do statku, który ma nas zaprowadzić do ojczyzny. Byłoby absurdem podziwianie statku dla niego samego, w oderwaniu od tego, do czego służy. Cały byt statku wyczerpuje się w jego funkcji, jaką jest doprowadzenie do celu podróży. Tak samo cały byt świata stworzonego wyczerpuje się w jego funkcji, jaką jest doprowadzenia człowieka w drodze, „homo viator", do celu podróży – niebieskiej ojczyzny.

Przyczyna sprawcza stworzenia jest duchowa, duchowy jest też jego cel, mianowicie zbawienie ludu Bożego. Taki jest najgłębszy sens świata zmysłowego. Skoro najgłębszy sens świata zmysłowego to zbawienie ludu Bożego, pewna dowolność czy arbitralność w symbolicznym interpretowaniu świata wydaje się stosunkowo niegroźna. Nieważne, jak się używa środka do celu, skoro ostatecznie i tak doprowadzi on do celu. To tak jakby pływać jachtem na samym silniku (proszę o wybaczenie tego przykładu wszystkich miłośników żeglarstwa): jacht służy do żeglowania, a nie do pływania na silniku, ale jeśli przyjmiemy, że najważniejsze jest dotarcie do miejsca, to już nie ma się o co spierać, wszystko jedno, czy użyjemy żagli, czy silnika.

Na podobnej zasadzie potencjalna pomyłka w symbolicznym odczytaniu rzeczy zmysłowej wydaje się być mało istotna, jeśli i tak ostatecznie ta rzecz doprowadza do kontemplacji rzeczywistości wiecznych. Taka pomyłka dotyczyłaby samych rzeczy zmysłowych, a zatem środków, których należy tylko używać, nie zaś skupiać się na nich. Pewną charakterystyczną dla wielu ojców Kościoła i pisarzy średniowiecznych swobodę w symbolicznym odczytywaniu księgi Natury pokazuje znakomicie podejście do greckiego dzieła „Fizjolog". Dzieło to zostało napisane prawdopodobnie w Aleksandrii w II wieku. Zostały w nim zebrane opisy różnych zwierząt (istniejących i nieistniejących, takich jak jednorożec czy feniks) wraz z alegorycznymi znaczeniami, jakie ze sobą niosą. Do tych znaczeń pisarze chrześcijańscy dodawali swobodnie kolejne. Według słynnego przykładu, zastosowanego przez świętego Tomasza w pieśni „Adoro te devote", pelikan karmi swoje potomstwo krwią, tak jak Chrystus karmi krwią lud Boży. Święty Tomasz dość „ascetycznie" wykorzystał przykład pelikana, gdyż alegoria z nim związana jest znacznie bardziej rozbudowana. Otóż dzieci pelikana, gdy dorosną, uderzają swoich rodziców, ci zaś oddają im cios. Siła tego ciosu zabija młode. Później rodzice się litują i ożywiają dzieci swą krwią. Tak samo Bóg porzucił rodzaj ludzki po grzechu pierwszych rodziców i wysłał Adama i Ewę na śmierć. Później jednak zlitował się nad nami i dał nam swoją Krew, byśmy osiągnęli życie wieczne.

Czy pelikany naprawdę karmią krwią swoje młode? Okazuje się, że tylko tak to wygląda, bo podczas karmienia dziób pelikana zabarwia się na czerwono. Takie zabarwienie jest spowodowane energicznymi ruchami, jakie on wykonuje, by przekazać potomstwu złowione ryby. Czy wobec tego całą alegorię należy wyrzucić do śmietnika? Dla większości pisarzy chrześcijańskich starożytności i średniowiecza byłoby to nie do pomyślenia. Waga opowieści o pelikanie leży w jej doktrynalnym i moralnym znaczeniu. Wobec tego można dość beztrosko podchodzić do samych faktów, które mają jedynie to znaczenie oddać. Właściwie wszystko jedno, czy pelikan karmi krwią, ważne, że pomaga to zobrazować ważniejszą prawdę.

Ostrołuk ważniejszy od bramy niebios

Wybitny badacz architektury gotyckiej Otto von Simson wyróżnił trzy aspekty katedry gotyckiej: techniczny, estetyczny i symboliczny. W aspekcie technicznym mistrzowie architektury odkryli dwa kluczowe rozwiązania: sklepienie krzyżowo-żebrowe i łuk przyporowy, czyli łuk znajdujący się poza świątynią, mający ją odciążyć i nadać jej wnętrzu charakterystyczną dla gotyku lekkość. Jako pomysły techniczne, te rozwiązania zdają się nie mieć w sobie nic „mistycznego". Wydają się być równie obojętne religijnie co stosowanie żelbetonu czy wielkiej płyty. Jednak tak jak współczesny materializm przenika wszystkie dziedziny życia i wysuwa się na pierwsze miejsce, tak w średniowieczu wszystko przenikała duchowość; królowało symboliczne podejście do świata zmysłowego. Austriacki historyk sztuki Hans Sedlmayr twierdził wręcz, że techniczne rozwiązania gotyku służyły do ukazania świątyni jako niebiańskiego miasta. Materia była w służbie ducha do tego stopnia, że gdyby wielką płytę wynaleziono w średniowieczu, z pewnością znaleziono by dla niej jakieś symboliczne znaczenie. Wielka płyta mogłaby na przykład oznaczać kruchość ludzkiego powodzenia, choćby było ogromne jak sowiecki blok, albo to, że żadne myśli nie są ukryte przed Bogiem, tak jak nic nie jest ukryte przed sąsiadami w bloku z wielkiej płyty.

Epoka współczesna to średniowiecze à rebours: duch jest w służbie materii. To, co duchowe, sprowadza się z uporem godnym lepszej sprawy do tego, co materialne. Na pewnym wykładzie z algebry

eprasa.pl d19016ffac

słyszałem profesora mówiącego całkiem poważnie o tym, że wieczne platońskie byty matematyczne to bujda, bo naukowcy odkryli pewną bryłkę (czy obszar) w mózgu, odpowiedzialny za zdolności matematyczne. Miałem jeszcze przez chwilę nadzieję, że ów profesor się zaśmieje, ale na próżno. Czekam z niecierpliwością na artykuł jakiegoś uczonego muzykologa, który udowodni, że nie istnieje harmonia muzyczna, bo naukowcy odkryli pewien element ludzkiego organizmu odpowiedzialny za słuch (tak zwane „ucho").

Można zasadnie pytać, czy sztuka w takiej epoce może być piękna. Skupienie na aspekcie techniczno-materialnym przeszkadza we wzniesieniu się do duchowej wartości piękna. Joseph Ratzinger twierdził, że przeżywamy współcześnie kryzys sztuki i że „[…] jest on symptomem kryzysu człowieczeństwa, które właśnie w chwili największego nasilenia podboju świata przez element materialny popadło w swoistą ślepotę w odniesieniu do pytań wykraczających poza materialność: jest to ślepota, którą nazwać można ślepotą ducha". Jeśli chodzi o wzrok duchowy, średniowiecze było epoką dalekowidzów. Z pewną nonszalancją traktowano wówczas niekiedy fakty ze świata materialnego, natomiast wyostrzano wzrok na sprawy duchowe. Tak jak dla monarchów było oczywiste, że powinno się troszczyć o zbawienie swoich poddanych, tak też dla architektów było oczywiste, że powinni pomagać wiernym w zachwycaniu się Bożym pięknem. Kwestie techniczne miały funkcję służebną.

Arcybiskup Fulton Sheen, analizując szerzącą się szpetotę kościołów, stwierdził, że architektura sakralna jest w tak złym stanie, gdyż architekci nie mają do przekazania żadnego duchowego przesłania. Natomiast gotycka katedra miała tych duchowych przesłań tyle, że można nimi było sypać jak z rękawa. Kościół ma być zwrócony ku wschodowi, aby wierni, modląc się, mogli wpatrywać się w Jeruzalem – kolebkę wiary. Katedra ma plan krzyża, bo Chrystus, wspominając świątynię jerozolimską, stwierdził, że gdyby żydzi ją zburzyli, On ją odbuduje w trzy dni; odbudował w trzy dni świątynię swojego Ciała, zatem kościoły powinny mieć formę Ciała Chrystusa rozpiętego na krzyżu. W Chartres katedra jest nieco przechylona względem osi wschód-zachód, tak jak Ciało cierpiącego Chrystusa było na krzyżu przekrzywione od bólu. Dach jest symbolem miłosierdzia, które przykrywa grzechy. Łuki przyporowe wspierające bryłę kościoła przedstawiają siłę duchową, która nas podtrzymuje przeciwko pokusie. Każdy z tych symboli można kontemplować całymi dniami, wpatrując się we wspaniałość gotyckich katedr.

Patrzenie wzwyż albo na siebie nawzajem

Francuski mediewista Jacques le Goff, próbując w kilku słowach scharakteryzować różnicę między człowiekiem średniowiecza a człowiekiem czasów nowożytnych, przedstawił ich możliwe reakcje na widok jakiejś nieznanej rzeczy. Człowiek średniowiecza spytałby: „Po co Pan Bóg to stworzył?", natomiast człowiek czasów nowożytnych spytałby: „Co to jest?". Pierwsze pytanie zakłada natychmiastowe odniesienie do Stwórcy, drugie zakłada wyjaśnianie immanentne, skupione na tym świecie. Jako przykład niechaj posłużą rozważania na temat deszczu. Człowiek nowożytny rzekłby, że deszcz to opad atmosferyczny w postaci kropel wody spadających z chmury – ale po takim określeniu nadal nie byłoby wiadomo, po co właściwie jest deszcz. Człowiek średniowieczny rzekłby natomiast, że deszcz to Boże błogosławieństwo, służące temu, by człowiek mógł spożywać owoc swojej pracy. Takie podejście nie wyklucza naukowego badania zjawiska deszczu, lecz „istota" deszczu, jego najważniejszy aspekt, wiąże się z jego celowym ustanowieniem przez Boga. Prawdziwe poznanie deszczu wiąże się z poznaniem jego przyczyny celowej. Ten sposób myślenia narzuca się z całą mocą również współcześnie, gdy mamy do czynienia z organizmami żywymi. Gdy widzimy długą szyję żyrafy, nasuwa się niezwłocznie pytanie: „A po co taka długa szyja?". W średniowieczu takie celowościowe podejście dotyczyło całego stworzenia, a za dawcę celu uważano Stwórcę, nie zaś tajemnicze byty w rodzaju „natury" czy „ewolucji". Dla człowieka średniowiecznego świat był przeźroczysty: przezierał przez niego świat duchowy.

Dzięki nowoczesnej technice można konstruować prawie dowolne kształty kościołów, tylko pytanie – po co to robić? Skoro człowiek współczesny zatrzymuje swój wzrok na tym świecie, każda architektura, choćby najpiękniejsza, może się okazać nieskuteczna w prowadzeniu go do Boga. Wyżej była mowa o trzech aspektach czy poziomach architektury: technicznym, estetycznym i symbolicznym. Architektura gotycka, skupiając się na aspekcie symbolicznym, niejako zagarniała po drodze poziom piękna. Dbając o wyrażenie w kamieniu piękna Stwórcy, jakby niechcący, mimochodem, budowała piękne katedry. Katedry gotyckie nie miały być przede wszystkim piękne; miały być symboliczną „bramą niebios", i właśnie dzięki temu są piękne. Współczesne kościoły nie mają być przede wszystkim piękne; mają być dobrze skonstruowanym technicznie budynkiem o parametrach odpowiednich do przebywania odpowiedniej liczby osób – i właśnie dlatego są szpetne. ■

eprasa.pl d19016ffac

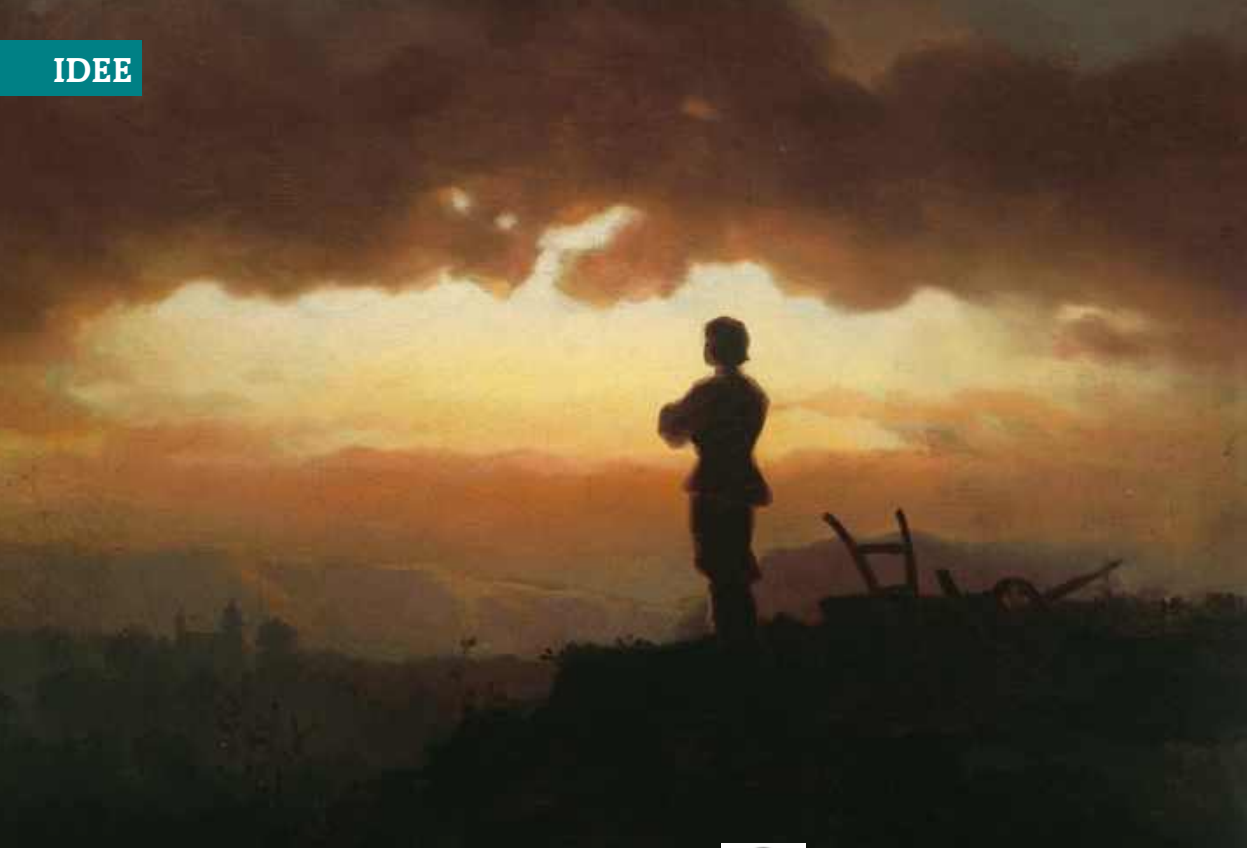

Ewa Polak-Pałkiewicz

Potrzebni nowi ziemianie

Miasto ze wsią. Wieś z miastem. To mógłby i powinien być program dla Polski. Także dla tych mieszczuchów, którzy tak lubią stare wiejskie domy i których serca wyrywają się do wiejskiej ciszy, szukają w niej nie tylko ukojenia, lecz także inspiracji, natchnień. Jakiejś zagubionej prawdy o życiu.

eprasa.pl d1901effac

Człowiek, który uprawia ziemię i żyje z ziem, i wychodzi rano w pole i patrzy w niebo. Czy tylko dlatego, by przewidzieć pogodę?

Rolnicy w naszym kraju to ludzie, którzy nie zapominali, że choć są na tej ziemi gospodarzami, odpowiadają za nią, nie dostali jej na wieczność. Ich przebywanie tutaj jest krótkie – i z tego trzeba wyciągnąć wnioski. Ten paradoks egzystencji człowieka stworzonego przez Boga ujawniał się w swoisty i wymowny sposób w naturze rolników – właścicieli ziemi, dzierżawców, posiadaczy drobnych gospodarstw. Niepisaną zasadą było pracować tak, jakby miało się tu spędzić całą wieczność, żyć z bliźnimi, tak jakby życie miało skończyć się z nastaniem wieczoru.

Ludzi z miasta może zdumiewać ilość i zakres obowiązków, które musiał wziąć na siebie polski chłop chcący utrzymać siebie i rodzinę z kawałka ziemi. Wydaje się zarazem niepojęte, jak ktoś taki, kto wstaje dzień w dzień przed świtem i haruje przez kilkanaście godzin, co niedzielę rano w kościele śpiewa na całe gardło na cześć Boga, uczestniczy w długich nabożeństwach i pokornie na kolanach bije się w piersi wieczorem, a zarazem jest przekonany, że to wszystko jest najbardziej racjonalną postawą człowieka. Nigdy nie traci nadziei.

Własność ziemi, choćby najdrobniejsza, status gospodarza – czyli twórcy całego ekonomicznego i materialnego ładu obejmującego uprawy i hodowlę, inwentarz, budynki gospodarcze i własną chałupę – czyni człowieka silnym, wyrabia charakter, poczucie obowiązku, odporność na przeciwności. Jest najsilniejszym źródłem poczucia własnej godności. Próżno szukać podobnych charakterów u mieszkańców metropolii żyjących ze spekulacji, handlu lub pracujących w wirtualnej rzeczywistości. Kontakt z ziemią uszlachetnia, surowe warunki życia czynią wspólnotę rodzinną i sąsiedzką bardziej spoistą, wiara krzepnie, człowiek poznaje swoją znikomość wobec rzeczywistości nadprzyrodzonej, świata stworzonego, sił natury. Lepiej pojmuje kruchość swego losu. Potrafi być twórczy, przewidujący, czujny wobec niebezpieczeństw – dzikich zwierząt, zmienności pogody, różnego rodzaju klęsk.

Upadek „starej dobrej Anglii”

Czy ktoś lepiej opisał degradację człowieka, który od stuleci żył na ziemi i z ziemi i oto nagle, bez żadnej dającej się zrozumieć przyczyny, został wyeksmitowany ze swojego gospodarstwa, odcięty od pracy na roli, pozbawiony warsztatu pracy, możliwości zapewnienia bytu rodzinie, niż Gilbert K. Chesterton w przejmującym eseju „Prawdziwa historia włóczęgi”? Pisarz ukazał nieprawdopodobny dramat setek tysięcy jego rodaków, których w okresie rewolucji przemysłowej zmuszono do opuszczenia ziemi, przegnano do miast, nie zapewniwszy minimalnych warunków samodzielnego utrzymania. Skazano na nieuchronną fizyczną i psychiczną degenerację. Chesterton opisuje skutki „śmiałego” projektu ekonomicznego (i wkrótce populacyjnego), który miał zamienić mieszkańców wsi, utrzymujących się z drobnej własności, w niewolników, głodowo opłacanych robotników wielkich zakładów przemysłowych, żyjących w nieludzkich warunkach, zgodnie z zasadą Malthusa, że biednych powinno być jak najmniej, bo roznoszą choroby i wszy, a ich potomstwo jest definitywnie zdegenerowane. Słowem, trzeba ich wytępić, ponieważ zanieczyszczają planetę swoją cherlawością i chorowitością, niezdolni do udziału w wielkim ekscytującym wyścigu o jeszcze więcej bogactw, luksusu i wypoczynku dla dobrze urodzonych, to jest – niezmuszonych do tego, by utrzymywać się z pracy własnych rąk.

Ci współcześni higieniści podzielili społeczność angielską na godnych i niegodnych, by mogli się rozmnażać. Liczba przytułków dla biednych, w tym dla dzieci, wzrosła lawinowo tylko dlatego, że trzeba było „sprzątnąć” sprzed oczu dobrze ubranych i odżywionych ludzkie szkielety o szarych twarzach. Przez pewien czas byli użyteczni dla właścicieli wielkiego przemysłu, bowiem „angielski plutokrata zaczął rozumieć nie tylko, że biedni są bezradni, ale że ich bezradność stała się jego jedyną potęgą… jego bogactwa ich zubożyły, ale ich ubóstwo mogło go wzbogacić. Ten paradoks, jak się przekonamy, odróżnia go od każdego innego rodzaju złodzieja”[1]. W ślad za tym ruszyła reforma prawa; pozwalało ono na „wsadzanie do więzienia szaleńców, których żaden lekarz nie zgodziłby się nazwać szaleńcami” – pisze Chesterton. „[…] argumenty na rzecz tego szalonego prawa mają charakter eugeniczny. Nie tylko otwarcie się o tym mówi, ale i usilnie to podkreśla, że cel ustawy jest taki, by żadna osoba, której owi propagandyści nie uznają za inteligentną, nie mogła mieć żony ani dzieci. Każdy ponury kloszard, każdy nieśmiały robotnik, każdy ekscentryczny wieśniak może całkiem łatwo znaleźć się w warunkach przewidzianych dla niebezpiecznych dla otoczenia szaleńców. […] zbliżamy się do państwa niewolniczego” – konkludował pisarz”[2].

[1] G.K. Chesterton, „Zemsta natury”, esej z tomu „Eugenika i inne zło”, Wydawnictwo Diecezjalne i Drukarnia w Sandomierzu, 2011.

[2] Zarówno w Anglii, jak i w Stanach Zjednoczonych i krajach skandynawskich w I połowie XX wieku dopuszczono do przymusowej sterylizacji dziesiątek tysięcy osób uznanych za chore psychicznie.

OBRAZ: ARTUPA GROTTGERA

eprasa.pl d19016ffac

Pomysł, by drobna własność rolnicza w Polsce przestała istnieć jako „nieopłacalna", by kilkuhektarowe gospodarstwa zniknęły wraz z ich właścicielami, a ziemia trafiła w ręce wielkich obszarników, jest analogiczny. Potrzeba taniej, jak najtańszej siły roboczej w innych „sektorach", los ludzi, rodzin jest bez znaczenia. Ktoś musi się wzbogacić o kolejne kawały ziemi, by uprawa roli przysporzyła mu majątku, więc, panie Ciemięgo, fora ze dwora, bierz się pan za zmywanie garów, kopanie rowów, ziemia ci się nie należy, boś za biedny. Zmuszony perspektywą nędzy zgodzi się ktoś taki pracować w przedsiębiorstwie bogatego za groszową płacę. Tak właśnie było w Anglii, gdy nabierała rozpędu rewolucja przemysłowa[3]. Jej beneficjenci to ludzie, którzy byli wystarczająco bystrzy, by dostrzec, że „pieniądze leżą na ulicy w najuboższych dzielnicach Londynu". Gdy nowoczesny plutokrata widzi nędzarza, „podnosi go to na duchu i wie, że jest bezpieczny" – komentował Chesterton. „To nie retoryka, ale ekonomia". Od tego był już tylko krok do wprowadzania w życie idei Francisa Galtona, pierwszego eugenika[4], a z czasem jego pojętnych uczniów, bo przecież, gdy narzędzie – w tym wypadku człowiek ubogi, pozbawiony własności – degeneruje się z powodu nędzy, przestaje być skuteczne, trzeba wymyślić sposób, by przestał się rozmnażać. Co komu po dużej ilości, niegdyś użytecznych, a dziś zardzewiałych narzędzi? Im ich mniej, tym lepiej.

Kiedyś próbowano klasycznych metod eugenicznych, uchodzących za wykwit nowoczesnej nauki, by zysk był współmierny do rozbudzonych apetytów konsumpcyjnych klasy średniej i klas wyższych. Dziś jest cały zestaw wielce „humanitarnych" sposobów aplikowanych niedouczonym – i niepodejrzewającym podstępu, a chcącym po prostu wygodnie żyć – darmowa aborcja, przymusowe lekcje edukacji zdrowotnej w szkole, propagowanie zboczeń i zmiany płci, manipulacje genetyczne. Są eksperci i edukatorzy, by już od małego dziecka wdrażać ludziom niezasługującym na to, by mieli potomstwo, te dobrodziejstwa, które zapewnią nikły lub żaden przyrost naturalny, zwłaszcza w klasie, której z uwagi na jej zadawnione kompleksy, dzikie nawyki – jak przywiązanie do tradycji, do wiary, do polskości – nie powinno się dawać szansy na pomnażanie potomstwa, a ich ziemię należy przejąć. Bo gospodarowanie na małych obszarach jest nieopłacalne. Eugenika przełomu XIX i XX wieku, za sprawą Galtona i jego uczniów, którzy postanowili zabawić się w Boga, zdawała się być panaceum na wszelkie społeczne problemy. Łatwo i bezboleśnie dostawali etykietę „ludzi nie w pełni" chorzy i biedni. Dziś polskie czasopismo dla nauczycieli biologii „Biologia w szkole" podaje, że Galton to postać nietuzinkowa: „[…] należał do najbardziej ekscentrycznych i barwnych naukowców tamtej epoki" i „dużo podróżował". Edukatorzy uśmiechniętej Polski nie próżnują[5]!

Wszyscy jesteśmy ze wsi

Gdy jako program życiowy młodym i starszym Polakom proponuje się codzienną radość z ciepłej wody w kranie, warto mieć w pamięci, że jeszcze niedawno społeczność Polaków składała się w przeważającej mierze z ludzi, którzy codziennie skoro świt wychodzili w pole. I było to dla nich prawdziwe wyzwanie, rodzaj zapasów z przeciwnościami, hartowanie ciała i ducha.

W Polsce prawie wszyscy jesteśmy ze wsi. Prawie w każdym z nas tkwią głęboko: jakiś obraz, jakieś głosy, zapachy, które oznaczały ów odległy ład, cichość, wspólnotę, rodzinność. Bezpieczeństwo i poczucie sensu. Może to skrzypienie żurawia przy studni, odgłos kopyt końskich na ubitej drodze, wspomnienie jazdy drabiniastym wozem pełnym snopków, poranne mgły nad rzeką, gdy szło się z dziadkiem na ryby, rozgrzany słońcem sad w popołudnie. Jeżeli dziś znikają obrazy, które nosimy pod powiekami, rozwiewają się kształty postaci, których krzątaninę na polach obserwowaliśmy z dziecięcą ciekawością, odczuwamy niepokój. Jaki jest jego skutek? Nieraz zaskakujący. Oto opustoszałe wiejskie domostwa, zwane teraz siedliskami, zaludniają ludzie z miasta. Gna ich do zarośniętych pokrzywami podwórek i leżących odłogiem pól. Rzucają się do koszenia trawy, palenia ognisk i wylegiwania pod zdziczałymi jabłonkami. Niektórzy tę tęsknotę nazywają atawizmem, inni sentymentalizmem i chłopomanią.

[3] Był to okres gwałtownych zmian technologicznych, gospodarczych, społecznych – zapoczątkowanych w XVIII wieku w Anglii i Szkocji – gdy gospodarka, bazująca na rolnictwie i manufakturze oraz rzemiośle, została radykalnie zastąpiona mechaniczną produkcją wielkich zakładów przemysłowych.

[4] Greckie słowo eugenes oznacza „dobrze rodzę". W 1908 roku z inicjatywy Karla Pearsona (współpracownika F. Galtona) i synów Darwina powstało Eugenics Education Society (późniejsze Eugenics Society), organizacja promująca zasadę, że tylko osoby zdrowe powinny się rozmnażać, prokreacji trzeba zabronić chorym.

[5] „Biologia w szkole" reklamuje się w 2026 roku jako „Inspirujące czasopismo dla nauczycieli biologii" i zapewnia, że zawiera „profesjonalne informacje i nowości z zakresu nauk przyrodniczych oraz sprawdzone rozwiązania i narzędzia podnoszące efektywność nauczania".

eprasa.pl d19016ffac

A tymczasem wiejskie kobiety, którym nie opłaca się już trzymać inwentarza, zaopatrują się w sklepach w jajka z wielkich farm, w watowate bułki na polepszaczach i w przetworzony w fabrykach żywności nabiał. Zaś panie z miasta – szczególnie te dobrze urodzone albo z większymi ambicjami – raczą rodzinę razowym chlebem wypiekanym w piekarniku i na parapecie hodują zioła. Gdy wieś jest szczęśliwa, że w każdym sklepie można dostać miejską wędlinę i kolorowe napoje, miasto ugania się za warzywami z gospodarstw ekologicznych, zaprzyjaźnia się z rolnikami z Podlasia czy Podkarpacia, którzy gospodarują jeszcze na paru hektarach. Wieś nie wybrzydza na żywność z plastikowych kubeczków, zamożne miasto coraz częściej szuka na targu świeżych grzybów, orzechów, jagód i borówek prosto z lasu.

Gdzieś od środka tych przetasowań, zamiany miejsc, ról i upodobań czai się jakiś niewypowiadany dramat. Szarpiące serce pytanie, co dalej? Co dalej ze wsią? Co dalej z ziemią? Co z Polską? Bo tak naprawdę nie chodzi tylko o jakość jedzenia, pustoszejące gospodarstwa, leżącą odłogiem uprawną, żyzną ziemię, choć o nią, rzecz jasna, chodzi bardzo mocno. Ale i o coś ważniejszego.

Pod szemranymi hasłami „wolnego rynku" odbywa się w Polsce od lat z górą czterdziestu mordowanie polskiej wsi. Niszczy ją pośrednictwo – bardzo często nieuczciwe – wymuszanie uprzemysłowienia upraw i hodowli oraz import żywności. W rezultacie chłop sprzedaje swoje płody za bezcen i dokłada do upraw. Żeby zmieścić się jakoś na nieuczciwym rynku (sprowadzanie taniej żywności ze Wschodu, opróżnianie magazynów UE sprzed dwudziestu lat etc.), zmuszony jest do produkowania coraz gorszej jakości żywności i produktów rolnych. To nie brak wiary czy rozsądku, tylko bieda zmusza go do tego. Jest ponadto utwierdzany w obligatoryjności idiotycznych przepisów unijnych dotyczących jego własnego gospodarstwa – czy więc może się czuć nadal faktycznym jego właścicielem? Przetwórstwo żywności jest w Polsce zmonopolizowane, małe zakłady, małe masarnie, które mają największe szanse, by wytwarzać zdrowe produkty, są zamykane pod byle pretekstem.

Drobnomieszczanin szlachcicem

Na wsi nie brakuje też tych, którzy gotowi są oddać ostatni kawałek ziemi, żeby mieć pieniądze na mieszkanie w mieście, nowy samochód i meble. Miastowi tymczasem liczą pieniądze, żeby starczyło choć na kilka arów „w ładnym miejscu", marzą o jakiejś walącej się chałupinie, własnej studni, obórce, kurach drepczących wśród chwastów. A kiedy już chłop pozbędzie się ziemi, która ciążyła mu jak kamień (za mało maszyn, nieopłacalne uprawy, uzależnienie od chemii, drożejące paliwo, nieobliczalny rynek) i staje się byłym rolnikiem, zaczyna stawiać paradne płoty, ogródki przydomowe zamienia na ogrody francuskie, domy – przypominające dotąd zwykłe klocki – na włoskie wille, opustoszałe obory pracowicie dekoruje kwiatami. Jego życie przypomina życie królewicza z bajki, który z żebraka stał się właścicielem fortuny. Jest szczęśliwy. Do czasu. Bo przecież pieniądze kiedyś się skończą…

Czy pojawia się wtedy oprócz żalu refleksja? Czy może liberalizm skutecznie wyparł z umysłu poczucie niezręczności i żalu, że weszło się w nie swoją rolę. Wieś naśladuje miasto, miasto chce naśladować dawną wieś. A wszystko nierzadko na pograniczu farsy. Bo to właśnie często liberalizm, przez rozbudzanie namiętności związanych z konsumpcją, nakręcanie wciąż nowych potrzeb wypędza młodych i starych z rodzinnych gospodarstw, przekonuje, że pozostanie na wsi „nie ma sensu", bo każdy wysiłek skończy się – wcześniej czy później – klęską. To liberalizm niszczy zakorzenienie na ojcowskiej ziemi i we wspólnocie, każe nie obchodzić już z takim pietyzmem i zaangażowaniem jak jeszcze dwadzieścia, trzydzieści lat temu Maryjnych świąt, parafialnych odpustów lub w ogóle o nich zapominać. To liberalizm powoduje ogromne straty w jakości polskich gleb, maltretowanych bez umiaru środkami chemicznymi, bo „z tej ziemi trzeba wycisnąć pieniądze". Domaga się, by wyczekiwać niecierpliwie godziny rozpoczęcia kolejnych odcinków seriali, tak jak kiedyś odwiedzin krewnych czy sąsiadów.

Liberalizm rozpowszechniony przez rządy postkomunistyczne pustoszy polską wieś, wydrąża ją duchowo, eksploatuje psychicznie i materialnie, obiecując pasmo powodzenia i przyjemności bez wysiłku, a potem – z upiornym chichotem – porzuca ją i zostawia samej sobie. Nie są odosobnione przypadki rolników, którzy – ulegając wizji łatwego życia, wyzbywszy się ziemi pod presją konsumpcyjnych marzeń albo po prostu bankrutując i nie mając siły na dźwiganie zrujnowanego gospodarstwa – z właścicieli, gospodarzy stali się wyrobnikami na cudzym, najmowanymi za grosze robotnikami bez przynależności do ziemi przodków, bez własności.

Ideologiczny kontekst

Chesterton, opisując upadek „starej dobrej Anglii", kraju rolniczego, kraju szczęśliwych ludzi przywiązanych do tradycji, szanujących ziemię jako źródło

eprasa.pl d19016ffac

utrzymania i dbających o rodzimy krajobraz, opisał także poniekąd – proroczo – dzisiejszą, skazaną na wymarcie przez bezduszną ekonomię, a w ostatnich dwóch latach przez cyniczną, podszytą ideologią politykę rządu – społeczność wolnych dotąd ludzi żyjących na wsi.

Jeszcze w latach 90. ubiegłego wieku zapowiadano na politycznych salonach podrabianych postkomunistycznych „elit", że Polskę trzeba ograbić z rolnictwa, wytrzebić w niej indywidualne gospodarstwa, zepchnąć na margines tę dziedzinę życia społecznego, która ma najwięcej wspólnego z wolnością, „wykończyć" gospodarkę, która przez ostatnie dziesięciolecia żywiła cały naród. Przeflancować ludność wiejską do miast na jakieś pseudoposady, tak jak w latach 50. XX wieku zaganiano ją do kopalń i kombinatów. Dlaczego? Bo indywidualne gospodarstwa chłopskie są ostoją katolicyzmu. Bo tu bije wciąż źródło zdrowej religijności. Tutaj rodzą się powołania. Tu żyją rodziny wielodzietne. Plan był prosty. Zastosować mechanizmy ekonomiczne. Nie mechanizmy zdrowej ekonomii, tylko globalnego, paneuropejskiego planu, poskręcanego w wymyślne supły, wysmażonego w jakimś dusznym gabinecie. W myśl tej strategii wprowadzanej w życie w całej Europie – ale w Polsce, z powodu radykalizmu środków, odczuwanej w ostatnich latach jako katastrofa narodowa – rolnictwo trzeba zdusić w pancernym uścisku rzekomych „praw rynku" i „praw ekologii" jak pluskwę. Rodzime potrzeby żywnościowe i prawdziwie wolny rynek zastąpić „kwotami" branymi z sufitu. A dziś jeszcze uruchomić taśmociąg taniej żywności z Ameryki Południowej. I oto na naszych oczach polskie rolnictwo naprawdę umiera. A w sklepach półki uginają się pod niebezpiecznymi dla zdrowia podróbkami żywności, sztucznymi, wylakierowanymi, napęczniałymi chemią.

Pora wyciągnąć wnioski. Jest na polskiej wsi wciąż wielka grupa ludzi, którzy trzymają się ziemi i nie zamierzają się poddać. Hardość polskiego chłopa bywa przysłowiowa. Na ziemi zostają prawdziwi arystokraci wsi. Zostają ci, którzy głęboko czują nie tylko zdroworozsądkowy i moralny, lecz także religijny wymiar powołania do pracy na roli. Nie trzeba dodawać, że właśnie tacy rolnicy okazują się często najbardziej przedsiębiorczy. Są to zarazem ludzie, dla których więź społeczna – wspólnota – i więź z ziemią nie są abstrakcją, lecz realną podstawą egzystencji. Ludzie, którzy pamiętają z własnego dzieciństwa pierwsze przykazanie pracy na roli, od którego ojciec i dziadek zaczynali każdy dzień: „Jeśli Pan Bóg nie pobłogosławi, nic z tego nie będzie". Zostają prawdziwi gospodarze, łączący praktyczną działalność z głębokim namysłem – bo uprawa ziemi nie ma nic wspólnego z mechanicznymi czynnościami. To kunszt, wymagająca czujności, wiedzy, inteligencji i intuicji twórcza współpraca ze Stwórcą. Jest takich ludzi coraz mniej. Tamci chłopi – spoczywający na wiejskich cmentarzach pod wysokimi drzewami (o ile nie wytrzebili tych szlachetnych drzew spryciarze zwani przedsiębiorcami, błyskawicznie zamieniający na złotówki każde naturalne bogactwo wiejskiego krajobrazu) – wiedzieli o tym najlepiej. Brakuje dziś ich mądrości wypracowanej przez pokolenia, niespiesznych decyzji podejmowanych po uważnych obserwacjach. Brakuje ich wyciągania gospodarskich wniosków w perspektywie lat, nie miesięcy – bo pracując na ziemi bez refleksji i wiedzy, łatwo można się pomylić, pomyłka zaś kosztować może głodną zimę – ich podpatrywania, co tam u sąsiada, jak on sobie radzi, ich gotowości, by zawsze spieszyć z pomocą tym, którzy są w potrzebie. Ich dobrych statecznych rad.

Projekt, który tkwi w ziemi

Encyklika Benedykta XVI „Caritas in veritate" z 2009 roku, w której tyle uwagi poświęcił on sprawom gospodarowania człowieka na ziemi zgodnie w planem Stwórcy (w zgodzie z najlepszym dla człowieka projektem, który po prostu tkwi w ziemi, obecny jest w przyrodzie, pod każdą szerokością geograficzną i trzeba go tylko odnaleźć, niczym bezcenny skarb, odczytać go z uwagą, obserwując te dobra, które otrzymaliśmy w darze), rozczarowuje tych, którzy szukają w takich dokumentach nowości i rewelacji. Nie trzeba zawrotnych technologii rujnujących każdą kieszeń, nieustannego poprawiania i ulepszania tego, co zostało stworzone jako doskonałe. Nie trzeba drogi na skróty. (Jak to ujął jeden z katolickich działaczy rolniczych, dostrzegający dramat nieracjonalnej wiejskiej gospodarki: „Jest dziś wielu rolników, którzy nie żywią i bronią, ale trują i zabijają").

Celem człowieka nie jest zdobycie fortuny, lecz życie wieczne – o tym pamiętali niegdysiejsi polscy ziemianie prowadzący, wraz z obejmowaniem ziemi pod swój zarząd, liczne dzieła społeczne na rzecz ludności wsi. Wsi potrzeba umiaru, rozsądku, uwagi, staranności, dyscypliny, odwagi. Współpracy nauki służącej człowiekowi i szlachetnego rolniczego rzemiosła. Bo ziemi nie da się uprawiać metodami przemysłowymi i biurokratycznymi nakazami. Inaczej będzie to bezduszna eksploatacja zakończona wcześniej czy później totalną klęską.

eprasa.pl d19016ffac

Fenomen rozwoju w Polsce gospodarstw ekologicznych – nie bez problemów, z wielkim trudem, jakim zawsze jest powrót do tradycji po latach eksperymentowania – udowadnia, że jest jeszcze możliwe to, co uznane zostało przez postkomunistycznych zarządców państwa za przeżytek i anachronizm „szkodzący wizerunkowi Polski". Polska wieś z przydrożnymi krzyżami i kapliczkami, wieś bez cuchnących na dziesiątki kilometrów ferm przemysłowego chowu trzody, ze stadami gęsi i kaczek nad stawami, nie musi wcale zarosnąć chwastami i stać się pierwotnym lasem albo sterylną niemiecką fermą, jak chcieliby projektanci z Brukseli. Nie musi też zostać skansenem, by szczątkowo przetrwać, pozostając jedynie atrakcją turystyczną dla zagranicznych gości. Może nadal żywić miasta i pozwolić godziwie żyć jej mieszkańcom. Pozostając ostoją polskiej tradycji, katolickiej kultury, wiary. Są w Polsce setki gospodarstw ekologicznych, którym uprawa i hodowla wciąż się opłaca, którym wszystko (lub prawie wszystko) się udaje, którzy nie mają wygórowanych potrzeb, wyśrubowanych oczekiwań, nieokiełznanych ambicji. Żyją statecznie, spokojnie, wiedząc, że na chleb z ich zboża będzie w Polsce zawsze zapotrzebowanie.

Potrzebni nowi ziemianie

Wsi jednak dramatycznie brakuje racjonalnych wzorców gospodarowania. Ludzie nawykli do ciężkiej pracy – choćby nawet tak trzeźwo myślący jak polscy chłopi – gubią się wśród nowych zjawisk społecznych i gospodarczych, spadających na nich niczym bezlitosny grad na delikatne wiosenne uprawy, które nie zawsze potrafią prawidłowo odczytać i zinterpretować (choćby problemu modyfikowanej genetycznie paszy i nasion). Brakuje instytucji obdarzonych autorytetem, które byłyby w oczach rolników w pełni wiarygodne i podjęłyby się bezstronnego oceniania rynkowych nowinek. Brakuje doradztwa tu, gdzie decyduje się zdrowie samych plantatorów czy hodowców i odbiorców ich produktów oraz jakość ziemi. W tej dziedzinie osiągamy szczyty niefrasobliwości. Brakuje inspiratorów zdrowej wiejskiej spółdzielczości i współpracy różnych sektorów rolnictwa. Jest czymś niezrozumiałym, że mnożące się w całej Polsce sklepy ekologiczne przeładowane są żywnością z krajów azjatyckich, z Włoch, Niemiec i Czech. Zdarzają się produkty z Belgii i Danii. Polskich jest jak na lekarstwo.

Przed wojną role wzorców, doradców, nierzadko opiekunów i pośredników rolników wobec handlu spełniali ziemianie i – w mniejszym zakresie – wiejska inteligencja. Tworzyli nie tylko nowoczesne lobby wspierające racjonalne zmiany gospodarcze na wsi, innowacje w uprawach i hodowli, stosowanie nowoczesnych maszyn, lecz także czuwali nad ładem społecznym i moralnym wiejskiego życia (przykładem był choćby bł. Jan Ulma).

Polskim rolnikom, którzy heroicznie trwają dziś na ziemi uprawianej własnoręcznie, należy się pomoc ludzi naprawdę mądrych, dobrze wykształconych. Ta pomoc powinna zmierzać do tego, by chłop mógł sprzedawać bez pośredników – lub przy pomocy uczciwych pośredników – swoją żywność miastu i utrzymać się z tego. To byłoby godziwe, sprawiedliwe i zarazem niezbędne, byśmy przetrwali jako naród – także fizycznie, uniezależniając się od podejrzanej jakości żywności z importu.

Polscy ziemianie troszczyli się o przyszłość chłopskich dzieci – zakładali dla nich ochronki, szkoły; polskie ziemianki służyły chłopskim rodzinom pomocą medyczną, nieraz na dużą skalę – to były zachowania powszechne; wyjątki zdarzały się, ale były objęte ostracyzmem ludzi tej sfery. Odpowiedzialność za ziemię i los pracujących na niej ludzi była częścią odpowiedzialności za państwo. Dziś nie ma takiej instytucji jak przedwojenne ziemiaństwo, które swoim autorytetem mogłoby w znacznym stopniu zapobiegać także plagom społecznym.

Miasto ze wsią. Wieś z miastem. To mógłby i powinien być program dla Polski. Także dla tych mieszczuchów, którzy tak lubią stare wiejskie domy i których serca wyrywają się do wiejskiej ciszy, szukają w niej nie tylko ukojenia, lecz także inspiracji, natchnień. Jakiejś zagubionej prawdy o życiu. Nie dajmy się jako Polacy podzielić i zobojętnieć na swoje potrzeby. Odpowiedzialność za ziemię, odpowiedzialność za los mieszkańców wsi to część odpowiedzialności za państwo i za nasze rodziny. „Z Szlachtą polską – polski Lud!" – nawoływał wieszcz, widząc zagrożenie ze strony rewolucji[6]. Ze szlachtą mentalną, rzecz jasna, innej już nie ma, i jedynie ona będzie potrafiła wziąć w swoje ręce odpowiedzialność za los Polski.

Gdy rolnik wychodził rano w pole i patrzył w niebo, to nie tylko dlatego, by przewidzieć pogodę. Czuł swoją zależność od Boga. Wiedział być może lepiej niż niejeden mieszkaniec miasta, że istnieje większa siła niż siły natury, które dobrze znał, potrafił z nimi współpracować lub im się przeciwstawić. Miał pokorę – wobec natury, której nie lekceważył – ale przede wszystkim wobec Boga. ■

[6] Zygmunt Krasiński, „Psalm miłości". Poeta wzywa do zjednoczenia wszystkich stanów w walce o niepodległość.

eprasa.pl d19016ffac

Małgorzata Matuszak

POKOLENIE ALFA: DZIECI CYFROWEGO ABSOLUTU

Pokolenie Alfa nie jest „gorsze” ani „trudniejsze” niż wcześniejsze generacje. Jest po prostu pierwszą generacją ukształtowaną przez warunki, które dla poprzednich nie istniały.

eprasa.pl d19016ffac

Żartobliwie można stwierdzić, że gdy alfabet skończył się na literze Z, zaczęliśmy pokolenia liczyć od nowa. Chociaż pokolenie Z uznajemy za „cyfrowych tubylców", to pokolenie Alfa dopiero dorasta w warunkach całkowitego zanurzenia w technologiach. Alfy nie są jednak po prostu „bardziej cyfrową" wersją Zetek. To generacja jakościowo odmienna, pierwsza w historii socjalizująca się od pierwszych dni życia w środowisku zdominowanym przez ekrany. Rodzi to pytania o długofalowe konsekwencje takiej socjalizacji. Jeśli zaś chcemy w pełni zrozumieć specyfikę najmłodszego pokolenia, nie możemy ograniczyć się wyłącznie do cyfryzacji, ale konieczne jest uwzględnienie całokształtu przemian społecznych i rodzinnych, które współkształtują jego doświadczenie dorastania.

Od iGen do Alfy, czyli gdzie zaczęła się zmiana

Aby uchwycić wyodrębnienie się pokolenia Alfa, warto wykorzystać jeszcze jedną perspektywę: pokolenie iGen, czyli najmłodszą część pokolenia Z. Pokolenie iGen stanowi swoistą fazę przejściową – grupę, u której proces cyfrowej internalizacji stał się szczególnie intensywny, lecz nie tak totalny jak u Alfy. Dopiero na tym tle widać, jak daleko zaszedł proces transformacji dzieciństwa. Alfa pełnymi garściami przejmuje cechy iGen, ale wynosi je na nowy poziom: poziom totalizacji, który niesie poważne konsekwencje dla rozwoju poznawczego, emocjonalnego i poznawczego.

W przypadku wcześniejszych generacji opis „cyfrowych tubylców" odnosił się do osób uczących się funkcjonować w świecie technologii, ale pamiętających jeszcze rzeczywistość sprzed inteligentnych telefonów, mediów społecznościowych i algorytmicznych rekomendacji. Zetki dorastały wraz z rozwojem internetu mobilnego, iGen zaś urodziło się już w świecie zdominowanym przez smartfony, choć jeszcze nie całkowicie ustrukturyzowanym przez krótką formę wideo, nieustanny feed [strumień treści – posty, filmy, zdjęcia – przyp. red.] i kulturę bodźców.

Pokolenie Alfa to najmłodsza obecnie generacja, obejmująca dzieci urodzone od około 2010 roku do połowy lat 20. XXI wieku. Są to w większości dzieci milenialsów, czyli pokolenia, które jako pierwsze na szeroką skalę weszło w dorosłość w erze cyfrowej, ale dobrze jeszcze pamięta świat sprzed dominacji smartfonów, mediów społecznościowych, co ma istotne znaczenie wychowawcze: milenialsi często łączą kompetencje cyfrowe z silnym naciskiem na bezpieczeństwo i rozwój dziecka, co sprzyja zarówno nadopiekuńczości, jak i intensywnemu wspieraniu edukacji. Nazwa „pokolenie Alfa" została zaproponowana przez australijskiego badacza Marka McCrindle'a i symbolicznie oznacza początek – po pokoleniu Z – nowej sekwencji, podobnie jak w alfabecie greckim. Ma ona podkreślać to, że mamy do czynienia z pierwszym pokoleniem urodzonym w całości w XXI wieku, w świecie w pełni ukształtowanym przez technologie cyfrowe. (Co ciekawe, Mark McCrindle wprowadził już pojęcie pokolenia Beta, którego nazwa symbolizuje kontynuację nowego cyklu pokoleniowego, przy czym „beta" ma podkreślać, że nie chodzi już tylko o rozwinięcie wcześniejszych trendów, lecz o wejście w kolejną fazę cywilizacyjną).

Od diagnozy do przestrogi, czyli jak cyfrowość zmienia myślenie

Jednym z najbardziej wyrazistych głosów opisujących konsekwencje cyfrowej socjalizacji jest Mark Bauerlein, który w swoich książkach formułuje ostrą, często kontrowersyjną tezę: młode pokolenie wychowane na ekranach staje się coraz bardziej powierzchowne, niecierpliwe i poznawczo osłabione. Bauerlein zwraca uwagę przede wszystkim na zanik głębokiej refleksji i zdolności do długotrwałego skupienia. W świecie natychmiastowych bodźców młodzi ludzie coraz rzadziej podejmują wysiłek wymagający czasu i konsekwencji. Zamiast tego funkcjonują w rytmie krótkich impulsów, które przynoszą szybką satysfakcję, ale nie prowadzą do trwałego rozwoju. Wiedza staje się fragmentaryczna, a myślenie coraz bardziej powierzchowne. Diagnozę tę dobrze streszczają tytuły książek Bauerleina: „The Dumbest Generation: How the Digital Age Stupefies Young Americans and Jeopardizes Our Future" z 2008 roku („Najgłupsze pokolenie. Jak epoka cyfrowa ogłupia młodych Amerykanów i zagraża naszej przyszłości) i „The Dumbest Generation Grows Up: From Stupefied Youth to Dangerous Adults" z 2021 roku („Najgłupsze pokolenie dorasta. Od ogłupiałej młodości do niebezpiecznej dorosłości").

Diagnoza Bauerleina budzi jednak zrozumiałe kontrowersje, jej autor ma bowiem tendencje do uogólnień i pomijania szerszego kontekstu społecznego, traktując technologię jako niemal jedyny czynnik sprawczy, co prowadzi do uproszczeń. Jego ton bywa katastroficzny, a wizja pokolenia zbyt jednowymiarowa. Mimo to trudno zignorować fakt, że wiele jego obserwacji znajduje potwierdzenie w rzeczywistości. Spadek koncentracji, uzależnienie od bodźców, trudności w radzeniu sobie z frustracją – to zjawiska coraz częściej obserwowane przez nauczycieli, psychologów i rodziców. Z perspektywy czasu widać też wyraźnie, że to, co Bauerlein opisywał w odniesieniu do iGen, w pokoleniu Alfa przybiera jeszcze bardziej wyrazistą formę.

Pokolenie Alfa to bowiem zupełnie inny etap zmiany pokoleniowej – etap cyfrowej absolutności. Dla Alfy ekran nie jest narzędziem, lecz środowiskiem. Nie stanowi dodatku do życia, lecz jest jego podstawowym wymiarem. Kontakt ze światem odbywa się przez interfejs, komunikacja – przez platformy, zabawa – przez aplikacje, a uczenie się – poprzez bodźce szybko wymienialne, intensywne i natychmiast nagradzające. Ta totalizacja zmienia wszystko: sposób percepcji, przetwarzania informacji, radzenia sobie z trudnościami, budowania relacji i rozwijania samodzielności.

ILU. MARIUSZ TROLIŃSKI AI

eprasa.pl d19016ffac

Od bodźca do rozproszenia, czyli skutki cyfrowej stymulacji

Pokolenie Alfa dorasta w warunkach permanentnej stymulacji, co bezpośrednio przekłada się na jego funkcjonowanie poznawcze. Coraz więcej dzieci ma trudności z koncentracją, zapamiętywaniem i otrzymaniem uwagi. Nic dziwnego, skoro wzorce funkcjonowania Alfy są kształtowane przez technologie projektowane tak, aby przyciągnąć uwagę w krótkich, intensywnych impulsach. TikTok, YouTube Shorts czy gry mobilne działają w oparciu o mechanizmy błyskawicznej nagrody: każdy gest, każde przesunięcie ekranu dostarcza nowy bodziec, który ma być bardziej atrakcyjny od poprzedniego. Dzieci, przyzwyczajone do takiego tempa odbioru treści, w naturalny sposób reagują frustracją, gdy zadanie wymaga czasu, skupienia lub monotonii. Coraz częściej obserwujemy stąd brak cierpliwości wobec działań, których efekty nie pojawiają się od razu. Zniechęcenie narasta błyskawicznie, a próg tolerancji na wysiłek spada. Nauka staje się procesem wymagającym znacznie większego wysiłku niż wcześniej, a przyswojona wiedza szybko ulega zapomnieniu.

Jednym z mniej oczywistych, ale coraz wyraźniejszych problemów pokolenia Alfa jest stosunek do samego procesu zapamiętywania. Dzieci nie tylko mają trudności z utrwalaniem wiedzy, lecz coraz częściej nie widzą w tym sensu. W świecie natychmiastowego dostępu do informacji pamięć przestaje być postrzegana jako wartość. Skoro każdą odpowiedź można w kilka sekund znaleźć w internecie, nie ma potrzeby jej przechowywania. Wiedza staje się „wyprowadzona" na zewnątrz – do wyszukiwarki, aplikacji, narzędzi opartych na sztucznej inteligencji. W efekcie zmienia się sposób myślenia o uczeniu się. Zamiast budowania wewnętrznych struktur wiedzy pojawia się poleganie na zewnętrznych źródłach. Dziecko nie szuka odpowiedzi w sobie, lecz poza sobą. Coraz częściej pojawia się przekonanie, że „technologia zrobi to za mnie", że wystarczy zapytać, a odpowiedź zostanie podana bez wysiłku pytającego. Problem zaś polega na tym, że wiedza, której się nie przyswoiło, nie staje się narzędziem myślenia. Bez zapamiętywania trudno o rozumienie, a bez rozumienia trudno o samodzielność poznawczą. W ten sposób łatwy dostęp do informacji, który mógłby być ogromnym wsparciem, zaczyna paradoksalnie ograniczać rozwój.

Od troski do nadmiaru, czyli współczesne wychowanie

Zmiany widoczne w funkcjonowaniu młodego pokolenia nie mogą być analizowane w oderwaniu od przemian rodziny i stylów wychowania. Współczesne rodzicielstwo przybiera różne formy – od nadopiekuńczego modelu „rodzica-helikoptera", przez „rodzica-kosiarkę", po podejście pobłażliwe lub nadmiernie wymagające. Wspólnym mianownikiem wszystkich tych stylów jest silna potrzeba kontroli i zabezpieczenia dziecka przed trudnościami. Równocześnie zmienia się sama struktura rodziny. Coraz więcej dzieci wychowuje się w rodzinach niepełnych bądź „patchworkowych", rzadziej też doświadcza bliskości z dziadkami, jednej z najpiękniejszych więzi, jaką dziecko może nawiązać w swoim życiu, dającej nie tylko poczucie bezpieczeństwa, lecz także mającej ogromny wpływ na jego rozwój emocjonalny, społeczny i moralny.

Rodzice, przeciążeni obowiązkami i sami funkcjonujący w świecie nadmiaru bodźców, mają coraz mniej czasu na budowanie relacji ze swoim dzieckiem. W tej sytuacji pojawia się mechanizm kompensacyjny: zamiast codziennej obecności oferuje się dzieciom intensywne doświadczenia i nadmiar atrakcji, kiedy tylko jest to możliwe, a na co dzień, po godzinach spędzonych w szkole, organizuje zajęcia dodatkowe, które zapełniają popołudnia.. W założeniu zajęcia te mają wspierać rozwój dziecka, jego kompetencje i zwiększać szanse na przyszły sukces. W tak zorganizowanej rzeczywistości brakuje jednak przestrzeni na odpoczynek, spontaniczność i – co szczególnie istotne – na nudę. Dziecko zaś, które nigdy się nie nudzi, nie uruchamia wyobraźni, nie musi podejmować wysiłku organizowania sobie świata, bo ktoś robi to za nie. Nie oznacza to, że zajęcia dodatkowe są z natury problematyczne. Przeciwnie, mogą być cennym elementem rozwoju dziecka, o ile są dostosowane do potrzeb i zainteresowań dziecka oraz zostawiają przestrzeń na odpoczynek i swobodę. Kluczowa jest bowiem proporcja.

W kontekście pokolenia Alfa problem ten nabiera szczególnego znaczenia. Dzieci, które i tak funkcjonują w świecie nadmiaru bodźców, dodatkowo obciążane są nadmiarem aktywności. W efekcie ich codzienność staje się ciągiem zadań i oczekiwań, a nie przestrzenią doświadczania, eksplorowania i spokojnego wzrastania.

Między nadmiarem a równowagą

Pokolenie Alfa nie jest „gorsze" ani „trudniejsze" niż wcześniejsze generacje. Jest po prostu pierwszą generacją ukształtowaną przez warunki, które dla poprzednich nie istniały. Aby zrozumieć Alfę, nie wystarczy jednak patrzeć tylko na ekrany, lecz spojrzeć trzeba na całokształt zmian, które zaszły w ciągu ostatnich kilkunastu lat, także tych społecznych. Ograniczenie dzieciom technologii nie jest więc jedynym wyzwaniem, które rzuca nam współczesny świat, bo tym najważniejszym wydaje się być przywrócenie równowagi w życiu młodego człowieka. Dzieci potrzebują bowiem nie tylko bodźców i możliwości, lecz także granic, ciszy i nudy. Potrzebują świata, który nie jest całkowicie wygładzony, lecz stawia opór i pozwala na realny rozwój. Bo to właśnie w tym oporze, nie komforcie, kształtuje się zdolność do radzenia sobie z rzeczywistością. ■

eprasa.pl d19016ffac

Małgorzata Matuszak

Czym jest... cisza

Cisza najczęściej kojarzy się z brakiem: brakiem dźwięku, brakiem słów, brakiem zakłóceń. Tak jakby dopiero po odjęciu wszystkiego, co natarczywe i głośne, zostawała ona, sama, zredukowana do pustej przestrzeni. Jednak takie jej rozumienie wydaje się niepełne, cisza bowiem nie zawsze zaczyna się wtedy, gdy milkną dźwięki. Czasem wszak zaczyna się dopiero wtedy, gdy przestajemy od nich uciekać.

Cisza ma wiele odcieni. Bywa kojąca, ale bywa też zupełnie niewygodna. Istnieje wszak cisza po kłótni, gęsta i raniąca. Istnieje też cisza samotności, która nie jest wyborem, lecz doświadczeniem braku. I wreszcie cisza, której się boimy, bo konfrontuje nas z tym, od czego zwykle uciekamy – z samym sobą. Hałas potrafi być bowiem schronieniem, wypełniać przestrzeń, w której mogłyby pojawić się pytania, na które nie chcemy odpowiadać. W ciszy zaś nie można już mówić „nie wiedziałem", bo w niej zaczyna się wiedzieć.

Szczególnym rodzajem ciszy jest cisza „pomiędzy", cisza przejścia. Nie jest to cisza wybrana, lecz dana. To cisza, która pojawia się po stracie, gdy dawne znaczenia przestają obowiązywać, a nowe jeszcze się nie narodziły. To cisza zawieszenia, w której nie wiadomo, co będzie dalej; tego bowiem, co było, już nie ma, a to, co ma przyjść, jeszcze nie nadeszło. Bywa trudna, czasem bolesna, niekiedy nie do zniesienia, jest jednak niezbędna. Bez niej każde „nowe" byłoby bowiem tylko powtórzeniem starego.

Szczególnie mocno sens takiej ciszy odsłania Wielkanoc. Między Wielkim Piątkiem a porankiem Zmartwychwstania pojawia się czas, w którym świat jakby milknie. Nie jest to cisza radosnego oczekiwania ani cisza skrajnej rozpaczy, ale właśnie cisza przejścia – tajemnicza, nieoczywista, pełna napięcia. Wszystko pozostaje w zawieszeniu: to, co było, już się domknęło, a to, co nowe, jeszcze nie odsłoniło swojej formy. Cisza Wielkiej Soboty nie zapowiada powrotu, lecz przemianę, która nie odtwarza starego porządku, ale otwiera przestrzeń dla czegoś zupełnie innego.

Warto zauważyć, że cisza nie jest tożsama z milczeniem. Milczenie jest gestem, świadomą decyzją, formą komunikacji. Cisza jest zaś przestrzenią, w którą się wchodzi, często poza własną wolą. Milczenie należy do człowieka, cisza wykracza poza niego. W rytmie Wielkanocy rozróżnienie to nabiera szczególnej ostrości: milczenie Wielkiego Piątku jest ludzką odpowiedzią na doświadczenie, którego nie sposób objąć słowami. Cisza Wielkiej Soboty jest natomiast czymś, co przekracza ludzkie gesty. Jest milczeniem świata, które pozwala rodzić się nowemu sensowi.

Współczesność nie sprzyja ciszy. Żyjemy w świecie, który premiuje stałą obecność, natychmiastową reakcję, nieustanny przepływ informacji, każda przerwa zaczyna być zatem postrzegana jak błąd, coś, co trzeba natychmiast wypełnić sygnałem, komentarzem, kolejną porcją treści. W takim świecie cisza wydaje się podejrzana. A przecież to właśnie ona otwiera przestrzeń dla doświadczeń, które nie mogą pojawić się w pośpiechu. To

> W CISZY CZŁOWIEK MOŻE ZOBACZYĆ TO, CO ZWYKLE UMYKA, I TO NIE DLATEGO, ŻE JEST UKRYTE, ALE DLATEGO, ŻE WYMAGA ZATRZYMANIA.

w ciszy możliwe jest spotkanie, które nie jest jedynie wymianą komunikatów. To w ciszy rodzi się refleksja, bo dopiero w niej słowa przestają zagłuszać znaczenie. W ciszy człowiek może zobaczyć to, co zwykle umyka, i to nie dlatego, że jest ukryte, ale dlatego, że wymaga zatrzymania. Cisza, tworząc przestrzeń, w której myśl może dojrzeć, a sens wyłonić się powoli, bez presji natychmiastowej odpowiedzi, staje się stąd warunkiem przemiany.

Czy potrafimy jeszcze być w ciszy? A może ważniejsze jest pytanie inne: czy w ogóle tego chcemy? Cisza nie jest łatwa, bo nie daje się kontrolować. Nie da się jej zagadać ani przyspieszyć. Wymaga zgody na to, by przez chwilę nic nie wypełniało przestrzeni poza tym, co jest. Ale to właśnie ona pozwala zobaczyć to, co najważniejsze, choć najrzadziej słyszane. Cisza nie jest więc tylko brakiem. Cisza jest warunkiem. I może właśnie dlatego warto czasem w nią wejść. Nie po to, by coś usłyszeć, lecz po to, by wreszcie przestać zagłuszać to, co już od dawna domaga się głosu. ■

eprasa.pl d19016ffac

Piotr Lisiewicz

Polski bohater z ONR. Szwargot żydowskich kramików i łoskot niemieckich czołgów

eprasa.pl d19016ffac

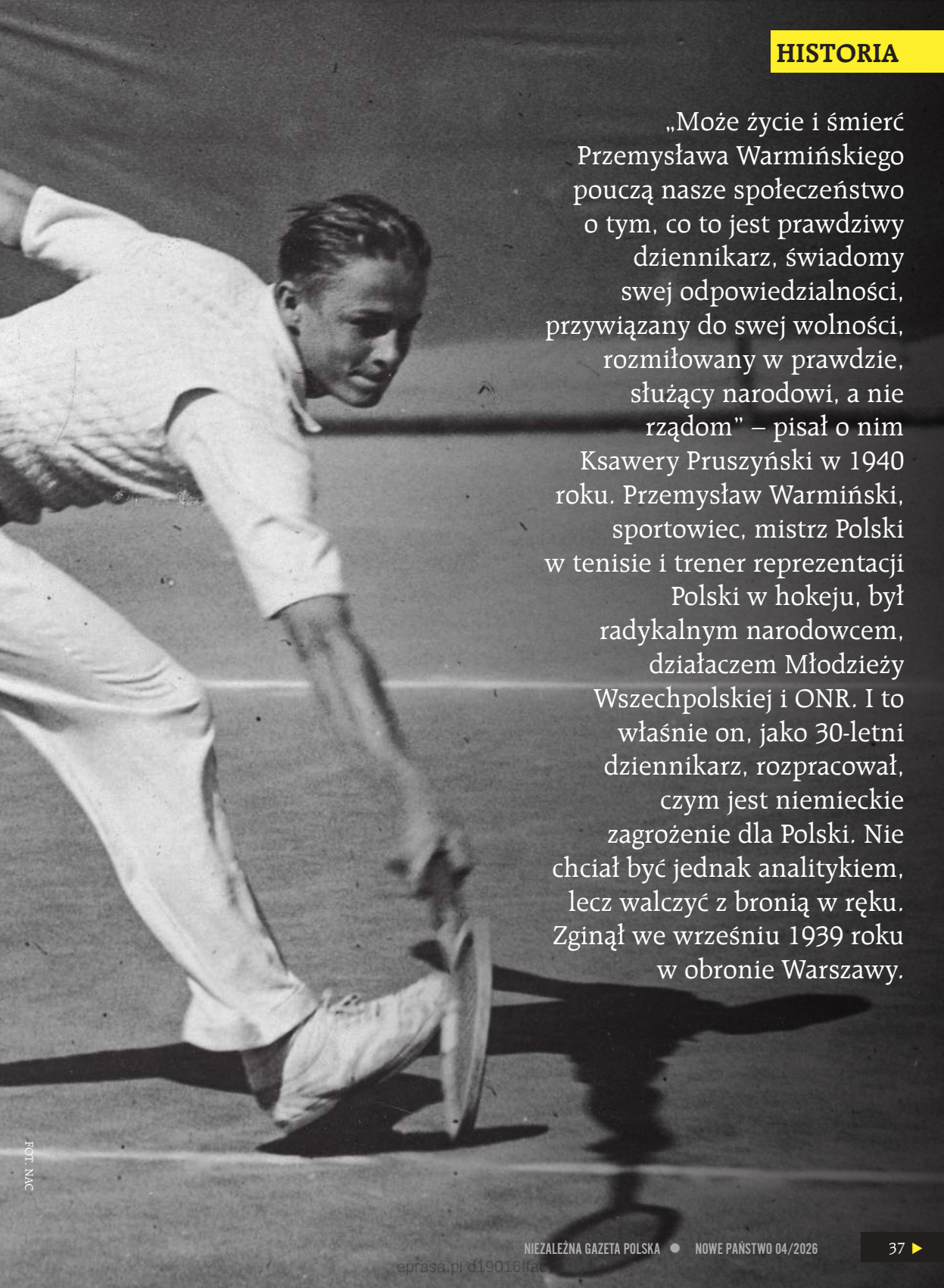

„Może życie i śmierć Przemysława Warmińskiego pouczą nasze społeczeństwo o tym, co to jest prawdziwy dziennikarz, świadomy swej odpowiedzialności, przywiązany do swej wolności, rozmiłowany w prawdzie, służący narodowi, a nie rządom" – pisał o nim Ksawery Pruszyński w 1940 roku. Przemysław Warmiński, sportowiec, mistrz Polski w tenisie i trener reprezentacji Polski w hokeju, był radykalnym narodowcem, działaczem Młodzieży Wszechpolskiej i ONR. I to właśnie on, jako 30-letni dziennikarz, rozpracował, czym jest niemieckie zagrożenie dla Polski. Nie chciał być jednak analitykiem, lecz walczyć z bronią w ręku. Zginął we wrześniu 1939 roku w obronie Warszawy.

FOT. NAC

eprasa.pl d19016ffa

Mieczysław Grydzewski w liście do Juliana Tuwima z 30 stycznia 1942 roku pisał mocno zdenerwowany faktem, że poeta rozpamiętuje… przedwojenny antysemityzm: „Oenerowiec Warmiński poległ w obronie Warszawy, a oenerowiec Piasecki [Stanisław, redaktor naczelny endeckiego „Prosto z mostu" – przyp. P.L.] został rozstrzelany za wydawanie tajnych pism antyniemieckich! Czy to doprawdy nie ma żadnego znaczenia?". Jakie były skutki tej polemiki i innych dwóch dawnych przyjaciół? Grydzewski, sam mający żydowskie korzenie, na emigracji stworzył londyńskie „Wiadomości", o których wściekły sowiecki minister Andriej Wyszyński wykrzykiwał do Brytyjczyków, że to najbardziej zajadle antysowieckie pismo na całej półkuli północnej. A Tuwim wybrał powrót do PRL i kolaborację z komunistami.

„Faszysta", który najtrafniej zdiagnozował Hitlera

Dla ludzi z obozu przeciwnego do endecji zaskoczeniem było, że to właśnie radykalny narodowiec, a więc dla wielu „faszysta", trafnie zdiagnozował, czym skończy się to, co dzieje się z Niemcami pod rządami z Hitlera. Zaczęło się to od wyjazdu 30-letniego korespondenta endeckiego „Kuriera Warszawskiego" do Czechosłowacji w 1938 roku. Pisał on o zajmowaniu tego państwa przez Niemcy: „Ostatnie dni wypełnione były przygnębiającym wrażeniem zdobycia reszty Czech przez Hitlera. Zdobycie bez wystrzału, na prośbę samych sterroryzowanych, pozbawionych godności narodowej Czechów. To coś nieprawdopodobnego, tym bardziej że po Czechach Słowacja, która w międzyczasie ogłosiła swą niezawisłość, poprosiła Hitlera o opiekę nad sobą!".

Już wtedy Warmiński, w przeciwieństwie do wielu analityków i dyplomatów, rozumiał, jakie będą skutki bierności Europy w sprawie zajęcia Austrii i Czechosłowacji: „Niemcy włączywszy Czechy i Morawy udzieliły im na papierze autonomii... W ręce ich wpadło bogate uzbrojenie, dość dużo złota oraz kilka ważnych ośrodków przemysłowych. A przede wszystkim wzmogła się ich pewność siebie i apetyty na panowanie nad światem, a w każdym razie środkową i wschodnią Europą. Prasa niemiecka wypisuje liczne artykuły o »Imperium germańskim«, którego początkiem były Czechy, a końca nie bardzo widać".

Gdy polski rząd szykował się do świętowania zajęcia Zaolzia, Warmiński nie odmawiając sukcesu Beckowi, pisał jednocześnie: „To jest po prostu potworny sukces Hitlera, którego nikt nie spodziewał się jeszcze przed trzema tygodniami. Za chwilę wkroczą jednak również, jak się zdaje, i wojska polskie na Śląsk Zaolzański, gdzie od szeregu dni toczą się krwawe walki naszych ochotników z Czechami. Boję się jednak, jak to się dla nas skończy".

Ksawery Pruszyński, a więc człowiek z piłsudczykowskiej strony barykady, oceniał później: „Nikt nie dostrzegł chyba całej grozy czechosłowackiego dramatu jak właśnie Warmiński, nikt go tu nie powiązał tak ściśle z całością spraw środkowoeuropejskich, nikt go tak nie umieścił logicznie w ramach hitlerowskiego snu o wielkiej Rzeszy. Gdyby ówczesne artykuły młodziutkiego dziennikarza były raportami naszych placówek dyplomatycznych czy meldunkami naszego wywiadu, gdy czytał je na Wierzbowej [siedziba przedwojennego MSZ – przyp. P.L.] nie jakiś zadufany urzędnik, ale przytomny człowiek, może byśmy nie szli w przepaść tak ślepo, tak ufnie".

„Przeszedłem pewnego rodzaju wstrząs wewnętrzny"

W czerwcu 1938 roku Warmiński został korespondentem w Berlinie. „Żal mi trochę opuszczać Warszawę, właśnie w maju, gdy kwitną bzy i gdy ułożyłem sobie bardzo przyjemnie stosunki" – pisał 30-latek. W Berlinie szybko nawiązał przydatne kontakty, niemniej nie zaaklimatyzował się. Pisał w pamiętniku: „Trochę się już wżyłem w stosunki berlińskie (…), ulokowałem się i urządziłem nie najgorzej, pieniędzy mam raczej wystarczająco – a jednak nie bardzo się mogę przyzwyczaić do niemieckiej atmosfery i towarzystwa – wyraźnie mi nie odpowiada".

24 października 1938 roku Warmiński pisał z Berlina, że to, co zobaczył, zmienia jego poglądy na wiele spraw: „Przeszedłem pewnego rodzaju wstrząs wewnętrzny. Uzmysłowiłem sobie dobitnie całą małość i bezsiłę polskich rozprzestrzenionych i zgrywających się w dywersjach rozrywek, całą beznadziejność dzisiejszych stosunków, programów i nastawień psychicznych. I postanowiłem przyczynić się w odpowiednim zakresie do ich zmienienia, na początek oczywiście u siebie i innych najbliższych przyjaciół politycznych". 30-latek nie miał wątpliwości, co się w Europie szykuje: „Jasne jest już dziś dla każdego, że straszliwa wojna europejska jest do nieuniknienia". Niestety, dla wszystkich jasne to nie było, a jego korespondencje nie były doceniane przez władze. „Po kilku już tygodniach, jeszcze w najlepszym okresie polsko-niemieckich stosunków, zorientował się w prawdziwym stanie rzeczy. Znowu jego artykuły były niechętnie przyjmowane przez władze. W oczach ich Warmiński był dywersantem, panikarzem, defetystą, warchołem" – oceniał Ksawery Pruszyński.

Mama z Sokoła i wujek Cyryl Ratajski

Przemysław Maria Longinus Warmiński urodził się 14 marca 1908 roku w Bydgoszczy. Był synem Emila Józefa Warmińskiego, polskiego lekarza i polskiego działacza narodowego, oraz Haliny z Mayów. Matka była działaczką Towarzystwa Gimnastycznego „Sokół" oraz Narodowej Organizacji Kobiet. Miał siostrę Sławutę, a potem także rodzeństwo przyrodnie – siostrę Jadwigę, która była kurierem organizacji „Ojczyzna", oraz brata Andrzeja. Ich ojcem był

eprasa.pl d19016ffac

ojczym Przemysława – przedsiębiorca Andrzej Rozmiarek. Najbardziej znany był jednak wuj Warmińskiego, Cyryl Ratajski, przyszły prezydent Poznania, minister spraw wewnętrznych w rządzie Władysława Grabskiego, a podczas II wojny światowej delegat rządu na kraj.

Uczęszczał do Gimnazjum św. Marii Magdaleny w Poznaniu. Uczył się tam języka łacińskiego przez cały okres nauki, zaś greki od czwartej klasy. Po maturze w maju 1926 roku rozpoczął studia na Wydziale Prawno-Ekonomicznym Uniwersytetu Poznańskiego. Tutaj w marcu 1927 roku został członkiem Bratniej Pomocy. Na początku działał w Korporacji Akademickiej „Helionia", a po kilku miesiącach dołączył do Korporacji Akademickiej „Baltia".

Na Riwierę Francuską za pieniądze Babulki

Już w 1924 roku, jako 16-letni uczeń gimnazjum, został członkiem sekcji tenisowej AZS. W 1926 roku, jako 18-latek, był rewelacją Mistrzostw Polski we Lwowie, w których zajął trzecie miejsce, w półfinale przegrywając ze Stanisławem Czetwertyńskim, który zdobył tytuł mistrzowski. „Z jego nazwiskiem, które wypłynęło po raz pierwszy około 1927 r., łączył tenis polski początki swego powojennego dźwigania się. W Warmińskim przybyła mu wtedy jedna z pierwszych polskich rakiet" – pisał Ksawery Pruszyński.

W jego pamiętniku pod datą „Poznań, 29 grudnia 1927 roku" odnajdujemy zabawny wpis oddający ówczesne realia polskiego sportu: „Przy omawianiu reprezentacji polskiej w grach o Puchar Davisa brano także i mnie pod uwagę, i czy wobec tego nie mógłbym poświęcić 6–8 tygodni na trening tenisowy na Riwierze Francuskiej. Koszta tego wynosiłyby koło 2500 złotych. Mam odpowiedzieć, czy mógłbym to zrobić na własny koszt, czy też potrzebne by było na to subsydium ze strony Związku. Pokazałem ten list Matce, która początkowo (tak, jak i ja) odniosła się do tego, jako do czegoś zupełnie niemożliwego, potem jednak oświadczyła, że może dać 500 zł oraz zaciągnąć pożyczkę 1000 zł u Babulki. Ponieważ Babulka gotowa jest dać taką pożyczkę, pozostaje tylko suma 1000 zł".

Poinformował tenisowy związek, że rozporządza sumą 1500 zł, więc potrzebuje subsydium w wysokości 1000 zł. Jak pisał, „pozostała jeszcze kwestia wyrzutów sumienia, jakie odczuwam, że ja, chłopak nawet nie dwudziestoletni, mam jechać na dwa prawie miesiące na Riwierę i tam grać tylko w tenisa i bawić się. Wziąłbym jednak w razie ewentualnego wyjazdu książki i przygotowałbym się do egzaminu i w ten sposób starałbym się przed sobą uniewinnić. Zdaje się, że przed nikim innym nie potrzeba".

Oenerowiec w Pucharze Davisa

Był wielokrotnym mistrzem Poznania i Wielkopolski, a także akademickim mistrzem Polski. Zdobył dwa tytuły mistrza Polski – w 1932 roku w deblu z Ignacym Tłoczyńskim, a w 1930 roku w mikście z Jadwigą Jędrzejowską. Był też wicemistrzem Polski w grze pojedynczej w 1929 roku oraz w deblu w 1929 i 1930 roku.

W meczach Pucharu Davisa wystąpił cztery razy w latach 1928–1932. Przy tej okazji znów pojawiają się w jego pamiętniku wpisy na temat koniecznych wydatków: „Kupiłem rakietę za 450 franków, wstęp do Klubu prawie 300 fr. – wstęp na turniej codziennie 40 fr., jednak teraz płacić będę tylko wpisowe 50 fr. za pierwszą, po 35 fr. za każdą dalszą konkurencję. Chcę sobie kupić jeszcze jedną rakietę i mieszkać w Monte Carlo i Mentonie, gdzie będą turnieje za tydzień, w hotelu lub pensjonacie, a mimo to myślę, że mi starczy na półtora miesiąca i trzy dni w Paryżu".

W ówczesnym sporcie powszechne było uprawianie wielu dyscyplin jednocześnie. Warmiński był więc mistrzem Polski nie tylko w tenisie, lecz także – jak wówczas pisano – „hockeyu". Grał w sekcji hokejowej w AZS-ie Poznań. 16 grudnia 1928 roku zainicjował powstanie Okręgowej Komisji Międzyklubowej Hokeja na Lodzie. Był również pionierem, jeśli chodzi o sędziowanie w tej zimowej dyscyplinie. Grał w ligowych rozgrywkach hokejowych, zdobywając mistrzostwo Polski w 1934 roku. Wcześniej, w 1931 i 1933 roku, zajmował wraz z drużyną trzecie miejsce. W 1938 roku objął funkcję trenera reprezentacji narodowej w hokeju. Przy tej okazji w jego pamiętniku pojawiają się wpisy, po których poznać można działacza ONR: „Zostałem w międzyczasie wybrany kapitanem sportowym PZHL (hokej), w miejsce Żyda Saksa. Oznacza to wzrost obowiązków, ale i również gratisowe (a nawet i dochodowe) wyjazdy z drużyną", „spadło na mnie całe odium »zażydziałej« prasy sportowej, brukowej – niedawno przecież »wysadziłem z siodła« żydlaka Saksa".

Ścigany w niepodległej Polsce

Temperatura ówczesnych sporów politycznych była bardzo gorąca. Warmiński w maju 1927 roku przystąpił do Młodzieży Wszechpolskiej. Należał też do akademickiej sekcji Obozu Wielkiej Polski. W grudniu 1928 roku brał udział w IV Kongresie Młodzieży Wszechpolskiej. Pod koniec marca 1930 roku został kierownikiem grupy akademickiej OWP, zaś 10 listopada tego roku stanął na czele poznańskiej MW jako jej prezes. Po ukończeniu studiów prawniczych w 1931 roku odbył służbę wojskową i rozpoczął pracę w Zachodnio-Polskim Towarzystwie Kredytowym. Przyjęty został na praktykę u adwokata Wlazły.

W 1932 roku stał na czele tajnej organizacji „Zet" kierującej narodowcami uczelni poznańskich. Po rozwiązaniu OWP przystąpił do Obozu Narodowo-Radykalnego. Po zdelegalizowaniu ONR kontynuował nielegalną działalność. Wydrukował ulotkę, w której zarzucał członkom rządu żydowskie korzenie. Został inspektorem kolejnej nielegalnej struktury o nazwie Obóz Narodowej Rewolucji. Grupa wy-

eprasa.pl d19016ffac

dawała legalny dwutygodnik „Jutro" oraz konspiracyjne pismo „Bojowiec".

„W swym pamiętniku Warmiński świadomie przemilczał pewne wydarzenia ze względu na tajemnicę, jaka go obowiązywała. Nie informuje o poufnych spotkaniach organizacji »Zet« czy o wynikach rozmów z czołowymi przywódcami endecji, np. z Dmowskim. Obawiał się rewizji i aresztowań. Dlatego też pamiętnik przechowywany był w tajemnych schowkach" – pisał Zygmunt Kaczmarek w artykule „Pamiętnik Przemysława Warmińskiego (1927–1939)" w „Kwartalniku Historii Prasy Polskiej" (17/3, s. 103–114). Jak stwierdzał, Warmiński miał świadomość, że „informacje tutaj zawarte mogłyby być wykorzystane przez władze sądowe jako dowód przeciw autorowi i wymienionym i z imienia, i nazwiska kolegom, tym bardziej że poprzez koligacje rodzinne spokrewniony był z czołowymi osobistościami życia społecznego, gospodarczego i politycznego Poznania".

Jesienią 1935 roku Warmińskiemu wytoczono proces, w którym skazany został na osiem lat więzienia w zawieszeniu na pięć lat. Ale na początku 1936 roku Sąd Apelacyjny umorzył postępowanie w jego sprawie.

Szwargot żydowskich kramików i łoskot niemieckich czołgów

Po zakończeniu kariery sportowej Warmiński został dziennikarzem, co było w ówczesnych czasach częstą drogą kariery byłych sportowców. Publikował w endeckich czasopismach „Szczerbiec", „ABC-Nowiny Codzienne", „Życie Korporacyjne", „Podbipięta", „Nowy Ład", „Kurier Poznański", „Kurier Warszawski" i „Polonia". Znów we wpisach w pamiętniku pojawiają się przyziemne kwestie finansowe: „Dziś ostatecznie uzgodniłem moją stałą współpracę w ABC, co prawda na początek jedynie za 200 zł miesięcznie. Ale tylko 2 godz. dziennie, a poza tym z pracy tej skorzystam wiele (nie tylko językowo) oraz będę czerpał materiał do artykułów także i do innych pism. Mam bowiem mieć dział Francji, Niemiec z obowiązkiem przeczytania licznych pism francuskich i niemieckich".

Zanim Warmiński został korespondentem z Pragi i Berlina, trafił do Wiednia. Zygmunt Kaczmarek pisał: „Konsulat polski w Wiedniu znajdował się w ciągłym oblężeniu. Poddani represjom Żydzi zamieszkali w Austrii, a posiadający jakiekolwiek więzy łączące ich z Polską spieszyli do konsulatu polskiego z prośbą o paszport, aby uciec przed szykanami i prześladowaniami hitlerowskimi. Wielu z nich miało powpinane w płaszcze polskie orzełki czy biało-czerwone odznaki, które miały gwarantować im nietykalność na ulicach. Wielu z nich nie znało języka polskiego". A Warmiński pisał o tym prawdę, nie kierując się przypisywanymi radykalnym narodowcom uprzedzeniami: „Rzeczywiście położenie Żydów wiedeńskich nie jest do pozazdroszczenia. Pozbawieni są jakiejkolwiek obrony, podstawowych chociażby praw. Zastosowano w stosunku do nich najbardziej złośliwe i poniżające represje".

Ksawery Pruszyński związany z piłsudczykami pisał o jego dziennikarstwie: „Do redakcji (…) przyszedł z boiska sportowego (…) Wniósł tu sportową szczerość, fair play w dyskusji, jasność obserwacji, czujność odruchów, celowość reakcji. Było to dziennikarstwo oparte na solidnej informacji dalekie od złej woli, stronniczości, insynuacji, napastliwości".

Okazał się nie tylko niezależny, lecz także przenikliwy. Pruszyński pisał: „Na niewątpliwe i największe dobro Warmińskiego jak politycznego działacza wypadnie zapisać to, że w gronie oenerowców był właśnie tym, który w porę dostrzegł cały ogrom i grozę niebezpieczeństwa niemieckiego. Czynił to zaś w chwili, w której w Polsce najmniej o tym mówiono, i w środowisku, które właśnie wtedy szereg innych spraw i innych niebezpieczeństw wysuwało na plan najpierwszy. I Polska, i ruch polityczny, w którego szeregi wszedł Warmiński, zapiszą mu to kiedyś za najwyższą zasługę, że w latach 1938–1939 szwargot żydowskich kramików nie zagłuszył – w jego przynajmniej uszach – zbliżającego się łoskotu niemieckich czołgów".

Jak polityka historyczna Hitlera przygotowywała atak na Polskę

W 1938 roku, już jako korespondent z Berlina, opisywał przygotowania propagandowe do ataku Niemiec na Polskę. W maju 1938 roku w siedzibie pruskiej Akademii Umiejętności na Unten der Linden otwarta została wystawa pokazująca rolę Niemców poza granicami kraju. Warmiński pisał w „Kurierze Warszawskim": „Oczywiście Polska reprezentowana jest tutaj pokaźną ilością różnych wydawnictw, przywilejów i innych dowodów żywej działalności niemieckiej na ziemiach polskich przed wiekami". Na wystawie odkrył szereg niemieckich rękopisów Mikołaja Kopernika oraz oryginał jego najważniejszego dzieła wydanego w Norymberdze. „Ma to dowodzić niemieckiej przynależności narodowej polskiego astronoma" – pisał. Były też niemieckie materiały agitacyjne, napisane po polsku, sprzed plebiscytów na Górnym Śląsku czy Warmii i Mazurach. Wszystkie ulotki były zredagowane w polskim lub polsko-niemieckim brzmieniu. Warmiński pisał: „Nie są skierowane do niemieckiego kolonisty, zatytułowane są bowiem niemal wszystkie po polsku »Rodaku«. A argumenty w nich nie mówią o narodowości niemieckiej, przeciwnie skierowane są do Polaków, którym lepiej będzie pod niemieckim i porządkami". Trudno nie mieć współczesnych skojarzeń…

Jak pisze Ksawery Pruszyński, Warmiński wykonał swoje dziennikarskie zadanie, ale nie wyciągnęli z niego wniosków rządzący. Gdy w czerwcu 1939 roku dziennikarz opuszczał Berlin, „przed niczym już nie dało się przestrzec,

eprasa.pl d19016ffac

niczemu zapobiec. Zadanie dziennikarskie było skończone". Dlatego „przez ostatnie miesiące przygotowywał się tylko do wojny. Doskonały dziennikarz, świetny znawca Niemiec i stosunków w III Rzeszy, dobry propagator, nie widział dla siebie miejsc w jakimś biurze, w jakiejś akcji. Byłby niewątpliwie oddał tam usługi cenne i istotne. Nad to wszystko przełożył jednak trud żołnierskiej walki. Zgłosił się do szeregów ochotniczych".

„Znów w polskim mundurze wkroczę do poznańskiego czy na Grochów"

1 września 1939 roku zastał Warmińskiego w Warszawie. 4 września 1939 roku jako ochotnik powołany został do wojska. Jako że jego 36. pułk piechoty wyruszył przed wybuchem wojny poza stolicę, Warmiński został przydzielony do 21. pułku piechoty. Jak relacjonował Zygmunt Kaczmarek, 7 września został wysłany na Grochów i przydzielony do 1. plutonu 2. kompanii „Obrony Pragi". „Dowództwo plutonu spoczywało w rękach Warmińskiego i podporucznika rezerwy B. Cybucha. Kompanią dowodził kpt. Błaszczak. Kwatera Warmińskiego mieściła się przy ul. Grochowskiej 255 (róg Podskarbińskiej), tzn. na linii pierwszej barykady, którą ustawiono przed domem" – czytamy.

Jak pisze dalej Kaczmarek, Warmiński specjalizował się w patrolach rozpoznawczo-bojowych, które dowodzone przez niego, zapuszczały się w głąb placówek niemieckich, przyprowadzając niejednokrotnie jeńców. Miał opinię najodważniejszego oficera. W ostatnim liście do rodziny pisał: „Urwałem się na chwilę z mej barykady grochowskiej do Warszawy i piszę ten list z nadzieją, że jakoś prędzej czy później dojdzie do Waszych rąk… Stępiałem już przez dwa tygodnie trwając jako dowódca czołowej barykady na Grochowie, w piekle narażonym chyba najbardziej na systematyczne niszczenie".

O dokonaniach swojego oddziału pisał: „Nie będę się rozwodził, co i jak robię, zapewniam tylko, że tam na barykadzie spełniam me skromne żołnierskie obowiązki należycie. Pochwalić się muszę, a sprawi to Wam na pewno dużą satysfakcję, że już w pierwszych dniach zawnioskowany zostałem na Krzyż Walecznych. Z mych wyczynów najlepszy to wzięcie do niewoli z patrolem […] 17 Niemców z podpułkownikiem i 2 innymi i oficerami. Miałem przy tym zresztą wiele szczęścia, podobnie jak przy innych licznych okazjach, gdzie omijały mnie bliskie strzały karabinów maszynowych". Miał też sukcesy osobiste: „Wczoraj jeszcze »własnoręcznie« z KMM uśmierciłem jednego Niemca i jednego raniłem".

Co do tego, jak się skończy obrona Warszawy, nie miał wielkich złudzeń: „Moja metoda »prowokuj szczęście uśmiechem zwycięskim, choć czarna rozpacz w serce ci się wziera, mogły być dni zwycięstwa, muszą być i dni klęski, śmiałeś się i wówczas, śmiej się więc i teraz« – coraz trudniejsza jest do urzeczywistnienia. Raczej łzy cisną się nieraz na myśl o naszej klęsce, na widok spustoszenia i cudzej nędzy".

Liczył jednak, że ofiary nie pójdą na marne: „Patrzę realnie na sytuację i dlatego uważam, że nasz opór, tu w Warszawie czy gdziekolwiek indziej, ma wielki cel i znaczenie… nie mam złudzeń – padniemy. Tylko, że wierzę święcie nie pójdzie to nadaremnie i opłaci się może bardzo nawet prędko i sowicie… Postanowiłem sobie trwać tu do ostatka, a potem, jeśli Warszawa padnie – wierzę, że uda mi się przetrwać żywcem i przedrzeć się do Francji, do naszego legionu. I że znów w polskim mundurze wkroczę do poznańskiego czy na Grochów".

Służąc narodowi, a nie rządom

Niestety, nadzieje na powrót do Poznania i Warszawy nie sprawdziły się, podobnie jak nadzieje na prędki powrót niepodległej Polski. Na ostatni patrol wyszedł Warmiński ze swoim oddziałem 26 września około godziny 18. Szedł na czele swojego oddziału, od jego kwatery ulicą Grochowską chodnikiem, nie kryjąc się. Gdy posuwając się Grochowską, minęli, biegnąc poprzecznie, ul. Modrzewiową, padła ze strony Niemców salwa karabinowa, po której „Warmiński został ciężko ranny. W wyniku odniesionych ran w szyję, piersi i nogę Warmiński w tym samym dniu zmarł" – relacjonował Kaczmarek.

30 września pochowany został w grobowcu „Kuriera Warszawskiego" na Powązkach. Ciało ekshumowano 8 września 1948 roku. Pochowany został na Cmentarzu Wojskowym na Powązkach w kwaterze Obrońców Warszawy (kwatera C25-3-19).

„Może życie i śmierć Przemysława Warmińskiego pouczą nasze społeczeństwo o tym co to jest prawdziwy dziennikarz, świadomy swej odpowiedzialności, przywiązany do swej wolności, rozmiłowany w prawdzie, służący narodowi, a nie rządom. Może tak się stanie, że na tym jednym, ale niejedynym przykładzie pocznie dojrzewać i u nas potrzeba wolności słowa. A wtedy z lżejszem już sercem, acz w żałobie niemniejszej, zmówilibyśmy nad grobem naszego kolegi »Wieczne odpoczywanie«" – pisał w pierwszą rocznicę śmierci Warmińskiego Ksawery Pruszyński.

Dla porządku musimy dodać, że Pruszyński, szeroko tu cytowany autor świetnego szkicu o Warmińskim, opublikowanego w antysowieckich londyńskich „Wiadomościach", a także wspomnień o innych polskich bohaterach, sam, niestety, nie zdał po wojnie egzaminu z przywiązania do wolności, zostając dyplomatą komunistycznej Polski. Zginął w wypadku samochodowym 13 czerwca 1950 roku, w czasie podróży służbowej z Hagi do Warszawy, po zderzeniu samochodu z ciężarówką. Okoliczności wypadku uznane zostały za nie do końca wyjaśnione. Pruszyński pośmiertnie odznaczony został przez Bolesława Bieruta. Ale to już temat na oddzielną opowieść. ■

eprasa.pl d19016ffac

Dariusz Jarosiński

Peerel zaczął się we Lwowie w 1939 roku

eprasa.pl d19016

Sowieci, przy aktywnym współudziale polskich komunistów, głównie żydowskiego pochodzenia, członków nielegalnych w II RP antypolskich organizacji politycznych – Komunistycznej Partii Polski, Komunistycznej Partii Zachodniej Ukrainy, Komunistycznego Związku Młodzieży Polskiej – zdrajców, kolaborantów, poputczików, oportunistów, stworzyli we Lwowie zaczyn przyszłego reżimu, który po kilku latach, w 1944 roku, został zainstalowany na kilkadziesiąt lat w Polsce. W powojennej „Kuźnicy" Henryk Schipper, marksistowski historyk literatury, stwierdził wprost, że „Lwów był próbą generalną PRL".

FOT. NAC

Po napaści Niemiec na Polskę we wrześniu 1939 roku duża rzesza uchodźców z Polski centralnej, głównie z Warszawy, ruszyła na wschód w poszukiwaniu schronienia. We Lwowie bezpieczną przystań znalazła duża grupa komunizujących twórców kultury i literatury. 22 września padł również Lwów. Dowodzący obroną gen. Władysław Langner, chcąc uniknąć zagłady miasta, poddał je Armii Czerwonej. Do sowieckiej niewoli trafiło 15 tys. żołnierzy, w tym około 1,5 tys. oficerów, większość z nich zginęła w następnym roku w Katyniu. Nastał tragiczny czas w historii „zawsze wiernego" miasta (Semper Fidelis), miasta będącego od wieków nierozerwalną częścią Rzeczypospolitej, które zawsze już będzie się kojarzyć z bohaterską obroną przed Ukraińcami i bolszewikami przez lwowskie dzieci – orlęta.

Tu 600 lat była Polska

To już wówczas, we Lwowie, zaczął się Peerel, zbrodniczy system oparty na strachu, donosicielstwie, kłamstwie, demoralizacji, walce z religią chrześcijańską, patriotyzmem, zaczęła się hańba domowa sprzedajnej „elity intelektualnej", która poszła na służbę Stalina i bolszewii. Na polecenie bolszewików „polscy pisarze sowieccy", jak ich trafnie określił Andrzej Wat, pisarz, komunista, w artykule w moskiewskiej „Litieraturnoj Gazietie", organizowali propagandowe wiece w mieście, prześcigali się w wiernopoddańczych hołdach, przekonywali mieszkańców Lwowa o sowieckim raju. Pisali w sowieckiej gadzinówce, „Czerwonym Sztandarze", wiersze na cześć Stalina, państwa sowieckiego, teksty antypolskie. 17 września 1940 roku, w rocznicę „wyzwolenia", a w rzeczywistości napaści bolszewików na Polskę, 58 polskich pisarzy sowieckich przyjętych zostało do Związku Sowieckich Pisarzy. Miało to być wielkie wyróżnienie, m.in. dla Boya-Żeleńskiego, Jastruna, Leca, Przybosia, Rudnickiego… Wcześniej, już od października 1939 roku, tworzyli tzw. org komitet, czyli komitet organizacyjny.

Profesor Jacek Trznadel uważa, że jednym z motywów kolaboracji polskich pisarzy sowieckich we Lwowie była pycha i próżność ludzi, którzy zaczęli natychmiast, z promocji władzy bolszewików, zaliczać się do elity literackiej, do której nie mogli pretendować przed wojną. „To właśnie ludzie tej grupy w dużej mierze utworzyli po wojnie tak zwany parnas w PRL i – raz wypromowani – potem z niego na ogół już nie zeszli. Grzechów im nie wypominano, ale także nie zauważono, że są oni na parnasie także siłą dawniejszego, politycznego ciążenia, dzięki solidarności popierającej się grupy, a nie ze względu na rzeczywiste dokonania literackie".

Do dzisiaj kolaboracja z Sowietami nie jest uważana za zdradę przez środowiska postkomunistyczne. Bohdan Urbankowski w książce „Czerwona msza albo uśmiech

eprasa.pl d9016ffac

Stalina" zauważa: „Stanisław Jerzy Lec, Adam Ważyk, Julian Przyboś i Mieczysław Jastrun podpisali volkslistę – tytuł taki brzmiałby szokująco, toteż nigdzie go nie znajdziemy. A jednak nie byłby nieprawdziwy: w roku 1940 wymienieni tutaj pisarze (i niestety nie tylko oni) wpisali się na listę zdrajców. Po wojnie nie byli za to prześladowani, a przeciwnie – sowicie nagradzani. Lista była bowiem sowiecka…".

W polemice z Czesławem Miłoszem, próbującym, z wiadomych, osobistych, względów, tłumaczyć kolaborantów, Gustaw Herling-Grudziński dobitnie podkreślił: „Wiem coś o tym z własnych obserwacji, ze Lwowa pod okupacją sowiecką, który był swego rodzaju poligonem powojennej rzeczywistości krajowej: szalały na nim wśród intelektualistów (z nielicznymi wyjątkami) strach, głupota i znieprawienie, bez śladu »heglowskiego ukąszenia«". Wielu pisarzy, intelektualistów próbowało usprawiedliwiać swoje niecne zachowanie w Peerelu „heglowskim ukąszeniem". Postawa elit miała być wzorem do naśladowania dla szerokich warstw społeczeństwa. Wychodząc z tego założenia, władze sowieckie starały się na różne sposoby pozyskiwać polskich uczonych, m.in. poprzez wydawanie ze specjalnego funduszu wysokich zapomóg. Deklaracje poparcia osób oddalonych przed wojną od komunizmu były dla władz sowieckich znacznie cenniejsze niż pomoc komunistów. Wiązało się to przede wszystkim z faktem, że nazwiska działaczy, a nawet literatów komunistycznych, były szerszym kręgom społeczeństwa po prostu nieznane.

We Lwowie zdobywali doświadczenie przyszli komunistyczni oprawcy, bezpieczniacy, propagandyści, „inżynierowie dusz ludzkich", m.in. Józef Różański, Jerzy Borejsza, Helena Wolińska, Julia Brystigerowa, Hilary Minc, Leon Kasman, Wiktor Grosz, Adam Ważyk, Ozjasz Szechter, Helena Michnik. Szybką karierę robili ci towarzysze, którzy mieli dobre kontakty z NKWD. Pieczę nad grupą polskich i ukraińskich komunistów sprawowała Wanda Wasilewska, najbardziej zaufana towarzyszka Józefa Stalina.

To polscy komuniści – uchodźcy z Warszawy – z radością witali na jesieni 1939 roku przyłączenie wschodnich ziem II Rzeczypospolitej do Związku Sowieckiego, wielu z nich na dowód wierności przyjęło sowieckie obywatelstwo. To był szczyt skundlenia, zaprzaństwa, choć z drugiej strony trudno wielu z nich nazwać zdrajcami, ponieważ uważali się już w okresie międzywojennym za obywateli sowieckich, nie utożsamiali się z Polską, gardzili Polakami, sensem ich istnienia było doprowadzenie do zniszczenia II RP i budowy polskiej republiki sowieckiej. Pod koniec października 1939 roku Zgromadzenie Narodowe tzw. „Ukrainy Zachodniej" przegłosowało rezolucję w sprawie przyłączenia polskich województw: tarnopolskiego, stanisławowskiego, wołyńskiego i wschodniej części lwowskiego ze Lwowem do Związku Sowieckiego. Lwów został tymczasową stolicą „Zachodniej Ukrainy". Zaczęła się sowietyzacja i ukrainizacja zagarniętych ziem II RP. Do urzędów i szkół wprowadzono język ukraiński, zmieniono nazwy ulic, uniwersytet Jana Kazimierza we Lwowie otrzymał imię Iwana Franki.

Miasto, które jeszcze do niedawna było kolorowe i wesołe, raptownie poszarzało, pogrążyło się w biedzie, z ustawionych na ulicach głośników rozbrzmiewały sowieckie pieśni wojskowe, przemówienia bolszewickich notabli; ściany kamienic, parkany zostały oklejone zarządzeniami sowieckich władz, propagandowymi hasłami; niemal na każdej ulicy rzucały cień wielkie portrety Stalina. Stalin czuwał! Z portretów obserwował każdy krok, każdy ruch mieszkańców Lwowa. Usunięte zostały pomniki polskich bohaterów, rozpoczęło się rabowanie polskich muzeów, bibliotek, fabryk, aptek, restauracji, sklepów, kościołów. Na przykład Aleksy Tołstoj, sowiecki pisarz, wywoził wagony antyków, obrazów i dywanów. Grabione były mieszkania aresztowanych ludzi. Lwów, drogie Polakom miasto, umierał.

Radość z rozbioru Polski

ReklamaPropaganda sowiecka zabiegała o legitymizację okupacji ziem wschodnich Polski, czyli rozbioru Polski do spółki z Niemcami. Propagandyści głosili, że Armia Czerwona zajęła tereny wschodniej Polski, aby chronić ludność białoruską i ukraińską, a nawet… polską, przed uciskiem ze strony „pańskiej Polski", polskich obszarników i burżuazji.

Władzom sowieckim zależało na pokazaniu, że „polscy mieszkańcy Zachodniej Ukrainy" akceptują zabór wschodnich polskich ziem przez Związek Sowiecki. 19 listopada 1939 roku w „Czerwonym Sztandarze" ukazało się oświadczenie „Pisarze polscy witają zjednoczenie Ukrainy".

„Witamy uchwałę Rady Najwyższej USSR zawierającą postanowienie Zgromadzenia Narodowego Zachodniej Ukrainy o przyłączeniu Ziem Zachodniej Ukrainy do Ukrainy Radzieckiej. Fakt ten zawiera nową erę w rozwoju zarówno społeczno-politycznym, jak i kulturalnym byłej Zachodniej Ukrainy. Z chwilą gdy runęły sztucznie podtrzymywane bariery nienawiści narodowej, kultura ziem byłej Zachodniej Ukrainy ma możność rozwijania się w myśl radzieckiego hasła braterstwa narodów. Pisarze i artyści bez względu na swoją narodowość mają przed sobą otwarte podwoje wielkiej sztuki socjalistycznej, sztuki szczerze służącej kulturalnym i moralnym ideałom ludzkości".

Rezolucję podpisali m.in.: Adam Ważyk, Władysław Broniewski, Tadeusz Boy-Żeleński, Jerzy Borejsza, Stanisław Jerzy Lec, Leon Pasternak, Andrzej Wat, Wanda Wasilewska, Jerzy Putrament, Julian Stryjkowski, Adolf Rudnicki, Julian Przyboś, Jan Kott, Aleksander Dan (Weintraub), Elżbieta Szemplińska, Halina Górska, Karol Kuryluk, Wojciech Skuza.

eprasa.pl d19016ffac

Nawet pisarz tej miary co Tadeusz Boy-Żeleński uległ bolszewickiej psychozie i znalazł się w gronie komunistycznych kolaborantów, a sam przecież nie komunizował, choć walczył z Kościołem i raczej daleki był od konserwatywnych wartości. Bolszewikom bardzo zależało na pozyskaniu do sowieckiej agitacji, do brudnej roboty, pisarza o tak znaczącym nazwisku w polskiej literaturze. Po wybuchu wojny niemiecko-sowieckiej NKWD zadbało o polskich pisarzy sowieckich, zostali oni ewakuowani w głąb Rosji, aby nie wpadli w ręce nacierającego Wehrmachtu, o czym Boy nie wiedział. Kiedy zobaczył samochód NKWD, który zatrzymał się przed jego domem, po prostu uciekł, przekonany, że za chwilę zostanie zastrzelony. Został we Lwowie. Na początku lipca 1941 roku został zamordowany przez Niemców na Wzgórzach Wuleckich wraz z kilkudziesięcioma innymi profesorami lwowskimi.

Samotna wyspa na oceanie

Nie wszyscy pisarze ulegli zniewoleniu, poddali się bolszewii. Prawdą jest, że była to garstka w porównaniu do tej dużej plejady zastraszonych kolaborantów, a według Jerzego Putramenta we Lwowie przebywało wówczas około 200 pisarzy. Nie zgłosili się do bolszewickiej organizacji pisarzy m.in.: Ostap Ortwin, Teodor Parnicki, Zygmunt Nowakowski (przedostał się na Zachód), Adam Ciołkosz (przedostał się na Zachód), Maria Dąbrowska, Gustaw Herling-Grudziński, Bruno Schulz.

Nawet w okupowanym przez bolszewików Lwowie można było się zachowywać przyzwoicie. Ostap Ortwin, wybitny polski krytyk literacki pochodzenia żydowskiego, od 1933 roku prezes lwowskiego oddziału Związku Zawodowego Literatów Polskich, ostentacyjnie nie uznawał władzy bolszewików, nadal urzędował w swoim biurze Związku Literatów razem z sekretarzem Teodorem Parnickim, powieściopisarzem. Dobiegający sześćdziesiątego piątego roku życia Ortwin „[…] na jakimś zebraniu już w mieście okupowanym przez wojska czerwone ryczał swoim lwim głosem przeciw zastraszeniu i słabości: – »Tu jest Polska. Tu sześćset lat była Polska«. Tylko przypadkowo uniknął wywózki i dalekiej podróży po śmierć. Była mu pisana śmierć inna. Dosięgła go na ulicy miasta, którego nigdy nie opuścił i nigdy nie zdradził. Miała twarz die blonde Bestie i charczała nad nim mową Nietzschego. Ale gdy bezbronny, piękny starzec sięgnął głową bruku, był to patetyczny akord końcowy życia, nie chwila klęski. Brał tam chrzest pragnienia i chrzest krwi. Na swojej ziemi umierał nieulękły Polak i triumfujący chrześcijanin" – wspominał Ostapa Ortwina w 1945 roku Tymon Terlecki.

Z uznaniem o polskiej inteligencji opowiadał Czesławowi Miłoszowi Aleksander Wat: „No, polskie środowisko, polska inteligencja, ta dobra, solidna inteligencja, nie alienowana inteligencja polska, zachowywała się właściwie tak jak Ortwin. To znaczy kompletnie ignorowała, zamknęła się przed bolszewikami, przed komunistami. Tak jak zresztą Maria Dąbrowska, która wtedy zamieszkała u Kowalskiej, nigdzie się nie pokazywała. Już był we Lwowie głód wszystkich rzeczy i Wanda Wasilewska posyłała jej wielkie wałówki. Ale Dąbrowska była niezachwiana, nie przyjęła Wasilewskiej, nie rozmawiała z nią, nie znała jej. Wałówki przyjmowała, zresztą trudno było nie przyjmować. W pewnej chwili uciekła do Warszawy […]". Po wojnie jednak autorka „Nocy i dni", pisarka o lewicowych poglądach, ale nie komunistycznych, dała się skusić komunistom, brała udział w uroczystych galach i akademiach. Przyjmowała ważne odznaczenia państwowe. Po odebraniu Krzyża Komandorskiego Orderu Odrodzenia Polski napisała w „Dzienniku", że „została podeptana własnymi stopami".

5 marca 1940 roku, na wniosek szefa NKWD Ławrientija Berii, Biuro Polityczne KC WKP(b) zdecydowało o zamordowaniu polskich jeńców wojennych przebywających po 17 września 1939 roku w sowieckich obozach w Kozielsku, Starobielsku i Ostaszkowie oraz polskich więźniów przetrzymywanych przez NKWD na obszarze zajętych wschodnich województw Rzeczypospolitej. Zamordowaną polską elitę w Katyniu miała zastąpić polska elita sowiecka, m.in. ta sprawdzona, przeegzaminowana we Lwowie w latach 1939–1941. I tak się stało.

Strach

Tym, co zatruwało umysły mieszkańców Lwowa, był strach. Już następnego dnia po zajęciu Lwowa Sowieci rozpoczęli aresztowania cywili – władz miasta, szefów lwowskich instytucji, urzędów, przedsiębiorców, działaczy politycznych, nauczycieli, duchownych. Na czele władz miasta stanął analfabeta ruski w mundurze NKWD. Po kilkunastu dniach sowieckiej okupacji lwowskie więzienia – na Zamarstynowie, „Brygidki" i przy ulicy Łąckiego – wypełniły się do granic możliwości. W grudniu 1939 roku Sowieci aresztowali około 200 konspiratorów Związku Walki Zbrojnej.

Największy jednak strach wywołały fale wywózek i deportacji w lutym, kwietniu i maju 1940 roku. Działacze lwowskiego sowieckiego Komsomołu, na czele którego stał Janek Krasicki, znaczyli drzwi mieszkań i domów osób przeznaczonych do deportacji, ludzi niepewnych politycznie, obcych klasowo, „wrogów ludu". Opróżnione mieszkania zasiedlali nowi przybysze sowieccy. Czwarta deportacja miała definitywnie oczyścić Lwów z Polaków, nie doszła jednak do skutku, bo w czerwcu 1941 roku Niemcy zaatakowali Związek Sowiecki.

Nie tylko mieszkańcy Lwowa, Polacy, żyli w strachu, również polscy pisarze sowieccy nie byli od niego wolni. „Nad wszystkim dominował wielki strach i wielka niewiadoma – wspominała Ola (Paulina) Watowa, żona Aleksandra Wata. […] Ten Lwów z tego okresu to przede

eprasa.pl d19016ffac

wszystkim wielki strach. I od razu nędza, brud, koniec naszej cywilizacji, w której się żyło. Najazd barbarzyńców. […] We Lwowie, z ludźmi, którzy działali z przesłanek ideologicznych, nie spotykałam się, właściwie ich prawie nie znałam. Ale jestem pewna, że i u nich wielką siłą napędową do działania był lęk. W tym systemie jest to reguła już dobrze nam znana. Wiem też, że proponowano niektórym wyjazd do Moskwy, że zaistniały takie tendencje ściągania niektórych Polaków do Rosji. Intelektualistów".

We Lwowie nie było pisarza na miarę Józefa Mackiewicza, który opisałby to, co się działo w czasie okupacji sowieckiej, kiedy w mieście „zawsze wiernym" rodził się zbrodniczy system komunistyczny, do którego przyłożyli rękę polscy intelektualiści, pisarze. Nie powstała książka na miarę „Drogi donikąd", otrzymaliśmy jednak świadectwo literackie tamtego czasu pod znamiennym tytułem „Wielki strach" Juliana Stryjkowskiego. Książka, w dużym stopniu autobiograficzna, została wydana w 1980 roku w drugim obiegu. Stryjkowski w okresie lwowskim używał nazwiska Pesach Stark, był zaślepionym wiarą w partię i Stalina, należał do Komunistycznej Partii Zachodniej Ukrainy. Stryjkowski i Stanisław Jerzy Lec pracowali podobnie jak powieściowy bohater, Artur Salz, jako korektorzy w redakcji „Czerwonego Sztandaru". Strach Arturowi towarzyszył wszędzie – w domu, na ulicy, a najbardziej potworny był w pracy. Nigdzie nie mógł czuć się swobodnie, był inwigilowany, podsłuchiwany, zmuszany do kłamstwa, a mimo to musiał wierzyć w nieomylność partii i Stalina. Błąd korektora mógł kosztować go życie. Obsesyjnie bał się, że przepuści błąd w wyrazie „Sralin" zamiast „Stalin". Za to zostałby rozstrzelany i korektor, i zecer. Bohater wspomnieniowej książki myślał: „Mnie zabiją hitlerowcy […] jako Żyda, a stalinowcy […] jako trockistę. Czy się znajdę po jednej, czy po drugiej stronie granicy. Nie wiadomo, gdzie będzie ta granica. Hitler i Stalin już się podzielili Polską. Nie wiem tylko, gdzie przebiega linia".

Stryjkowski długi czas był osobą „wierzącą i praktykującą", odszedł z partii w 1966 roku, kiedy został z niej wyrzucony Leszek Kołakowski.

▶ Donosicielstwo buchnęło jak tyfus plamisty

Grupa napływowych polskich komunistów gromadziła się we Lwowie początkowo w lokalu Międzynarodowej Organizacji Pomocy Rewolucjonistom (MOPR), później komuniści skupili się wokół „Czerwonego Sztandaru".

Nadzorcą redakcji „Czerwonego Sztandaru", umownie redaktorem naczelnym, był Mykoła Mańkowski, stary czekista, półanalfabeta, który nie mówił po polsku, chodził z bronią za pasem i pilnował porządku. Redakcję stanowili m.in.: Jerzy Borejsza, Wiktor Kolski, Aleksander Dan, Irena Grosz, Stefan Ajzenberg, Zofia Lissa, Józef Rapport, Stanisław Sulikowski-Zalcman, Adam Schaff, Julian Stryjowski, Aleksander Wat, Adam Ważyk, Roman Szancer, Wiktor Grosz, Leon Pasternak, Stanisław Lec. Wszyscy wymienieni byli pochodzenia żydowskiego, choć polskość wielu z nich bardzo uwierała, to przyjęli polskobrzmiące nazwiska.

Normalni Polacy nie byli w stanie czytać tej gadzinówki. Łamy „Czerwonego Sztandaru" zamulone były sowiecką nowomową, która miała ukryć prawdziwe intencje bolszewików. Przede wszystkim tłumaczone były in extenso teksty z języka rosyjskiego na polski. Sowieci domagali się od piszących nieustannych potwierdzeń poparcia dla ustroju, licznie zamieszczane były w „Czerwonym Sztandarze" wiersze sławiące Stalina, Związek Sowiecki, komunizm i Armię Czerwoną, a także krytykujące, szkalujące przedwojenną Polskę, jej politykę, rząd i ustrój.

Sowieci nie ufali polskim komunistom i komunizującym pisarzom, z przymrużeniem oka traktowali ich manifestacje lojalności. Wśród pisarzy komunistów szerzyło się donosicielstwo, przyjaźń czy koleżeństwo nic nie znaczyły, kolega donosił na kolegę. „[…] panowała atmosfera wzajemnych donosów, mających konsekwencje tragiczne, włącznie z utratą życia" – wspominał Janusz Kowalewski, współpracownik „Czerwonego Sztandaru", aresztowany przez Sowietów, wyleczył się z komunizmu jak z ciężkiej choroby, po wojnie przebywał na emigracji. Pisał dalej: „Donosicielstwo buchnęło jak tyfus plamisty. Pierwszy Leonek Pasternak przedzierzgnął się […]. Wtrącił do więzienia jako swą pierwszą ofiarę Teodora Parnickiego, któremu publicznie wypomniał, że Parnicki kiedyś atakował jego – Pasternaka wiersz o Matce Boskiej, jako bluźnierstwo […]. Stanisława Sulikowskiego – Zalcmana skazał po prostu na śmierć, gdy mu na jakimś kolejnym zebraniu »załogi zakładowej«, która tego dnia miała zadecydować o przyjęciu do związku zawodowego pracowników »Czerwonego Sztandaru«, »przypomniał«: »Czy ty, kochany Stasiu, nie zapomniałeś złożyć samokrytyki ze swoich wystąpień przeciw paktowi radziecko-niemieckiemu, który nazwałeś przejawem hitleryzacji bolszewizmu?«". Zalcmanem zajął się natychmiast nadzorca gadzinówki Mykoła Mańkowski. Zalcman zginął w sowieckim więzieniu.

Każdy pracownik redakcji przesłuchiwany był publicznie przez grupę funkcjonariuszy partyjnych, prześwietlany na wszystkie strony, musiał nawet ujawniać swoje sprawy osobiste, intymne. Przyłapany na popełnieniu „grzechu", zobowiązany był do złożenia samokrytyki. Redakcja zarzucona była anonimami, których autorzy wypisywali krytyczne rzeczy na temat panującego reżimu. Zawiadomienie o takim liście zwierzchnika prowadziło bezpośrednio do współpracy z NKWD, ale wyrzucenie go do kosza było niebezpieczne: list mógł być spreparowany w celu sprawdzenia lojalności redaktora. Nie brakowało też mieszkańców miasta różnej narodowości, którzy wyrównywali osobiste porachunki, denuncjując innych i współpracując z NKWD.

eprasa.pl d19016ffac

Prowokacja w restauracji

Polscy pisarze sowieccy spotykali się na organizowanych co kilka dni zebraniach w pałacu hrabiów Bielskich w centrum Lwowa, w którego salonach mieli siedzibę urządzoną przez władze sowieckie. Podobno Juliusz hrabia Bielski miał nawet okazywać zadowolenie, że to lepsze, niżby mieli bolszewicy zrobić z jego pałacu stajnię. Hrabiemu i jego rodzinie początkowo pozwolono pomieszkiwać kątem na drugim piętrze pałacu, później hrabiowska rodzina została wywieziona do Kazachstanu, gdzie hrabia zmarł.

To, co wydarzyło się we Lwowie 23 stycznia 1940 roku, obrosło już pewną legendą, ale nie można o tym nie wspomnieć. Grupa twórców została zaproszona przez Władysława Daszewskiego, scenografa teatralnego, do jednej z lwowskich restauracji. W owym czasie pracował on w lwowskim Teatrze Polskim. Występujący tego dnia w restauracji w roli gospodarza, przedstawił gościom nieznajomego mężczyznę, Rosjanina, który ponoć miał być historykiem sztuki czy krytykiem teatralnym. Nieoczekiwanie nieznajomy mężczyzna wywołał awanturę, a do restauracji wtargnęli przygotowani wcześniej enkawudziści. Doszło do ostrej bójki. Kilku pisarzy zostało dotkliwie pobitych. Daszewski tymczasem nie niepokojony przez funkcjonariuszy NKWD opuścił restaurację. W rezultacie ewidentnej prowokacji – bójki – zostali aresztowani poeci: Władysław Broniewski, Aleksander Wat, Tadeusz Peiper, Wojciech Skuza oraz aktor Juliusz Balicki. Aresztowany został także Anatol Stern, który nie był zaproszony przez Daszewskiego na kolację. Sterna wypuszczono po kilku miesiącach, Skuza nie przeżył łagru.

Można zadać pytanie: po co ta cała maskarada, przecież można było ich zwyczajnie aresztować. Trudno nie przyznać racji Oli Watowej, która mówiła: „Po to była ta prowokacja, żeby ich aresztować nie jako wrogów ustroju (tak potraktowano ich dopiero w więzieniu), ale jako łobuzów, wyrzutków społeczeństwa, pijaków, którzy wywołują burdy".

Tej samej nocy wyciągnięto z mieszkań i aresztowano m.in. Herminę Naglerową, Wacława Grubińskiego, Teodora Parnickiego, Halinę Pilichowską, co dowodzi, że incydent w restauracji był zaplanowany. Łącznie aresztowano około 20 osób. W lipcu 1940 roku aresztowano we Lwowie Beatę Obertyńską, w pobliżu Grodna został aresztowany Gustaw Herling-Grudziński, wcześniej przebywał we Lwowie, gdzie zarejestrował się u Ostapa Ortwina w Związku Zawodowym Literatów Polskich.

Nazajutrz, po aresztowaniu pisarzy, Jerzy Putrament zwołał zebranie polskich pisarzy sowieckich i zaproponował im podpisanie petycji potępiającej aresztowanych i odcięcie się od nich. Była to typowa neoficka nadgorliwość podszyta strachem. Michał Borwicz, późniejszy współpracownik paryskiej „Kultury", dowodził w swoich wspomnieniach, że Putrament został zwerbowany przez NKWD do współpracy. Putrament pochodził z porządnej polskiej rodziny, jego ojciec był pułkownikiem KOP-u. Jerzy w czasie studiów należał do Młodzieży Wszechpolskiej, odmieniło mu się w połowie lat 30. i zaczął komunizować. Podpisania petycji odmówili Putramentowi m.in. tacy komuniści jak Adam Ważyk, Stanisław Lec, a także Wanda Wasilewska, która nazwała zachowanie Putramenta „nadlojalnością".

26 stycznia 1940 roku ukazał się w „Czerwonym Sztandarze" artykuł Witolda Kolskiego (Barucha Cukiera) pt. „Zgnieść gadzinę nacjonalistyczną". Opisywał w nim aresztowanych jako bandę ciemnych typów, kryminalistów, pijaków, rozpustników, którzy urządzali orgie, napadali na kelnerki. Według Kolskiego Broniewski to reakcjonista i zwolennik Piłsudskiego, Peiper to autor zwyrodniałych wierszy, a Wat to trockista.

Immanentną cechą komunistów, marksistów, lewaków jest to, że żyją oni w urojonej rzeczywistości. Żanna Kormanowa (Zeligman), ortodoksyjna stalinistka, marksistowski historyk, latem 1940 roku przyjęła we Lwowie obywatelstwo sowieckie, nieco później wstąpiła do WKP(b) (Komunistycznej Partii Związku Sowieckiego), po wojnie odpowiadała m.in. za sowietyzację polskiego systemu szkolnictwa, z rozrzewnieniem wspominała okupację sowiecką: „Okres lwowski, 21 miesięcy w radzieckim Lwowie, w budowaniu nowego życia, nowych stosunków gospodarczych, społecznych i międzyludzkich, niepowtarzalny eksperyment zaszczepienia socjalizmu na zapleczu szalejącej wojny i hitlerowskiego terroru był dla wszystkich, którym go przeżyć wypadło, mimo trudności bytowe i bolesne niejednokrotnie przegięcie polityczne, zetknięciem z innym, nowym i lepszym światem, w którym nie władał pieniądz, nie przesądzało o losach człowieka pochodzenie, nie znano bezrobocia, zlikwidowano analfabetyzm. Choćby tylko tyle. A cóż dopiero dla polskiego komunisty – po Berezie, Mokotowie i Rawiczu, po katastrofie września i pielgrzymce jego drogami? Wolność, możność działania, nareszcie nie w podziemiu, a przede wszystkim świadomość, że stąd, z radzieckiego wschodu, przyjdzie ratunek dla kraju, wybawienie dla narodu. Trudno oddać słowami euforię tych pierwszych dni, pierwszych miesięcy" (Kwartalnik „Z Pola Walki", rok 1979).

Komunizm to ciężka choroba umysłowa. ■

Źródła:

Jacek Trznadel, „Kolaboranci: Tadeusz Boy-Żeleński i grupa komunistycznych pisarzy we Lwowie 1939–1941", Wydawnictwo Antyk, 1998; Ola Watowa, „Wszystko co najważniejsze", Czytelnik, Warszawa 1990; Aleksander Wat, „Mój wiek. Pamiętnik mówiony", Czytelnik, Warszawa 1990; Bohdan Urbankowski, „Czerwona msza, czyli uśmiech Stalina", Wydawnictwo Alfa, 1998.

eprasa.pl d19016ffac

Agnieszka Kowalczyk

Generał Elżbieta Zawacka. Jedyna polska cichociemna

Ryzykując życie, ponad sto razy przekraczała wojenne granice jako kurierka Podziemnego Państwa Polskiego. Do legendy przeszła jej najsłynniejsza wyprawa przez Niemcy, Austrię, Francję i Hiszpanię do Wielkiej Brytanii. Wiozła wtedy mikrofilmy z tajną dokumentacją do Sztabu Naczelnego Wodza w Londynie. Elżbieta Zawacka „Zo" (1909–2009) to żołnierka AK, łączniczka, emisariuszka, jedyna polska cichociemna, a do tego matematyczka, nauczycielka, kobieta nauki i wojska – profesor i generał w jednej osobie, niesłychanie odważna wobec prześladowań ze strony Niemców i komunistów, którzy skazali ją na 10 lat więzienia. Zawsze wierna Polsce.

Elżbieta Zawacka, pseudonim Zo, siedziała na krawędzi okrągłego otworu wyciętego w podłodze czterosilnikowego brytyjskiego bombowca Halifax […]. Kilka tygodni wcześniej przebrnęła przez szkolenie spadochronowe na lotnisku pod Manchesterem […]. Wiedziała, że nawet jeśli przeżyje skok, gestapo będzie ją tropić w miastach i miasteczkach okupowanej Polski. Jej młodszą siostrę, przemiłą i inteligentną Klarę, aresztowano ponad rok wcześniej i ślad po niej zaginął. Brata Egona i kuzyna Leonarda wywieziono do Auschwitz. […] Teraz Zo wiozła do kraju nowe rozkazy premiera rządu Rzeczypospolitej Polskiej na uchodźstwie i wodza naczelnego Polskich Sił Zbrojnych, które miały się odcisnąć na losach ich wszystkich".

Bombowiec, którym leciała, wystartował kilka godzin wcześniej z angielskiego Bedfordshire i przeleciawszy nad Morzem Północnym, znalazł się w przestrzeni powietrznej Danii. Wtedy Elżbieta usłyszała serię strzałów przebijających się przez ryk silników. Wystarczył jeden celny, by Halifax zmienił się w ognistą kulę, bo był jak latająca bomba – z zainstalowanymi z przodu i z tyłu zbiornikami paliwa. Śmiałkowie mieli jednak szczęście, artyleria przeciwlotnicza nie uszkodziła poważnie maszyny. Skręcili więc na Szwecję, a potem poszybowali nad Bałtykiem, w głąb kraju. Gdy znaleźli się pod Warszawą, zaczęli się szykować do skoku. Tej nocy, z 9 na 10 września 1943 roku, Elżbieta stała się pierwszą i jedyną kobietą spośród 316 cichociemnych. Jej ekwipunek stanowiły dwa pistolety, nóż, manierka, kompas i dwie tabletki cyjanku w kieszeni skafandra. Gdy nadszedł czas skoku, „zadrżała. Chwilę później trzęsła się już z zimna, ze strachu i nadmiaru adrenaliny. […] Wciągała w płuca daleką woń polskich pól, opadłych liści pachnących wilgotną ziemią, wykopanych ziemniaków i suchych rżysk. Uśmiechnęła się". Była już przecież na ojczystej ziemi i w jej objęcia rzuciła się, skacząc z samolotu.

Matematyka i wojsko

Od młodzieńczych lat nie brakowało jej ambicji, odwagi i żelaznej konsekwencji w realizacji tego, co chciała osiągnąć. Przyszła na świat 19 marca 1909 roku w Toruniu w wielodzietnej rodzinie Marianny i Władysława Zawackiego, absolwenta szkoły podoficerskiej w Poczdamie, a potem urzędnika państwowego. W ówczesnych czasach życie Polaków na Pomorzu Gdańskim, gdzie trwała brutalna wojna z polskością, nie było łatwe. Od 1887 roku obowiązywał tam zakaz używania języka polskiego. Gdyby „zbrodnia" posługiwania się nim w domowym zaciszu została odkryta przez służby pruskie, urzędnik państwowy natychmiast tracił swoją posadę.

FOT. WIKIPEDIA

dd9016ffac

Gdy Polska powracała na mapę Europy, Elżbieta miała 9 lat. Przyłączenie ziem zaboru pruskiego do odradzającego się państwa rodzina Zawackich świętowała razem z całym Toruniem, uczestnicząc w wielkiej paradzie „błękitnej armii" gen. Hallera. Wtedy Elżbieta po raz pierwszy usłyszała porywającą melodię „Mazurka Dąbrowskiego" i zobaczyła płaczących ludzi, którzy upojeni wolnością nie kryli swego wzruszenia.

Po ukończeniu Miejskiego Gimnazjum Żeńskiego w Toruniu i zdaniu matury rozpoczęła studia na Wydziale Matematyczno-Przyrodniczym Uniwersytetu Poznańskiego. Na jej wydziale w 1927 roku studiowało 685 osób, w tym 269 kobiet. Rzadko która wybierała wtedy wyższą matematykę, ale Elżbietę fascynowały wykłady z algebry, geometrii analitycznej czy logiki matematycznej… Z uwagą wsłuchiwała się w wywody genialnego matematyka Mariana Rejewskiego, który w czasie wojny miał łamać kody niemieckiej Enigmy. Studia były dla niej również odkryciem zupełnie innej sfery aktywności, mającej uczynić ją w przyszłości amazonką polskiego podziemia. Tym, co ją tak bardzo zapaliło, stało się Przysposobienie Wojskowe Kobiet. Chciała być taka jak główna komendantka PWK Maria Wittek, która w 1917 roku uczęszczała do szkoły podoficerskiej i na kurs wywiadowczy Polskiej Organizacji Wojskowej, a w 1920 roku broniła Lwowa, należąc do Ochotniczej Legii Kobiet. Prawdziwą szkołą przetrwania stał się dla Elżbiety obóz PWK w Garczynie leżącym 60 km od wybrzeża Bałtyku, gdzie zatopiona w zupełnej dziczy stawiała namiot z ciężkiego brezentu, szkoliła się w czytaniu map, łucznictwie, obronie przeciwlotniczej i telegrafii. „Na fotografiach stoi szeroko uśmiechnięta w rzędzie pewiaczek z karabinami albo leży na brzuchu w okopie, ucząc się strzelać. Wkrótce będzie jeździć konno, prowadzić ciężarówkę mogącą służyć za karetkę, uczyć się opatrywania ran zadanych na polu walki oraz udzielać pomocy ofiarom ataków gazowych i chemicznych".

Po obronie pracy magisterskiej i zdobyciu uprawnień pedagogicznych Elżbieta podjęła pracę nauczycielską najpierw w Sompolnie, a potem w Otorowie, Toruniu i Tarnowskich Górach. I tam też zaszczepiała wśród swych uczennic bakcyla wojskowości, tworząc nowe hufce PWK i organizując dla nich letnie i zimowe obozy w leśnych kniejach Garczyna i Spały czy nad brzegami Olzy na Śląsku.

Pierwsza lekcja na placu boju

Żołnierska zaprawa i obozowa szkoła przetrwania bardzo jej się przydały, gdy 1 września 1939 roku w Śląskiej Siedzibie Czerwonego Krzyża zastała ją wojna. Wyrwana ze snu hukiem kolejnych detonacji, ujrzała niebo jaśniejące od deszczu pocisków spadających na lotnisko w Katowicach. To niemieckie siły nacierały na Górny Śląsk. Skoczyła na równe nogi. Była komendantką PWK rejonu śląskiego i odpowiadała za pewiaczki gotowe walczyć w obronie kraju. Pod jej rozkazami Ślązaczki zaczęły organizować punkty pomocy dla żołnierzy. Tymczasem Niemcy nieuchronnie zbliżali się do Katowic. Zarządzono ewakuację. Pewiaczki, z Elżbietą na czele, ruszyły w stronę Lublina, najpierw zarekwirowanym autobusem, potem śmieciarką i ciężarówką, aż wreszcie maszerując pieszo z ciężkimi plecakami pod ostrzałami Luftwaffe, dotarły do Sandomierza. Tam zastały istne piekło: „Tłok furmanek, kwiczących i kąsających koni, morze zrozpaczonych ludzi, których nie puszczono na już podminowany most". Zdążyły tuż przed detonacją. Lublin natomiast był już zrujnowany, porażał widok ogromnych lejów po bombach i osuwających się gruzowisk. Stamtąd Elżbieta przedostała się do Lwowa, gdzie już 8 września trafiła pod rozkazy Marii Wittek, do kobiecego batalionu ochotniczek PWK. Przydzielono ją do kierowania obroną przeciwlotniczą – odpowiadała za zaopatrzenie, wznosiła barykady i rowy przeciwczołgowe, wytwarzała koktajle Mołotowa i zawoziła je ciężarówką na stanowiska walczących. Tymczasem Niemcy otoczyli Lwów, a 17 września do obrońców miasta dotarła Hiobowa wieść o najeździe Armii Czerwonej na Polskę. W obliczu okrążenia przez dwóch wrogów Władysław Langner, dowódca Okręgu Korpusu nr I we Lwowie, był zmuszony 22 września ogłosić kapitulację.

Igranie z losem na kurierskich szlakach

Polacy mimo wrześniowej klęski nie zaprzestali walki, lecz organizowali ją w podziemiu. Elżbieta już 30 października wyruszyła z Torunia do Warszawy, gdzie odnalazła swoją przyjaciółkę z PWK Marię Zawodzińską „Sabinę", łączniczkę tajnej Służby Zwycięstwu Polski, i dzięki niej wciągnęła się do konspiracji. Przysięgę złożyła na początku listopada w lokalu „Sabiny" przy Kruczej 12 i przyjęła pseudonim Zelma. Wtedy też od razu przystąpiła do budowy sieci konspiracyjnej na Śląsku pod nazwą „Węgiel". W ciągu miesiąca zaprzysięgła około 50 zaufanych kobiet, a wkrótce było ich już blisko 300! „Miała funkcjonariuszkę wywiadu w każdym mieście na Śląsku i każda z nich co tydzień zdawała sprawozdanie na temat liczby, rozmieszczenia i morale wrogich oddziałów". Wszystkie te dane docierały do „Zelmy", która jako kurierka przekazywała je do Warszawy. Do tego celu często wykorzystywała sprytne schowki w postaci małego lusterka lub drewnianej szczotki do ubrań. Dotarłszy do stolicy, szła do lokum konspiracyjnego swojej zwierzchniczki Marii Wittek, dowódcy Wojskowej Służby Kobiet pod rozkazami gen. Stefana Rowec-

eprasa.pl d19016ffac

kiego „Grota". Składała raport, a ten wraz z innymi materiałami wywiadowczymi przerabiany był na mikrofilm i przemycany do polskich władz na uchodźstwie.

Często wyprawiała się w niebezpieczną drogę, przewożąc dużą ilość gotówki przez granicę między Generalnym Gubernatorstwem a III Rzeszą. Podczas jednej z takich podróży zapowiedziano niemiecką kontrolę: „Elżbieta, czując, że purpurowieje, przeszła do toalety na końcu wagonu. Zamknęła się w środku, zwinęła ciasno banknoty i wepchnęła je głęboko w otwór wentylacyjny", pospiesznie wracając na swoje miejsce. Podczas kontroli poruszyła palcem tak, by odcisk się rozmazał i nie dopatrzono się fałszerstwa. Gdy wsiadła z powrotem, jej przedział był już zajęty przez Niemców. Zapamiętała jednak numer wagonu i wysłała po ukrytą gotówkę swoją uczennicę, teraz konspiratorkę Irenę Klassę, która z kanału wentylacyjnego ledwo wyciągnęła napęczniały wodą rulon banknotów.

Innym znów razem, podszywając się pod majętną Ślązaczkę ze sfer bankowych, wzbudziła podejrzenia gestapowca, który zwrócił uwagę na jej dokumenty. Zamknął ją w pustym pomieszczeniu dworca. Drzwi były zaryglowane, małe okienko – zatrzaśnięte. „Boże kochany! – pytała samą siebie – Co to będzie!". Miała przy sobie najnowsze depesze wywiadu ukryte w szczotce do ubrań. Nie straciła jednak zimnej krwi, rozejrzała się wokół i chwyciła dostrzeżoną na biurku metalową linijkę, którą podważyła okienko i jakimś cudem się przez nie przecisnęła, uciekając co sił do lasu. Po godzinie natknęła się na znajomą żonę leśniczego, która udzieliła jej pomocy. „To było pierwsze największe całkowicie »życiowe« niebezpieczeństwo – przyznawała – bo byliby mnie od razu rozstrzelali […]. Tylko trach i koniec".

„Biała sukienka jest uszyta"

Szybko opanowała wszelkie możliwe trasy wiodące ze Śląska do Krakowa, Częstochowy, Opola, Wrocławia czy Warszawy. Jej skuteczność i odwaga zostały dostrzeżone przez Komendę Główną ZWZ. Przydzielono ją do Wydziału Łączności Zagranicznej o kryptonimie „Zagroda". W strukturach tych działały pracownie – fotograficzna oraz wycienienia poczty, gdzie za pomocą specjalnych chemikaliów zmniejszano grubość błony filmowej, by móc w niewielkich przedmiotach, jak puderniczka czy klucz, przewozić setki stron zmikrofilmowanych informacji. Była też sprawnie działająca poczta, komórki legalizacji zapewniające żołnierzom wiarygodne dokumenty, pracownia skrytek, gdzie przygotowywano schowki do przenoszenia tajnej poczty, oraz komórka łączności wewnętrznej dbająca o zachowanie jak najlepszej komunikacji między wszystkimi działami.

„Biała sukienka jest uszyta" – tak brzmiało wyczekiwane hasło telefoniczne, za pomocą którego Emilia Malessa „Marcysia", szefowa Wydziału Łączności, wzywała Elżbietę do siebie. Spotkały się w grudniu 1940 roku. Wtedy też „Zo", bo taki pseudonim przyjęła w „Zagrodzie", otrzymała zadania tworzenia szlaków kurierskich wiodących na Zachód i usprawnienia działalności placówki konspiracyjnej w Berlinie, którą zarządzał Alfons Jakubianiec „Kuba" (aresztowany przez Niemców w 1941 roku, osadzony w obozie Sachsenhausen i rozstrzelany w 1944 roku) Jeżdżąc co pewien czas do stolicy III Rzeszy, przekazywała mu pocztę Komendanta Głównego ZWZ-AK, a on przesyłał ją do Bazy „Anna" w Sztokholmie, skąd szła do Londynu. Z kolei „Zo" otrzymywała od „Kuby" pocztę i pieniądze ze Sztabu Naczelnego Wodza, które przemycała do okupowanej Polski, zazwyczaj w starych walizkach. W Berlinie zorganizowała też niezależną placówkę wywiadowczą o kryptonimie „Greta". Nie ustawała w poszukiwaniu nowych tras i kontaktów. Jej dziełem stało się zorganizowanie pomocniczej placówki przerzutowej w Katowicach, która otrzymała kryptonim „Cyrk". Zarządzała nią aż do maja 1942 roku, czuwając nad organizowaniem bezpiecznych kryjówek, skrzynek kontaktowych, noclegów dla krajowych i zagranicznych kurierów.

W potrzasku

Pod koniec maja 1942 roku „Zo" otrzymała nowe zadanie – wiozła z Berlina walizkę wypełnioną pieniędzmi dla polskiego podziemia. Tym razem podróżowała jako Elizabeth von Braunneg, sekretarka przedsiębiorstwa naftowego. Z Poznania skierowała się do Sosnowca, gdzie mieszkała jej najmłodsza siostra Klara, którą sama zaprzysięgła na żołnierkę AK. Tym razem w domu nie było żywego ducha. „Blada jak trup" sąsiadka kazała jej uciekać, tłumacząc, że siostrę zabrało gestapo. Elżbieta w jednej chwili zrozumiała wszystko. Niemcy musieli złamać „Sabę"… Była to doświadczona konspiratorka Jadwiga Zatorska, której „Zo" powierzyła funkcje kierownicze w oddziale Wojskowej Służby Kobiet na Śląsku. Przy próbie przekroczenia granicy z koszem pełnym materiałów dotyczących szkolenia wojskowego wpadła w ręce Niemców. „Saba wykazała się niezwykłą odwagą – pisze Clare Mulley. – Odmówiła zeznań nawet wówczas, gdy ją pobito, rozebrano do naga i przywiązano do metalowej ramy łóżka. Przypięto jej do ciała elektrody i puszczono przez nie prąd w taki sposób, by przysporzyć jej jak najwięcej cierpienia. Mimo wszystko nie sypała. Dopiero gdy torturujący ją Niemiec zagroził, że ponownie przywiąże ją do łóżka, Saba pękła".

eprasa.pl d19016ffac

Jeszcze przed świtem „Zo" opuściła dom Stasi Sojki, u której przenocowała, i skierowała się z walizką pełną pieniędzy na sosnowiecki dworzec, gdzie zabezpieczyła ją w jednej ze skrytek przechowalni bagażu. Już wtedy zorientowała się, że jest śledzona, ale zdołała przekazać zaufanym ludziom wiadomość o aresztowaniach. Pojechała do Katowic, gdzie czym prędzej udała się do apteki, która stanowiła punkt kontaktowy, i tam oddała kwit bagażowy. W ten sposób ratowała pieniądze dla polskiego podziemia. Potem krążyła jeszcze długo po ulicach Katowic, próbując zgubić szpicla. Wreszcie dotarłszy do Krakowa, wyczerpana do granic, zapukała do drzwi znajomej Celiny Zawodzińskiej i tam odetchnęła kilka godzin. Kolejna podróż pociągiem, tym razem do Warszawy, była dla niej prawdziwą torturą. Ciągle czuła na sobie wzrok agentów. Na jednej ze stacji, ku swojemu zdumieniu, zobaczyła przez okno komendantkę Marię Wittek. Wyszedłszy na peron, przekazała jej niepostrzeżenie karteczkę, na której zdążyła zapisać: „Saba sypie. Wpadł Śląsk. Jestem obserwowana. Zo". Gdy wróciła do przedziału, na wprost niej usiadł jeden z agentów. Wtedy w jej głowie zrodził się szaleńczy plan… Dla niepoznaki zostawiła w przedziale płaszcz, torebkę i buty, i skierowała się ku toalecie. Nie widziała dla siebie innej drogi ratunku – zebrała się na odwagę i wyskoczyła z pędzącego pociągu! Wylądowała na żwirowym nasypie, poobijana i pokrwawiona, ale cała… Obawiając się pogoni, ruszyła przed siebie. Napotkana przez nią w lesie kobieta użyczyła jej swego stroju, a „Zo" w podzięce dała jej złoty pierścionek z akwamarynem. I w tym przebraniu udało jej się dotrzeć do Warszawy. Była wprawdzie spalona, gestapo rozesłało za nią listy gończe, ale jej ostrzeżenia uratowały wielu członków podziemia.

Z Warszawy do Londynu przez Pireneje

Tymczasem nowe zadanie szykował już dla niej Komendant Główny gen. Rowecki „Grot". Tym razem miała się wcielić w rolę przedstawicielki niemieckiej firmy naftowej – Elizabeth Kübitzy. Nowa tożsamość posłużyła jej jako doskonały kamuflaż w podjęciu misji przedarcia się przez okupowaną Europę do Sztabu Naczelnego Wodza w Londynie. Po kilku miesiącach przygotowań wypełnionych nauką francuskiego, angielskiego, hiszpańskiego oraz analizowaniem do godzin nocnych wszystkich możliwych szlaków kurierskich, w grudniu 1942 roku, w doskonale skrojonym kostiumie, wyruszyła w drogę. W kieszeni żakietu schowała małą, mosiężną zapalniczkę, w której została ukryta zmikrofilmowana poczta AK – w sumie 500 stron tajnych informacji. Były wśród nich te dotyczące likwidacji pierwszego żydowskiego getta w Polsce oraz dowody na zaplanowaną akcję eksterminacji europejskich Żydów, a także dokumentacja opracowanej przez Niemców nowej broni odwetowej – pocisku manewrującego V-1 i rakietowego pocisku balistycznego V-2.

Po 36 godzinach jazdy, przeszedłszy pomyślnie pięć kontroli, w tym na granicy z Rzeszą i Francją, dotarła do Paryża. Pierwsza próba jej przerzutu do Vichy nie powiodła się, ponieważ zabezpieczający trasę Wilski został aresztowany. Za drugim razem znów ukryła się w tendrze pociągu. Tym razem swoją kryjówkę dzieliła z ośmioma Francuzami zamierzającymi przedostać się do Afryki, by tam walczyć z Niemcami. Leżeli obok siebie, na deskach rozpiętych nad taflą wody, w absolutnej ciszy. Dojechali jednak bez przygód do Vichy. W Tarascon, podgórskiej wiosce w Pirenejach, znaleźli przewodnika, który był gotów przeprowadzić ich przez góry. Potrójna próba przebicia się przez Pireneje zakończyła się jednak aresztowaniem Francuzów. Tylko Elżbiecie udało się uciec i… sforsować góry dzielące Francję od Hiszpanii. Tego wyczynu dokonała razem z Gilbertem Haeringiem, Francuzem próbującym przedostać się do armii Girauda. Pokonała 200 km górskich szlaków i dotarła do Barcelony, a stamtąd przez Saragossę do Madrytu. Dalej jako Elizabeth Watson podróżowała do Gibraltaru. Wcielając się w postać Angielki ewakuującej się z bombardowanej Malty, dostała się na jeden z 19 statków konwoju płynącego wzdłuż brzegów Afryki, przez Atlantyk do Irlandii, a dalej do portu w Bristolu. Stamtąd została przewieziona do londyńskiego więzienia i przesłuchana przez oficerów SOE (Kierownictwa Operacji Specjalnych), którzy odnotowali, że to „bezpośrednia, inteligentna i bardzo odważna kobieta".

Gdy pracownicy Oddziału VI Sztabu Naczelnego Wodza w Londynie głowili się, gdzie właściwie jest teraz „Zo", ona wyrosła przed nimi jakby spod ziemi, meldując się 3 maja 1943 roku i od razu przystępując do działania. Przyjechała tu przecież z podwójną misją, bo, po pierwsze, miała usprawnić łączność między londyńską Centralą a krajem, a po drugie, przekonać emigracyjne władze wojskowe o konieczności uregulowania prawnej sytuacji kobiet służących w podziemnych strukturach AK. Na ten temat rozmawiała m.in. z prezydentem RP Władysławem Raczkiewiczem, gen. Władysławem Sikorskim, a także z gen. Józefem Hallerem i gen. Kazimierzem Sosnkowskim. Jej misja przyczyniła się niewątpliwie do wydania przez prezydenta RP na uchodźstwie „Dekretu o Ochotniczej Służbie Kobiet" (1943), na mocy którego ochotniczki zgłaszające się do Wojska Polskiego w razie mobilizacji wojennej stawały się pełnoprawnymi żołnierzami, zyskując takie same prawa i obowiązki jak żołnierze mężczyźni.

Gdy wybiła godzina „W"

Po wypełnieniu swej misji i udanym zrzucie spadochronowym w ramach operacji lotniczej „Neon 4", Elż-

eprasa.pl d19016ffac

bieta jako cichociemna „Zo" wylądowała na ojczystej ziemi. Od razu też powróciła do pracy konspiracyjnej w „Zagrodzie", obejmując kontrolę nad trasą kurierską „Zachód". Po tym, jak doszło do rozpracowania grupy i blisko 80 aresztowań, za którymi stał agent gestapo „Jarach", Elżbieta została wysłana na „kwarantannę" do domu sióstr niepokalanek w Szymanowie, gdzie ukrywała się kilka miesięcy w przebraniu postulantki. Gdy sytuacja trochę się uspokoiła, została przydzielona do Wojskowej Służby Kobiet KG AK. Miała kierować Referatem Organizacyjnym „Czytelni".

Tymczasem w stolicy wybiła godzina „W" – o godzinie 17.00 dnia 1 sierpnia 1944 roku wybuchło powstanie warszawskie. „Zo" natychmiast włączyła się w działania – dokonywała inspekcji kuchni powstańczych, punktów sanitarnych i szpitali, dostarczała na pozycje walczących granaty, zwane filipinkami, a gdy warszawiakom zaczął zaglądać w oczy głód, przedostawała się „karawanami podziemnymi" po jęczmień do zdobytych magazynów Heberbuscha przy Krochmalnej. Kiedy było już wiadomo, że dojdzie do kapitulacji stolicy, otrzymała od Komendanta Głównego AK Komorowskiego „Bora" swój ostatni powstańczy rozkaz – spisany na kawałku białego jedwabiu, który wszyła sobie w podszewkę kurtki. Miała wydostać się z Warszawy i odbudować w Krakowie struktury konspiracyjne „Zagrody". Zrujnowaną stolicę opuszczała 3 października pod niemieckim konwojem wraz z ludnością cywilną gnaną do obozu przejściowego w Pruszkowie. Towarzyszyła jej Wacława Zastocka „Baśka", kurierka „Zagrody". W pewnej chwili wskoczyły niepostrzeżenie do wolno jadącej niemieckiej ciężarówki pełnej naoliwionych podków. I tak dojechały do Błonia, gdzie Niemcy urządzili sobie postój. O świcie opuściły kryjówkę i pobiegły ile sił przez pola w kierunku klasztoru w Szymanowie. Kiedy siostra Assumpta „zobaczyła podpis »Bora«, rozpłakała się, uklękła i ucałowała »jedwabny rozkaz«". Niepokalanki przetransportowały „Zo" bryczką na dworzec skierniewicki, skąd przedostała się do Krakowa. Tam od razu przystąpiła do reaktywacji Wydziału Łączności Zagranicznej, tworzyła nowe szlaki kurierskie, zorganizowała przerzut do Szwajcarii Zdzisława Jeziorańskiego „Zycha" i jego żony – pierwszych emisariuszy po powstaniu. Sama założyła tajną placówkę w Wiedniu działającą pod kryptonimem „Walc". Była nieustannie w ruchu. Podróżowała do Bawarii, szukała kontaktów w Ludwigshafen, Singen-Singen, Marburgu, Fryburgu…, nieraz spała pod schodami dworca w Lipsku, odbywała wyprawy kurierskie do Szwajcarii.

Walka nie ma końca

Koniec wojny nie oznaczał dla „Zo" końca walki. Po pokonaniu Niemców wrogiem numer jeden stali się komuniści. Dlatego też wstąpiła w struktury Obszaru Zachodniego Delegatury Sił Zbrojnych na Kraj, przemianowanego następnie na Zrzeszenie „Wolność i Niezawisłość". Organizowała łączność i kolportaż prasy podziemnej w Wielkopolsce. Działalność konspiracyjną prowadziła do 1946 roku.

Funkcjonariusze Urzędu Bezpieczeństwa wpadli na trop Elżbiety Zawackiej w 1951 roku. Po gruntownej rewizji jej mieszkania, w wyniku której w szpulce od nici znaleźli ukryty dziesięciodolarowy banknot, została aresztowana i przewieziona do Warszawy. Tam przesłuchano ją w areszcie śledczym Ministerstwa Bezpieczeństwa Publicznego. Pytano, czy zna Andrzeja Czaykowskiego. W istocie go znała. Był to oficer polskiego podziemia, cichociemny, który w lipcu 1949 roku został wysłany przez rząd londyński do Polski, by organizować na jej terenie sieć wywiadu. W tym celu skontaktował się z Elżbietą, proponując, by zbierała informacje wywiadowcze, które będę przesyłane następnie do Londynu. Rozpoczęło się śledztwo. Ostatecznie skazano ją na 10 lat więzienia za „wejście w porozumienie z rezydentem siatki szpiegowskiej wywiadu angielskiego na Polskę" oraz przechowywanie dolarów. Swój wyrok odsiadywała w osławionym Fordonie, a także w Grudziądzu i Bojanowie.

W 1955 roku, na mocy amnestii, Elżbieta wyszła na wolność. Powróciła do pracy nauczycielskiej, a także pisania rozprawy doktorskiej z zakresu pedagogiki, która prawie gotowa „zaginęła" w momencie aresztowania. Zniszczono jej wtedy wszystkie materiały badawcze. Uzyskawszy najpierw doktorat, a potem habilitację, wykładała na Uniwersytecie Gdańskim i Uniwersytecie Mikołaja Kopernika w Toruniu. Służby Polsce nie zaprzestała nigdy. Z jej inicjatywy w 1989 roku powstało Stowarzyszenie Żołnierzy AK, działające potem jako Światowy Związek Żołnierzy AK, a w jej rodzinnym mieście – Fundacja „Archiwum Pomorskie AK". Elżbieta Zawacka odeszła na wieczną wartę 10 stycznia 2009 roku, kilka tygodni przed swoimi setnymi urodzinami. Za swoją niezłomną postawę Polki została uhonorowana około sześćdziesięcioma odznaczeniami państwowymi i wojskowymi, w tym dwukrotnie Orderem Wojennym Virtuti Militari oraz Orderem Orła Białego. W 1996 roku przyznany jej został tytuł profesora zwyczajnego. W wieku 97 lat natomiast otrzymała nominację generalską jako druga kobieta w historii Wojska Polskiego. ■

Źródła: K. Minczykowska, „Cichociemna. Generał Elżbieta Zawacka »Zo« 1909–2009", Kraków 2014; Clare Mulley, „Agentka Zo. Historia Elżbiety Zawackiej, bohaterki drugiej wojny światowej", Warszawa 2025.

eprasa.pl d19016ffac

Piotr Lisiewicz

W polskiej historii nie braliśmy kredytów na wojsko od Niemiec na 45 lat spłaty. Mieliśmy natomiast tradycję ofiarności Polaków, oddających najcenniejsze przedmioty i oszczędności dla żołnierzy. Należy do niej powołany w 1936 roku Fundusz Obrony Narodowej (FON). Poniżej przedruk fragmentów artykułu Wacława Jędrzejewicza w paryskiej „Kulturze", w którym opisał on historię ewakuacji FON przed Niemcami i uratowania go przed zagrabieniem przez Armię Czerwoną. Akcją dowodził Henryk Floyar-Rajchman, którego szczątki wróciły do Polski w 2026 roku. Jedną z ciężarówek, którymi wywożono polski skarb, prowadziła Halina Konopacka, lekkoatletka, nasza pierwsza złota medalistka na Igrzyskach Olimpijskich.

Wacław Jędrzejewicz

Jak uratowano polskie złoto

Objawami najbardziej wzruszającymi były te drobne, często bez- lub małowartościowe przedmioty, ofiarowane w przekonaniu, że były one najcenniejszymi rzeczami w rodzinie. Jakieś dwie srebrne łyżeczki do herbaty, jakiś nadpęknięty srebrny kubek […] naszyjnik fałszywych korali, przysłany do M.S. Wojskowych w przeświadczeniu, że są one prawdziwe.

Niezorganizowana ewakuacja wartości FON z Warszawy rozpoczęła się już 4 września 1939 r., gdy kpt. Mieczysław Januszewski i urz. Edmund Gutman (Biuro Budżetowe) wywieźli nieco depozytów, gotówkę w złotych, czeki i waluty obce […] Kpt. Skarżyński zabrał wszystkie depozyty z PKO, a z magazynów FON-u wszystko, co się dało pomieścić na dwóch samochodach ciężarowych […] i, dołączywszy się do kolumny złota Banku Polskiego, udał się do Lublina […]

W Warszawie, w magazynach FON pozostawiono wobec braku środków transportowych około 60 nieotwartych paczek otrzymanych od ofiarodawców, wszystkie obrazy, 4 rowery, 8 sztuk wag do ważenia wartości FON, laski, lornetki, albumy, monety miedziane, niklowe i żelazne nieobiegowe, 2 skrzynki monet srebrnych nieobiegowych i część aktów FON mniejszej wagi. Z cennych darów nie można było zabrać kompletnej zastawy porcelanowej w 8 paczkach, wartości kilku tysięcy złotych (dar p. Cukermana). […]

8 września płk. Grossek […] polecił przeprowadzić dwa samochody naładowane wartościami FON do oddziału Banku Polskiego we Lwowie, gdzie mieli przystąpić do segregacji tych wartości […] Mimo, że Niemcy byli niedaleko od Lwowa, często bombardowanego […] oficerowie zaczęli segregować dary FON, wydzielając przede wszystkim złoto […]

Droga do Bukaresztu

17 września o świcie wojska sowieckie przekroczyły granicę Polski. Rajchman zdołał na krótko przed zajęciem Horodenki przez bolszewików przeprowadzić kolumnę FON wraz z jednym, opóźnionym, eszelonem złota Banku Polskiego w kierunku na Śniatyń. Uniknąwszy dostania się w ręce bolszewików, kolumna ta była bombardowana przez nalot niemiecki, lecz strat nie poniosła. Wobec zburzenia przez ten nalot stacji w Śniatyniu, Rajchman poprowadził kolumnę do Kut, gdzie przybyto o godz. 7.00, a późnym wieczorem przekroczono granicę państwa. 18 września FON dotarł do Czerniowiec i […] znalazł się na dziedzińcu koszar rumuńskiej żandarmerii […]

Rumuni przydzielili po jednym rumuńskim żandarmie w charakterze eskorty, co okazało się bardzo potrzebne w długiej drodze z Czerniowiec do Bukaresztu […] 22 września zamordowany został premier Rumunii, Armand Calinescu. Było to dziełem członków „Żelaznej Gwardii", rumuńskiej organizacji faszystowskiej. Zabójstwo premiera wywołało oburzenie społeczeństwa, które na własną rękę zaczęło mordować należących do „Żelaznej Gwardii›" w miastach i miasteczkach. W naszej długiej podróży napotykaliśmy się na wiele trupów członków tej organizacji, rozstrzelanych czy powieszonych na rynkach miast […]

eprasa.pl d19016ffac

24 września o godz. 2.00 nad ranem przybył do Bukaresztu na dziedziniec ambasady R.P. […] popołudniu 24 września na teren ambasady wkroczyła żandarmeria rumuńska, zaaresztowała wozy FON z niewyładowanymi jeszcze wartościami i odprowadziła je do koszar […] Poszły więc w ruch łapówki, nawet nieduże, jak wskazują istniejące dowody, i po dwóch dniach trzy samochody FON, nienaruszone, znalazły się z powrotem na dziedzińcu ambasady. Teraz dopiero udało się nam przeliczyć zawartość samochodów. Okazało się, że zawierają one 83 skrzynie i paczki, 28 worków i 2 skrzynie z aktami […]

Skarby w piwnicy

Warunki pracy w ciemnej piwnicy ambasady były nad wyraz prymitywne. Piwnica nie miała podłogi, tylko ubitą ziemię, która często kruszyła się. Coraz to jakaś złota moneta spadała do piasku i trzeba było ją tam odszukiwać […] Na zmontowanych prowizorycznie stolach leżały setki wydobytych przedmiotów […] Olbrzymią większość wartości FON stanowiły zaklejone koperty, na których było napisane nazwisko ofiarodawcy i zawartość: zegarek zloty czy srebrny, papierośnica, 5 czy 10 rubli w złocie, lub 20 dolarów, lub inne złote waluty, ogromna ilość obrączek złotych, kubków srebrnych, damskich srebrnych woreczków, wiele łańcuszków, łyżeczek itp. […] W większych paczkach były srebrne kandelabry, tace, monstrancje, zastawa stołowa itd. Ponadto oddzielnie przybyła do ambasady wielka skrzynia z rękopisami marszałka Piłsudskiego, jego szablami, mundurem […]

Zdecydowano wówczas: 1) wysłać do Paryża około 192 kg monet i przedmiotów złotych oraz około 14.000 dolarów amer. w czekach dolarowych i różnych walutach obcych do dyspozycji prezydenta Raczkiewicza. 2) pozostawić w ambasadzie monety i przedmioty srebrne wagi około 2.400 kg. celem spieniężenia i przekazania uzyskanych sum Prezydentowi […]

Na szczęście wśród oficerów francuskich mieliśmy szereg przyjaciół i znajomych, członków francuskiej misji lotniczej i attachatu wojskowego w Polsce […] Francuscy wojskowi kurierzy bardzo często kursowali między Bukaresztem i Paryżem pociągami i samolotami i brali nasze skrzynki ze złotem i przedmiotami wartościowymi celem wręczenia władzom polskim w Paryżu […]

Porozumienie nasze z rządem w Paryżu nie było łatwe. Na depesze nasze, domagające się potwierdzenia odbioru skrzynek ze złotem, nie otrzymywaliśmy żadnej odpowiedzi. To nas w Bukareszcie doprowadzało do rozpaczy, a gwałtowny charakter Rajchmana miał z tego powodu częste okazje do wybuchów. Bo jakże ta sprawa wyglądała z naszej strony? Uratowaliśmy FON z Polski od Niemców i bolszewików, nie daliśmy go Rumunom, przesyłamy złoto i czeki do rządu w Paryżu i nie wiemy, czy to w ogóle dochodzi […]

„Pudełeczka, puderniczki, medaliony itp."

Wreszcie 7 grudnia ambasada w Bukareszcie otrzymała od ministra skarbu potwierdzenie […] W ten sposób zakończyła się ewakuacja złota, walut i czeków FON… W miarę wysyłania złota FON do Francji rozpoczęto segregację srebra […] Na przedmioty srebrne, (wagi ok. 1,150 kg.) składały się: parę tysięcy papierośnic, wielka ilość różnych sztućcy stołowych (przeważnie zdekompletowanych), kilka tysięcy kubków, pucharów i kieliszków, srebrne torebki damskie, paręset zegarków, różne przedmioty srebrnej galanterii stołowej (cukiernice, mleczniki, części serwisu do kawy lub herbaty, kompotiery, popielniczki, solniczki, koziołki, podstawki do szklanek, tace, świeczniki lichtarze itp.), drobne przedmioty galanterii osobistej, jak łańcuszki, bransolety, broszki, spinki, breloki, rączki do lasek, ordery i odznaki, paski, pudełeczka, puderniczki, medaliony itp. […]

Segregując, ważąc i pakując przedmioty, składane przez społeczeństwo polskie na Fundusz Obrony Narodowej, byliśmy często głęboko wzruszeni postacią tych darów. I może objawami najbardziej wzruszającymi były te drobne, często bez- lub małowartościowe przedmioty, ofiarowane w przekonaniu, że były one najcenniejszymi rzeczami w rodzinie. Jakieś dwie srebrne łyżeczki do herbaty, jakiś nadpęknięty srebrny kubek […] naszyjnik fałszywych korali, przysłany do M.S. Wojskowych w przeświadczeniu, że są one prawdziwe […]

Przyjazd Rajchmana do Paryża był kijem w mrowisko w ośrodkach rządowych, związanych z gen. Sikorskim i ministrem Kotem. Skąd i kto wydal Rajchmanowi wizę francuską? […] Epilogiem ewakuacji FON z Polski do Francji było pismo gen. Kukiela, zastępcy Ministra Spraw Wojskowych do mjra dypl. Henryka Floyar-Rajchmana z 12 marca 1940 r. które brzmiało: „Wyrażam Panu Majorowi w Imieniu Służby podziękowanie i uznanie za wyratowanie transportu Funduszu Obrony Narodowej przed zagrabieniem przez wojska sowieckie […].

Skrzynki ze złotem (nr 1-8) podzieliły losy całości złota polskiego, tj. znalazły się początkowo w Dakarze, a potem via St. Zjednoczone i Kanada powróciły, jak przypuszczam, do Polski […] wartości FON zawarte w pakiecie nr 9 i w skrzynkach nr 10, 11, 12, 14 oraz 15 zostały przewiezione do Anglii […] Część majątku, jaką warunki wojenne pozwoliły upłynnić, wpłacono na rachunek FON w Centralnej Kasie Ministerstwa Skarbu […] Po 21 latach skrzynki te znajdują się nadal w Marsylii, w skarbcu tamtejszego oddziału Banku Francji […] ■

Tytuł i śródtytuły pochodzą od redakcji „NP". Tytuł oryginału „F.O.N. w czasie 2-ej wojny światowej", przedruk za: „Zeszyty Historyczne", Instytut Literacki, Paryż 1962, Biblioteka „Kultury", tom LXXIII.

eprasa.pl d19016ffac

eprasa.pl d19016ffac

W katyńskich dołach śmierci znaleziono relacje dotyczące Janiny Lewandowskiej: „Jest z nami lotniczka. Trzyma się dzielnie” – z Agatą Puścikowską rozmawia Krzysztof Wołodźko.

Krzysztof Wołodźko

Zwykłe dziewczyny, polskie losy

Agata Puścikowska – dziennikarka, reportażystka, autorka kilkunastu książek, audycji radiowych i scenarzystka filmów dokumentalnych. Prywatnie mama pięciorga dzieci, żona Piotra.

▶ Napisała Pani książkę „Lotniczka” o Janinie Lewandowskiej z domu Dowbór-Muśnickiej. To córka generała, śpiewaczka, ofiara zbrodni katyńskiej. Nie interesuje Pani jej podkolorowany wizerunek (na przykład rzekomy „brawurowy skok ze spadochronem z wysokości pięciu tysięcy metrów”). Dotychczasowe biografie zrobiły jej krzywdę?

Stawia pan mocne pytanie. Jako społeczeństwo późno dowiedzieliśmy się o Janinie. Ona czekała na swój czas. Także dlatego, że o zbrodni katyńskiej dało się mówić pełnym głosem dopiero po upadku Polski Ludowej.

Mam wrażenie, że wcześniejsze teksty i książki poświęcone Janinie Lewandowskiej albo rzeczywiście ją koloryzowały, dopasowywały do szacownej sztampy dotyczącej całej rodziny, albo – przeciwnie – mocno negatywnie wykrzywiały obraz. Dobrym przykładem drugiej sytuacji jest bodaj najgłośniejsza książka poświęcona tej rodzinie, pióra Marii Nurowskiej, zatytułowana „Pamiętnik znaleziony w Katyniu”. Moim zdaniem to fatalna rzecz, przekłamanie goni przekłamanie, ale wciąż chętnie odwołuje się do tej pracy choćby „Gazeta Wyborcza”. Nieprawdą jest na przykład skrajnie negatywny obraz ojca Janiny, Józefa Dowbór-Muśnickiego, którego Nurowska pokazała niemalże jako tyrana, źle traktującego dzieci. Przypomnę, że Janina miała młodszą siostrę Agnieszkę i dwóch braci: starszego Gedymina i młodszego Olgierda.

Wspomniał pan o rzekomym „brawurowym skoku ze spadochronem z wysokości pięciu tysięcy metrów” Janiny Lewandowskiej. To od początku nie dawało mi spokoju. W „Lotniczce” wyjaśniam szczegółowo, dlaczego było to niemożliwe. Tutaj powiem tylko, że na taką wysokość nie latały samoloty sportowe. Janina, wbrew pewnemu stereotypowi, nie poszła na wojnę jako oficer Wojska Polskiego. Do września 1939 roku w formacjach zbrojnych żadna kobieta nie miała tak wysokiej rangi. Nie było też wojskowego lotnictwa dla kobiet.

▶ A jednak targnęła się Pani na legendę?

Trochę się obawiałam takich zarzutów. Teraz jestem pewna, że jej prawdziwa historia broni się sama. Chciałam pokazać jej jak najprawdziwszą sylwetkę. Trudność była też taka, że Janina najprawdopodobniej nie zostawiła po sobie żadnych pamiętników. Miałam mniej materiałów źródłowych. A gdy pisałam choćby „Waleczne z gór. Nieznane historie bohaterskich kobiet”, jeździłam po Podhalu, Spiszu, Orawie, znajdowałam również

FOT. ARCHIWUM AUTORKI

eprasa.pl d19016ffac

świadków opisywanych wydarzeń – mogłam napisać reportaż historyczny na wspomnieniach. W przypadku „Lotniczki" było inaczej, to monografia.

▶ Przy okazji: Dowbór-Muśnicki czy Dowbor-Muśnicki?

Obie formy nazwiska są poprawne. Ród miał korzenie litewskie, z Wileńszczyzny w XVIII wieku zawędrował w Sandomierskie. A generał wolał formę z „ó".

▶ Nie zdradzę wielkiej tajemnicy, jeśli powiem, że w obrazie Janiny Lewandowskiej z filmu „Pojedynek" Łukasza Palkowskiego nie odnajduje Pani jej prawdziwej historii. Dlaczego?

Ten film świetnie się ogląda, warsztatowo jest bardzo dobrze zrobiony, opowiedziana historia budzi żywe emocje. Ale obraz życia polskich jeńców w Kozielsku jest wypaczony. Kompletnie nierealistycznie przedstawione są też postać i życie Janiny w takich warunkach. I o to mam żal do twórców: Zbigniewa Grzybowskiego na potrzeby filmu zmieniono w Karola Grabowskiego [zagrał go Jakub Gierszał – przyp. red.]. A naprawdę świetna aktorka Julia Pietrucha zagrała „Janinę Lewandowską". Tylko że to naprawdę nie jest Janina!

▶ Dlaczego?

Po pierwsze, fizycznie wyglądała inaczej. Miała ciemne, krótkie włosy, ciemną karnację. W obozie chodziła w za dużym mundurze pilota wojskowego, najprawdopodobniej dostała go od jednego z oficerów polskiego lotnictwa. Z konkretnych powodów – miał zwiększyć jej bezpieczeństwo, ochronić przed sowieckimi żołnierzami. Z całą pewnością nie chodziła w spódnicy juzistki [przedwojenna pomocnicza kobieca organizacja militarna – przyp. red.] i nie śpiewała przed sowieckim oficerem szlagierów Ordonki. W Kozielsku zimą 1940 roku temperatura sięgała minus 40 stopni, z całą pewnością Janina nie biegała po obozie z rozwianym włosem. Nie chodzi jednak wyłącznie o temperatury i wygląd. To, jak pokazano w filmie kobiecą bohaterkę, sugeruje, że to był pełen swobody obóz, w którym Polacy mogli czuć się dość bezpiecznie. A przecież reżim był surowy, uwięzieni umierali od chorób, z wycieńczenia, od chłodu, cierpieli po prostu.

W filmie widzimy dziewczynę mocno „hej, do przodu", wręcz przebojową, która jest duszą towarzystwa i niemalże dobrze się bawi. W rzeczywistości to było ponure miejsce i czas. Janina Lewandowska w sowieckiej niewoli starała się być bardzo dyskretna. Taki też miała charakter, choć śpiewaczka: nie była typem gwiazdy, a niewola dostarczyła po temu nowych, konkretnych przyczyn. Po pierwsze – musiała troszczyć się o swoje fizyczne bezpieczeństwo. Polacy bardzo o nią dbali, otaczali kordonem bezpieczeństwa. Po drugie – Janina była córką generała, który z bolszewią walczył. W obozie nigdy nie zdradziła swojej tożsamości, podała fałszywą datę urodzenia, a jako imię ojca – Marian. Miała dobre powody, by nie ujawniać, kim jest.

▶ Lewandowska urodziła się 10 lat przed odzyskaniem przez Polskę niepodległości. Zginęła w Katyniu najpewniej jako jedyna kobieta, ponad pół roku po IV rozbiorze. Jeśli wierzyć datom, urodziła się i zmarła tego samego dnia – 22 kwietnia.

Zbieżne daty narodzin i śmierci… Szanuję nasz polski romantyzm i tę tradycję, ale – jak wyjaśniam w książce – nazwisko Janiny figuruje na liście wywozowej numer 040/1 z 20 kwietnia, przekazanej 22 kwietnia 1940 roku naczelnikowi Zarządu NKWD Obwodu Smoleńskiego. W okolicach urodzin najpewniej została wywieziona z Kozielska, podróż jednak trwała. Najprawdopodobniej została zamordowana między 22 a 24 kwietnia 1940 roku.

Konsultantami naukowymi mojej książki byli dr Ewa Kowalska z Biura Poszukiwań i Identyfikacji IPN oraz Grzegorz Jazdon z Muzeum Powstańców Wielkopolskich w Lusowie. Doktor Kowalska, specjalistka w sprawie zbrodni katyńskiej i Polek, ofiar tej zbrodni, podkreśla, że sowieckie dokumenty, które mamy, są prawdziwe. Listy wywozowe nie kłamały.

Choć Janina była jedyną kobietą, o której wiemy, że zginęła w Katyniu, nie była jedyną Polką – ofiarą zbrodni katyńskiej. Znamy obecnie nazwiska jeszcze pięćdziesięciu czterech kobiet w różnym wieku, skazanych na rozstrzelanie przez Sowietów od września 1939 do kwietnia 1940 roku. Najmłodsza, Aniela Krotochwilówna, miała 17 lat. Najstarsze – Helena Lewczanowska i Nadieżda Stiepanowa, blisko 60 lat. To były policjantki, funkcjonariuszki służby więziennej, działaczki społeczne i polityczne oskarżone o terroryzm przeciw władzy sowieckiej; nauczycielki, społeczniczki, kobiety z ziemiaństwa. Panny, mężatki, wdowy, rozwódki. W Bykowni znaleziono pierścionki wielu z nich. Te informacje celowo umieszczam w warstwie dokumentacyjnej książki, bo nadal są niezbyt znane.

eprasa.pl d19016ffac

W biografii Janiny odbija się tragizm polskich losów, tragizm jej pokolenia: urodzona w niewoli, zginęła w niewoli.

Podobny był los jej młodszej siostry, Agnieszki, ps. Gusia, urodzonej w 1919 roku. Janina przyszła na świat w 1908 roku. Los obu wiązał się z wielkimi polskimi nadziejami na niepodległość; na to, że wreszcie odwróci się zła karta. Ich dom był domem patriotycznym. I to nie jest żaden slogan. Jak wielu polskich wojskowych przed 1918 rokiem Józef Dowóbr-Muśnicki służył w armii zaborczej. W jego przypadku była to carska armia. Po przewrocie bolszewickim wybrał służbę Polsce. I – co się rzadko u nas zdarza – wygrał dla kraju powstanie. Był głównym dowódcą powstania wielkopolskiego, w 1919 roku awansował na generała broni.

Los tej rodziny pokazuje, jak skomplikowane było życie ludzi, których – słusznie – nazywamy przedwojenną polską elitą. Niestety, w tym domu zabrakło takiego ludzkiego szczęścia. Niedługo po narodzinach Agnieszki Dowbór-Muśnickiej zmarła jej matka, Agnieszka z domu Korsuńska. Gusia była jedynym z czworga dzieci generalskiego małżeństwa, które poznało, co to ojcowska troska. Była córeczką tatusia, jego oczkiem w głowie. Agnieszka to zupełne przeciwieństwo siostry Janiny – szalona, zabawowa, jako studentka potrafiła tańczyć w knajpach po stołach, z imprez wracała tramwajem rano, ku zgorszeniu starszych pań. Bliska przyjaciółka generała (tak to eufemistycznie ujmijmy), czyli Stefania z Bröl-Platerów Leonowa Wańkowiczowa, pisała o niej krótko: „ta wietrznica Gusia". Dzieci generała natomiast podśmiewały się z dużej zażyłości ojca z bezdzietną mężatką. Trochę jej dokuczały z powodu jej fizycznych defektów.

W maju 1936 roku, gdy pochowano w Wilnie serce Józefa Piłsudskiego przy grobie jego matki, Gusia tam pojechała. I dobrze się bawiła, biegając po mieście pod rączkę z młodym kawalerem… Niemcem. Generał mało nie dostał zawału! A rok później na jego pogrzebie wybuchł mały skandalik towarzyski, bo Gusia nie przywitała się z panią hrabiną.

Zaraz zostaniemy oskarżeni o szkalowanie przedwojennych elit.

[śmiech] Po prostu warto wiedzieć, że to byli ludzie z krwi i kości. Nie żywe pomniki! Po napaści Niemiec na Polskę obie siostry – od zawsze skonfliktowane i tak różne – zupełnie niezależnie od siebie poszły na wojnę bronić ojczyzny. I obie zginęły: Janina w kwietniu 1940 roku w Katyniu, Agnieszka dwa miesiące później w podwarszawskich Palmirach, nazywanych niemieckim Katyniem. W 2015 roku, po przeprowadzonej kwerendzie, jeden z grobów na tamtejszym cmentarzu mauzoleum został oznaczony jej imieniem i nazwiskiem. Tyle że wciąż nie podjęto do analizy szczątków, nie przeprowadzono badań DNA. Bez tego, moim zdaniem, nie można mówić o stuprocentowej identyfikacji miejsca spoczynku Agnieszki Dowbór-Muśnickiej.

Myślę też, że dużym walorem przedwojennych elit była głęboka świadomość znaczenia słów „Bóg – honor – ojczyzna". To nie podlegało dyskusji. To my dzisiaj mamy z tym problem. Tyle że oni nigdy nie chcieli umierać, wbrew fałszywemu rozumieniu polskiej martyrologii: oni zawsze bili się o wolność, pragnęli jej, chcieli spokojnej Polski i dobrego domu. Walczyli o wolność, by… żyć zwyczajnie. Dostrzegałam to, choćby pisząc „Wojenne siostry" czy „Waleczne z gór": kobiety, które walczyły o wolność, marzyły o tym, by w spokojnym domu zrobić swoim dzieciom zupę pomidorową albo poszaleć na zabawach. Walka była zobowiązaniem, ale żadna z tych kobiet nie chciała umierać – to wojna, terror i niewola przyszły do nich.

Janina Lewandowska urodziła się w Charkowie. Rodzina długo wędrowała za ojcem – wojskowym: najpierw obowiązki w carskiej armii, później bolszewicka rewolucja, ucieczka przed zemstą Sowietów (komuniści z Woroneża chcieli zamordować jego żonę i dzieci) i walka o granice II Rzeczypospolitej. W 1919 roku Józef Dowbór-Muśnicki kupił majątek dworski z pałacem w wielkopolskim Lusowie.

Generał tam mieszkał i gospodarował do swojej śmierci. Po wojnie ziemia trafiła do lokalnego PGR-u, pałac a to służył jako szkoła podstawowa, a to jako budynek Polskiej Akademii Nauk w Poznaniu. Po transformacji kilkukrotnie zmieniał właścicieli. Nie da się obecnie podejść do pałacu i go zwiedzić – trwają tam prace remontowe, choć obecny właściciel był tak miły, że mogłam obejrzeć każdy kąt. Od lat 90. w Lusowie działa jednak Muzeum Powstańców Wielkopolskich imienia Józefa Dowbór-Muśnickiego – niedaleko pałacu. Sama miejscowość jest zresztą piękna i warto ją odwiedzić.

Mogło się wydawać, że w Lusowie rodzina Dowbór-Muśnickiego będzie żyć długo i szczęśliwie. Na szczęściu rodzinnym kładzie się cieniem polityka, czyli spór generała z Józefem Piłsudskim. Wybuchła wojna z sowiecką Rosją. Naczelnik Państwa Polskiego chciał, żeby Dowbór-Muśnicki przejął od gen. Wacława Iwaszkiewicza dowództwo armii po-

eprasa.pl d19016ffac

łudniowej pod Lwowem. Generał się nie zgodził, jesienią 1920 roku został przeniesiony do rezerwy, a w marcu 1924 roku przeszedł w stan spoczynku.

Jeszcze dłuższym cieniem kładzie się śmierć Agnieszki, żony generała, w sierpniu 1920 roku.

▶ W książce pisze Pani: „Za trumną szedł generał w żałobie, Gedymin, Olgierd, a Janina na rękach niosła jedenastomiesięczną Agnieszkę. Szli i urzędnicy, właściciele okolicznych majątków, żołnierze, oficerowie wielkopolscy i wielu kochających swego dowódcę, teraz rozpaczających jego niedolą dowborczyków".

Po śmierci żony generał naprawdę zatroszczył się o dzieci. Zadbał o opiekę nad nimi, nie szczędził pieniędzy na leczenie i na edukację. Lusowo również wymagało sporo pracy.

▶ Żadna pałacowa sielanka – gorzka nieraz proza życia?

Dużym dramatem dla generała i całej rodziny musiała być choroba Janiny Lewandowskiej. To moje odkrycie: „lotniczka" jako piętnasto-, szesnastolatka bardzo poważnie zachorowała. Dziewczyna uczyła się wówczas gry na fortepianie, marzyła o wielkiej scenicznej karierze. I nagle – bardzo ciężka choroba neurologiczna! Kłopoty z koncentracją, równowagą, najdziwaczniejsze, nieskoordynowane ruchy ciała, agresja. Strwożony generał pisał o tym w listach do pani Stefanii: „Prawa strona ciała sparaliżowana, to jest robi mimowolne ruchy". Wtedy nazywano to pląsawicą. Choroba zabrała jej dwa lata życia.

▶ Janinę kojarzymy z juzistkami, Aeroklubem Poznańskim, służbą Polsce.

Mam nadzieję, że „kojarzymy", bo akurat wątek juzistek zupełnie nie przebił się do szerokiej świadomości. A to ogromnie ważny etap życia Janiny. Na kartach „Lotniczki" opublikowałam „Instrukcję wyszkolenia juzistek", zatwierdzoną w 1932 roku przez ministra spraw wojskowych. Ta kobieca, wojskowa organizacja zapewniała przysposobienie do służby radiotelegraficznej na wypadek konfliktu zbrojnego. To była bardzo ważna, świadoma decyzja w życiu generalskiej córki: juzistki były przygotowywane do służby w czasie wojny. Później zaczęła robić kursy szybowcowe – to jest dobrze udokumentowane m.in. w gazetach, bo jako córka generała budziła zaciekawienie przedwojennej prasy, dziś nazwalibyśmy ją celebrytką. Od roku 1937 zaczęła skakać ze spadochronem – ze zbudowanej w Poznaniu specjalnej wieży, przystosowanej do takich działań. Skoków z samolotów miała kilka. Latała też samolotami sportowymi jako drugi pilot – nawigator. Robiła zresztą uprawnienia pilota motorowego, ale do wybuchu wojny nie ukończyła wszystkich potrzebnych szkoleń. Podkreślę: szybownictwo i spadochroniarstwo to konsekwencja kursów juzistki w Zegrzu pod Warszawą.

▶ W książce mówi Pani także o jej muzycznych pasjach. I przypomina: „Dość szybko kariera Janiny stanęła w miejscu, ograniczając się do występów w restauracjach i teatrach rewiowych". Zabrakło talentu czy to raczej kwestia jej choroby?

To i to. Choroba neurologiczna w trakcie nauki gry na fortepianie to poważna przeszkoda w rozwoju kariery. Janina próbowała też śpiewać, ale nie miała wybitnego talentu wokalnego i estradowego – gdyby było inaczej, to z takim nazwiskiem miałaby zdecydowanie łatwiej. Bardzo chciała odnosić sukcesy, ale gdy się to nie udało, rozeźlona, śpiewała po kiepskich lokalach, co doprowadzało ojca do rozpaczy. Trudno mu się zresztą dziwić. Trzeba jej przyznać, że chciała sobie i innym coś udowodnić – nie bez znaczenia jest fakt, że również jej matka grała i śpiewała. Dużo lepiej radziła sobie z tym jej stryjeczna siostra, Krystyna Dowbór-Muśnicka, córka Konstantego, brata Józefa.

▶ A Muzyczne Konserwatorium w Poznaniu? Przecież je skończyła.

W jej przypadku była to właściwie muzyczna szkoła zawodowa. Ona nie uczyła się na wielką operową śpiewaczkę, ale na szkolną nauczycielkę śpiewu. I chyba tego nie chciała. Próbowała swoich sił na przeróżnych scenach – co jej nie wyszło. Musiała jednak pracować, zarabiać na siebie, więc znalazła pracę na poczcie. I później poszła na kurs juzistek.

▶ Nie siedziała w ojcowskim dworku, nudząc się stokrotnie…

Mamy fałszywy obraz przedwojennych Polek – albo jako radykalnych, lewicowych feministek, albo jako mieszczańskich i ziemiańskich panien na wydaniu, albo jako kur domowych. A prawda o Polkach jest nieco inna. Praca społeczna i zawodowa była dla polskich kobiet czymś oczywistym i przed rokiem 1918, i po nim. Prawa wyborcze dla Polek

eprasa.pl d19016ffac

w 1918 roku nie wzięły się znikąd – XIX wiek to czas, gdy kobiety na ziemiach polskich musiały troszczyć się nie tylko o domowe sprawy. Zaangażowanie społeczne, pozytywistyczne, szło w parze z patriotyzmem. Nie dotyczyło to tylko warstw wyższych – dzisiaj wiele się mówi o złym losie chłopek. Jak się poczyta wspomnienia chłopek z Markowej czy Poronina, wielu polskich wsi, zobaczymy kobiety ambitne, zaangażowane, ciekawe świata, wyedukowane zdecydowanie powyżej sześciu klas szkoły podstawowej. Ważną rolę spełniały też żeńskie zgromadzenia zakonne, a i ziemianki – które uczyły proste dziewczyny nie tylko zawodu, czytania i pisania, lecz także społecznej aktywności. To dla nich przecież zakładano wiele szkół, kształcono wszechstronnie, by zmieniały świat wokół siebie.

II Rzeczpospolita miała grunt, by wiele kobiet z różnych warstw społecznych przygotować do ważnych życiowych ról. I to, że Janina i Agnieszka walczyły o Polskę po wybuchu wojny, to część tego dziedzictwa. Liczył się także patriotyczny i społecznikowski etos, charakterystyczny dla przedwojennych elit: Janina działała w stowarzyszeniach, które zajmowały się dziećmi byłych powstańców wielkopolskich, organizowała dla nich wyjazdy rekreacyjne. Nierzadko były to ubogie domy.

▶ 1 września 1939 roku III Rzesza napada na Polskę. Janina jest w Poznaniu. Jedna z jej koleżanek wspominała po latach, że „lotniczka" stała na środku jezdni i obserwowała niemieckie samoloty. Na ostrzegawcze krzyki miała po chwili odpowiedzieć: „Ja musiałam dokładnie obserwować manewry w powietrzu. To mi się przyda". To w ogóle możliwe?

Cytowane przez pana słowa znamy z relacji Jadwigi Milanowskiej, juzistki, która miała bardzo dobrą pamięć. Nie wydaje mi się, żeby zmyśliła te słowa. Po pierwsze, konsultowałam tę opowieść z lotnikami i twierdzili, że to prawdopodobne. Po drugie, w chwili wybuchu wojny Polacy nie zdawali sobie sprawy, do jak wielkiego barbarzyństwa będą zdolni Niemcy. Obrzydliwość i groza niemieckiego terroru miały się dopiero unaocznić. Janina z jednej strony była stonowaną, spokojną osobą, z drugiej – wielokrotnie pokazała, że stać ją na konsekwentne, odważne działanie. Nie była nigdy bierna.

▶ Janina Lewandowska porucznikiem Wojska Polskiego została mianowana pośmiertnie – w 2007 roku. Najpewniej zataiła swoje prawdziwe dane przed Rosjanami. Jaki był jej status w Ostaszkowie i Kozielsku?

Pojawiały się domysły, że awansowała jeszcze w sowieckiej niewoli, ale nie ma na to żadnych przekonujących dowodów. Już wspominałam, że funkcjonowała tam jako Janina, córka Mariana Lewandowskiego. Mężowskie nazwisko pomogło jej zakamuflować nazwisko ojca. Są domysły, że Rosjanie zastanawiali się, kim ona jest. Próbowali ją rozgryźć. Gdyby jednak mieli pewność, szybko trafiłaby do Moskwy. I tam byłaby rozpracowywana.

Wbrew obrazkom z „Pojedynku", Polacy mieli utrudnioną wzajemną komunikację w katyńskich obozach. Nie było żadnych swobodnych wędrówek, zbiórkowo-rekreacyjnej atmosfery, głupich żartów i zabaw z dziećmi rosyjskich oficerów, brawurowych podkopów i piesków o imieniu Sralinek. Były wszy i pluskwy, głód i brud. Panował strażniczy rygor, Sowieci pod karabinem stosowali wobec nieposłusznych represje. Mimo to Polacy w obozie prowadzili tajne wykłady i formacyjne spotkania właściwie na każdy temat: polityczny, historyczny, społeczny, gospodarczy. Nie brakowało gorących sporów, bo i spojrzenia na przyszłą Polskę mieli różne. Znakomita większość z nich nie dała się jednak przekupić Sowietom, mimo beznadziejnej sytuacji, rozpaczliwego poczucia wrześniowej klęski zachowali jedność i wierność Rzeczypospolitej. Czekali i tęsknili – by walczyć o kraj.

▶ Co jeszcze wiemy o ostatnim etapie życia Janiny Lewandowskiej?

W niewoli nie popadła w apatię. Zaprzyjaźniła się z księdzem Janem Ziółkowskim, kapelanem Legionów, który walczył w wojnie polsko-bolszewickiej, był duszpasterzem w Korpusie Ochrony Pogranicza. Po rozmowach z kapłanem zaczęła w tajemnicy wypiekać obozowe komunikanty, potrzebne do odprawiania Mszy świętej.

Profesor Stanisław Swianiewicz, słynny przedwojenny polski sowietolog, który po wojnie zeznawał w masce przed specjalną komisją Kongresu USA do zbadania zbrodni katyńskiej, przekazał później, że Janina pisała podania o zwolnienie z obozu. Ona ocalała dla naszej pamięci również dzięki wspomnieniom księdza Zdzisława Peszkowskiego, jeńca Kozielska, który później trafił do Griazowca, a następnie wydostał się z Sowietów z armią generała Władysława Andersa. Z ich wspomnień wyłania się obraz rzeczowej, rozsądnej kobiety, która miała nadzieję na odzyskanie wolności i walkę o Polskę. Ksiądz Peszkowski, którego poznałam jako młoda dziennikarka, w Kozielsku był jeszcze cywilem. Także pomagał przy konspiracyjnych

eprasa.pl d19016ffac

mszach, ale jemu nie wychodziły tak dobrze upieczone komunikanty jak Janinie. Ze wspomnień dotyczących całego jej życia wyłania się obraz zaradnej dziewczyny, która potrafiła i szyć, i gotować. Żadna „panienka z okienka".

Są i inne świadectwa o niej. W katyńskich dołach śmierci znaleziono relacje dotyczące Janiny Lewandowskiej: „Jest z nami lotniczka. Trzyma się dzielnie".

▶ W „Pojedynku" polscy żołnierze bawią się z synkiem wysokiego funkcjonariusza sowieckiego aparatu represji, Wasilija Zarubina. Pani w „Lotniczce" pisze o polskich dzieciach w Kozielsku.

Zarubin w Kozielsku nie miał dziecka. Natomiast, czego nie mamy świadomości, ofiarami zbrodni katyńskiej były także dzieci – na ogół kilkunastoletni chłopcy, część jeszcze młodsza. Wielu z nich było harcerzami. Janina Lewandowska w katyńskim dole śmierci została znaleziona wraz ze szczątkami chłopca, Władzia, który do Kozielska trafił wraz z ojcem. Nie wiemy, jaki był los mężczyzny, najpewniej rozdzielono go z synem. A ona była z dzieckiem do końca!

▶ Jak Pani pisze w książce: „Chłopiec w granatowym szkolnym mundurku, krótkich spodenkach, podkolanówkach".

To fragment oparty na wspomnieniach Henryka „Murarza" Troszczyńskiego, chłopaka z warszawskiej Woli, który w 1942 roku jako dziewiętnastolatek był przymusowym robotnikiem „u Niemca" i z grupą ponad dwudziestu Polaków trafił pod Smoleńsk. Był jednym z pierwszych, który trafił na polskie groby w Kozielsku i poinformował o nich Niemców. Jako jedyny z robotników wrócił do Warszawy, walczył w powstaniu na Woli. Po wojnie długo milczał, wreszcie zaczął mówić, jego świadectwo uznano za wiarygodne. Zostawił po sobie zapisy i wiele wspomnień mówionych. Mówił: „Przeżyłem po to, żeby móc świadczyć". To on zobaczył i opisał kobietę w katyńskim dole śmierci. I dziecko w jej ramionach.

▶ Wspomniała Pani księdza Zdzisława Peszkowskiego, który jest także ważną postacią w Pani książce – wymienia go Pani już na wstępie. On wrócił do Polski dopiero w 1989 roku, 10 lat później założył Fundację Golgota Wschodu, miał nadzieję na polsko-rosyjskie pojednanie. Zmarł w 2007 roku. Dziś historycznie jesteśmy już w innym miejscu. Mamy też pewne zobowiązania w kwestii pamięci wobec coraz młodszych roczników.

Mam poczucie, że nie do końca potrafimy mówić o własnej historii. Nie do końca potrafimy ją popularyzować. Naukowcy mają wiedzę – i nie bardzo potrafią ją przekazać. Dziennikarze, filmowcy mają pasję – ale czasem upraszczają zbyt wiele. Może kiedyś wyjdziemy sobie naprzeciw i coś z tego dobrego wyjdzie? Z całą pewnością młodszemu pokoleniu trzeba opowiadać nasze dzieje w przystępny dla niego sposób. Trzeba pokazywać bohaterów i bohaterki polskiej historii jako ludzi z krwi i kości. To starałam się zrobić na kartach „Lotniczki". A równocześnie nie możemy unikać rzeczy najtrudniejszych i najstraszniejszych, prawdy o tragedii naszych losów. Inaczej młodzi zostaną z dziwnymi obrazami Kozielska w głowie, bardziej pasującymi do zachodniej popkultury niż doświadczeń poprzednich pokoleń Polek i Polaków. Janina Lewandowska była ofiarą totalitarnego zła, które chciało zniszczyć polską elitę jako niebezpieczną dla siebie siłę. A nasi marzyli o wolności i chcieli dalej bić się za wolny kraj. ■

MYŚLĘ TEŻ, ŻE DUŻYM WALOREM PRZEDWOJENNYCH ELIT BYŁA GŁĘBOKA ŚWIADOMOŚĆ ZNACZENIA SŁÓW „BÓG – HONOR – OJCZYZNA". TO NIE PODLEGAŁO DYSKUSJI. TO MY DZISIAJ MAMY Z TYM PROBLEM. TYLE ŻE ONI NIGDY NIE CHCIELI UMIERAĆ, WBREW FAŁSZYWEMU ROZUMIENIU POLSKIEJ MARTYROLOGII: ONI ZAWSZE BILI SIĘ O WOLNOŚĆ, PRAGNĘLI JEJ, CHCIELI SPOKOJNEJ POLSKI I DOBREGO DOMU. WALCZYLI O WOLNOŚĆ, BY... ŻYĆ ZWYCZAJNIE.

eprasa.pl d19016ffac

Marcin Wolski

Komu sprzedał swą duszę Donald Tusk?

Nikt nie rodzi się złoczyńcą, a przynajmniej tak uważamy my, wychowani w kulturze katolickiej. W innych kulturach, na przykład w judaizmie, uważa się, że błędy przodków ciążą aż do szóstego pokolenia. Chcę wierzyć, że w przypadku Donalda metamorfoza w osobę, którą jest obecnie, była długotrwałym procesem, który w dodatku w każdym momencie mógł być zahamowany przez niego samego albo inny splot wydarzeń.

Jak wielu Polaków dałem się nabrać na wizerunek z początku lat 90. – młodego, sympatycznego trampkarza, w polityce przeważnie lesera, wysługującego się najchętniej innymi, który zwykł drzemać na posiedzeniach Senatu. Jego partia – Kongres Liberalno-Demokratyczny – nieszczególnie wielka, choć widoczna, wydawała się świeżym oddechem w nowej Polsce. Zwłaszcza że jej twórcy wywodzili się z kręgu Solidarności. I nawet gdy zlała się w jedno z Unią Demokratyczną, liczyłem, że wzbogaci ją o element nowoczesności. I patriotyzmu! Nie doceniłem roli Donaldinia w trakcie „nocy teczek", kiedy obalano rząd Olszewskiego, kibicowałem jego bojom z Geremkiem, przyglądałem się z życzliwością, gdy z Płażyńskim i Olechowskim tworzyli Platformę Obywatelską, naiwnie myśląc, że jest najsłabszą figurą tego triumwiratu, wspartego takimi tuzami intelektu jak Jan Maria Rokita czy Zyta Gilowska. Zapomniałem, że Stalin zaczynał swoją „karierę" w komunistycznym kierownictwie WKP(b) jako lekceważony chłopiec na posyłki. Długo przypuszczałem, że owo „faustowskie ukąszenie" przez Mefista nastąpiło dopiero w 2005 roku, kiedy wszystko poszło inaczej niż wyobrażali to sobie obserwatorzy polityki – wydawało się, że 40 proc. sceny politycznej jest na trwałe zagospodarowane przez lewicę, a imperium Millera z Kwaśniewskim przetrwa długie lata, toteż prawica ma szanse utrzymać się, jedynie współpracując, jako katolicko-socjalny PiS i demokratycznie-liberalna Platforma…Myślałem, jak wielu, jakie piękne to będzie małżeństwo. O naiwny! Lewica legła na całego, a Kaczyńscy zgarnęli duży i mały pałac – zapraszając swych rywali do współrządzenia. Ci jednak… Relacje na temat Tuska z tamtego okresu przywodzą obraz człowieka zdruzgotanego, a zarazem bezradnego w swojej nienawiści.

W stanie wojennym napisałem powieść „Agent dołu" – rzecz o młodym bezkonfliktowym człowieku, który podstępem wciągnięty do współpracy z Piekłem, zostaje desygnowany na Dyżurnego Diabła Świata, który ma doprowadzić nasz glob do samozagłady. Czarci pomazaniec początkowo broni się, próbuje uciekać, później ulega przed siłą, a na koniec zaznaje prawdziwej rozkoszy w czynieniu zła, niszczeniu ludzi, przekonany o własnej wszechmocy i bezkarności. Za motto powieści posłużyła mi własna piosenka z Kabaretu 60-tka: „A przecież ja musiałem wziąć tę funkcję, nie dla kariery, nie dla szpanu, nie dla forsy, ja poświęciłem się. Dramat mój zrozumcie. Gdyby nie ja, to moje miejsce wziąłby gorszy" – pisałem to w 1982–1983 roku, myśląc, rzecz jasna, o autorach i kolaborantach stanu wojennego, tymczasem sens okazał się uniwersalny – dla innych czasów i wobec innych ludzi.

Jako strona kontraktu spisanego, jak sądzę, nie krwią, a jakimś bardzo sympatycznym atramentem, Tusk otrzymał wiele – dar wymowy, umiejętność czarowania ludzi, a także przedstawiania kłamstw tak, żeby wyglądały na prawdę. W zamian nie poskąpiono mu wszelkich możliwych zaszczytów, tytułów i orderów, a niewidzialna ręka usunęła w pewien kwietniowy poranek największego z jego przeciwników.

Tu rodzi się jednak pytanie: dlaczego osiągnąwszy wszystko, a nawet więcej, nasz bohater nie wycofał się konsumować swoją sławę i niewątpliwe apanaże? Co zwyciężyło? Wola zemsty, splendor władzy czy raczej ciężar podjętych zobowiązań? Najwyraźniej ów pomazaniec, mimo niewątpliwej giętkości i inteligencji, nie jest Twardowskim, sarmackim szlagonem, który z powodzeniem potrafił oszukać Mefistofelesa, natomiast diabeł czy raczej diabły prowadzące posiadają dość kwitów, aby trzymać delikwenta za gardło i nie pozwolić na minimalny choćby sprzeciw, na żaden kompromis, żaden krok w tył, a tym bardziej honorową kapitulację.

Nie mam współczucia dla Fausta z Sopotu, nęci mnie tylko pytanie, co będzie, kiedy ręka Pani Historii zdecyduje się zmieść z naszego stolika wszystkie zgrane i znaczone karty, łącznie z ryżym waletem, od lat udającym króla, a nawet cesarza… ■

eprasa.pl d19016ffac

Tomasz Łysiak

Z CZEGO SIĘ ŚMIEJECIE? CZYLI GOGOLOWSKIE LUSTRO 190 LAT PO PREMIERZE

eprasa.pl d19016ffac

FOT. ARCH.

Bywa tak, że jedno zdanie, jeden cytat tak się spaja z tekstem sztuki, że gdy ktoś powie jej tytuł, to właściwie zaraz, na jednym wydechu dopowiada się tych kilka słów, które każdy zna i z tym właśnie dramatem kojarzy. Powiesz: „Hamlet" – zaraz usłyszysz: „Być, albo nie być – oto jest pytanie!". Jako drugie słynne zdanie z szekspirowskiego hitu wszech czasów można by dodać: „ktoś nie śpi, żeby spać mógł ktoś". Tak też jest z „Rewizorem" Gogola, z którego w pamięci zbiorowej został fragment z finałowej sceny, z monologu Horodniczego: „Z czego się śmiejecie? Z siebie samych się śmiejecie". Co to tak naprawdę znaczy w świetle całego utworu, którego prapremiera odbyła się 190 lat temu – 19 kwietnia 1836 roku w Petersburgu?

eprasa.pl d19016ffac

Nikołaj Gogol nie napisał wielu sztuk teatralnych. Znane są właściwie dwie: „Ożenek" oraz „Rewizor". Oprócz tego przerabiano na scenę prozę pisarza – genialne „Martwe dusze" czy serię znakomitych krótszych form, opowiadań takich jak „Szynel" czy „Nos".

Opowieść uniwersalna

Gogol urodził się na Ukrainie i w sensie narodowościowym czuł się Ukraińcem, a nie Rosjaninem. Osobną sprawą jest kwestia jego silnego antypolonizmu – powieść „Taras Bulba" to nie tylko opis walk Kozaków z Rzecząpospolitą, lecz także paszkwil na Polaków. Jednak z drugiej strony, przy swoim wielkim talencie, Gogol nie omieszkał obrócić go w stronę Rosji, którą obserwował i opisywał ze swadą oraz niesamowitym wyczuciem ruskiej duszy i gnębiących ją chorób. Ukazywał jak nikt inny gnijący, zbiurokratyzowany system urzędniczy, pełen lęku wobec władcy najwyższego, czyli cara. Jego bohaterowie są obrazem i częścią Rosji, jednocześnie jednak pełni są wad charakteru czysto ludzkich, tych, które odżywają w każdym systemie i pod każdą szerokością geograficzną. I dlatego warto po Gogola sięgać i się nad nim pochylać: bowiem snuje on opowieść o Rosjanach, unosząc ją jednocześnie do wymiaru refleksji uniwersalnej.

„Rewizor" należy do jego najgenialniejszych utworów, a w Polsce znalazł znakomitego tłumacza – Juliana Tuwima. Tuwim przetłumaczył zresztą i „Ożenek", zaś w obu wypadkach stworzył dzieła kongenialne, sięgając czasem wręcz po słowotwórstwo, które lepiej oddawało siłę tekstu oryginalnego niż tłumaczenie „zwykłe". Oto sukno na frak może być „twarzowsze" niż inny materiał – co wydaje się językowym błędem, a jest przecież zabiegiem fantastycznym.

„Rewidmor" dał tytuł rozdziałowi o „Rewizorze" znakomity pisarz rosyjski Władimir Nabokow w swojej biografii Gogola. Napisał w niej też, że ta największa, najwybitniejsza sztuka w całej historii literatury rosyjskiej natrafiła na opór komitetu cenzury, który był „zbiorem cymbałów i pompatycznych osłów", niepotrafiących zrozumieć sedna satyry uderzającej w system korupcji gangrenującej Rosję, lecz którzy nie dostrzegali, mieląc ją w swych grubych paluchach, że to nie abstrakcja, lecz konkret i trafna obserwacja rzeczywistości. Ale i tak by ją wstrzymali, gdyby nie gest najwyższego cenzora, czyli cara Mikołaja. Nabokow sam się zastanawia nad tym, co właściwie kierowało cesarzem, że się na „Rewizora" zgodził, i nie znajduje odpowiedzi. A trzeba dodać, że i o nim (chociaż bez imienia) w tekście jest, a jakże!

List Puszkina

„Rewizor" powstał w 1835 roku. W tym samym roku Gogol zaczął też pracę nad „Martwymi duszami". Pisarz był wówczas w stanie swego rodzaju mistyczno-religijnej ekscytacji – jego pobyt w Kijowie i następnie w Petersburgu naznaczony był nieustannym natłokiem myśli dotyczących relacji: państwo a zwykły człowiek. Pomysł na „Rewizora" podsunął mu sam, uwielbiany przez niego, Puszkin, który wysłał Gogolowi w liście odpowiedź na prośbę o jakąś inspirację potrzebną do napisania ważnej „moralnie" sztuki. Była to anegdota wzięta z lokalnej prasy – historia ponoć wydarzyła się w jakimś małym, prowincjonalnym miasteczku, do którego zajechał człowiek, wzięty tamże, zbiegiem okoliczności, za urzędnika z Petersburga. Ów, jak mniemano, rewizor, czyli kontroler, miał w mieście przebywać incognito i po cichu badać stan rzeczy, żeby potem donieść wyższej władzy o ciemnych sprawkach. To stało się początkiem zabawnej intrygi – notable miejscowi wzięli go bowiem za rewizora, zaczęli się umizgiwać o względy, wręczać łapówki i obsypywać prezentami. Dopiero po wyjeździe zorientowali się, iż zostali wystrychnięci na dudka. Gogol zresztą, by „odwdzięczyć się" Puszkinowi, umieścił opowieść o autorze „Oniegina" w tekście sztuki, wkładając go w narrację Chlestakowa, owego fałszywego rewizora.

Pierwsze zdanie sztuki

Nabokow we wspomnianej już biografii pisze nie tylko o okolicznościach powstawania sztuki i jej premiery w Teatrze Aleksandrowskim, lecz także o samym tekście jako materii. Bo w istocie jest on nie tylko arcydziełem literackim, ale też stanowi wiwisekcję duszy rosyjskiej i rosyjskich stosunków społecznych. Małe miasteczko, leżące gdzieś na trasie z Petersburga do saratowskiej guberni, staje się tu bowiem „małą Rosją", przeglądają się tu w lustrze satyry rosyjskie gęby wszelkiej maści, rangi czy tytułu, i to na długiej linii czasu.

Głównym bohaterem sztuki wcale nie jest tytułowy Rewizor, lecz rządzący w miasteczku burmistrz, czyli Horodniczy (od „gorod" – „miasto"). To jemu śnią się „dwa wielkie szczury" jako zapowiedź nieszczęścia i to on rozpoczyna akcję, wkraczając na scenę i mówiąc jedno, acz mocne zdanie: „Zaprosiłem panów w celu zakomunikowania im arcyniemiłej nowiny: jedzie do nas Rewizor!". Majstersztyk! Gogol bardzo długo nad tym pracował i skracał pierwszą wypowiedź Horodniczego, która w ostatecznej wersji (sam tekst „Rewizora" zmieniał się pod piórem Gogola kilkakrotnie) stała się właśnie jednym, eksponującym wszystko zdaniem. Urzędnicy, zgromadzeni w pokoju w domu Horodniczego, zostają ugodzeni tą wypowiedzią jak wyzwalającym lęk pociskiem. Można by „Rewizora" pokazywać jako przykład błyskawicznej ekspozycji i rozpoczęcia akcji jednocześnie w szkołach scenariusza filmowego. Bo to pierwsze zdanie uruchamia wszystko – urzędnicy bledną ze strachu i zaczynają się wspólnie zastanawiać, jak zareagować.

eprasa.pl d19016ffac

Notabene lęk jest jedną z emocjonalnych dźwigni dramaturgicznych w tej komedii – cóż może złego zauważyć u nas Rewizor? A jak doniesie wyżej? Jak się dowie najwyższa władza? Co zrobi?

Sami swoi

Jeśli Nabokow stawiał pytanie: dlaczego car Mikołaj zgodził się na pokazanie sztuki – to być może właśnie dlatego, iż zobaczył w niej, że ów lęk stanowi spoiwo wszystkiego, że w Rosji rządzi się, siejąc strach wśród poddanych. I wcale mu się taka wizja, nawet jeśli podana w formie satyry, nie wydawała zła! Gdy Chlestakow zbliża się w trakcie jednej ze scen łapówek do trzęsącego się ze strachu inspektora szkół Chłopowa i każe mu spojrzeć sobie w oczy, to w sadystyczny sposób cieszy się, bawi lękiem tamtego. To musiało też bawić cara: ów trzęsący się ze strachu poddany…

Carska Rosja

Z drugiej strony „Rewizor" to fresk carskiej Rosji – bo przecież poza głównymi postaciami jest też cały szereg rólek mniejszych, pysznego drugiego planu i epizodów – kupców, policjantów, pijanych żandarmów, służących… Oni też opowiadają swoją opowieść. O Rosji zapijaczonej. I brutalnej. Wdowa po oficerze – wychłostana „przez pomyłkę". Knut wszak zawsze wisi nad głową Moskala i przypomina mu, że wszędzie, na każdym poziomie istnieje jakaś emanacja, jakiś wykwit systemu władzy, który takiego knuta może użyć. Monolog, skarga i jęk ślusarzowej Poszlopkiny, która przychodzi skarżyć się na Horodniczego, to opowieść o rosyjskim wojsku, do którego można było wsadzić każdego na dwadzieścia lat i wyrwać go rodzinie, całkiem jakby miał umrzeć dla świata. Wreszcie znakomity jest moment, w którym po

Gogol Rosję obserwował i opisywał ze swadą oraz niesamowitym wyczuciem ruskiej duszy oraz gnębiących ją chorób. Ukazywał jak nikt inny gnijący, zbiurokratyzowany system urzędniczy, pełen lęku wobec władcy najwyższego, czyli cara.

Wśród rosyjskich chorób uwydatnianych w „Rewizorze" jest korupcja. Każdy każdemu wręcza łapówki. Nikt nie jest moralnie czysty. Każdy ma swoje grzeszki na sumieniu, co Horodniczy kwituje krótkim „sami swoi", gdy spogląda na podległych sobie urzędników miejskich: sędziego, dyrektora szkoły czy szefa instytucji dobroczynnych i szpitali. To też jest w jakiejś mierze ważna część „systemu" – jeśli wszyscy są moralnie ubrudzeni, to w jakiejś mierze usprawiedliwia to każdego. A to znowu oznacza, że nikt z systemu zła i korupcji nie może się wyłamać!

Jest też „Rewizor" o chorej wyobraźni – słusznie go tu zestawia Nabokow z molierowskim „Chorym z urojenia", gdyż tak naprawdę przecież Rewizora oni wszyscy sami sobie wyobrażają. Chlestakow im pasuje do obrazka, sami narzucają interpretację, a gdy cwaniak orientuje się, w czym rzecz i podchwytuje grę, może się żywić tymi tworami wyobraźni i przesuwać granicę coraz dalej i dalej. Aż do upodlenia człowieka. I o tym też jest w arcydziele Gogola: o tym, jak człowiek może się upodlić sam, wpadając w tory lizusostwa, służalczości, chęci kariery czy zysku. Płaci się za tę karierę monetą moralnego upadku. A bagno słabości wsysa coraz głębiej, gdy już raz się wstawi doń nogę.

oświadczynach Chlestakowa o rękę córki Horodniczego ten nagle staje się panem i władcą świata. Już się widzi w generalskich wstęgach, a jego żona na cesarskich balach i w petersburskim pałacu. Wtedy przychodzi też chęć zemsty, odegrania się i natychmiastowego użycia swej władzy, by na kolana rzucić innych.

W finale jednak wszystko się zmienia – miraż pryska, urzędnicy mogą sami siebie spytać, dlaczego uwierzyli we własne wizje, a potem czemu dali się oszukać.

Gogol wyciąga lustro i zwraca je w stronę publiczności. W arcykapitalnym monologu Horodniczy miota się po scenie, winiąc innych, a potem siebie. I gdy publiczność śmieje się z zabawnego żarciku wplecionego, de facto, w tragiczną warstwę, Horodniczy patrzy na nią i mówi: „Z czego się śmiejecie? Z siebie samych się śmiejecie!". Ot, głupcy – widzą kłopot u innych, a nie widzą u siebie. Wszystko kończy się ponuro. Trzeba znaleźć winnego. Zrzucić winę z siebie na mniejszych, słabszych. Będą to dwaj „donosiciele" – Bobczyński i Dobczyński, nad którymi zawiśnie gilotyna Horodniczowskiego gniewu. Lecz nim zdąży ich dopaść, wchodzi żandarm i obwieszcza, że do miasta zajechał rewizor. I zatrzymał się w hotelu. Opowieść domyka się perfekcyjnie. ■

eprasa.pl d19016ffac

Krzysztof Karnkowski

PRL zaczerniony ołowiem

Wyprodukowany przez Netflix serial Macieja Pieprzycy „Ołowiane dzieci" pod względem artystycznym można uznać za bardzo udany. Na pewno nie może też narzekać na brak widowni – od premiery serial znajduje się w pierwszej dziesiątce najchętniej oglądanych w Polsce produkcji. A jednak towarzyszą mu pewne kontrowersje...

Część zarzutów dotyczy dość znacznego odejścia od wydarzeń, które stały się dla Pieprzycy inspiracją. Inne od typowych dla polskiej inteligencji projekcji i uprzedzeń, jakie można zauważyć w ukazaniu bohaterów. Pojawia się wreszcie pytanie – dlaczego akurat teraz? Choć na nie ostatnio chyba dość łatwo odpowiedzieć... Przyjrzymy się każdemu z tych wątków, przy okazji odkrywając, co dobrego, a co złego znajdziemy w popularnej produkcji.

Trucizna w powietrzu i w glebie

Jeśli chcemy jednak zacząć naprawdę od początku, musimy cofnąć się aż do XIX wieku, gdy znana firma Giesche uruchomiła w Szopienicach hutę cynku „Wilhelmina", przejęła i rozbudowała też kilka innych zakładów, tworząc jeden z większych w ówczesnej Europie koncernów metalurgicznych. Firma starała się dbać o swoich pracowników, budowała więc dla nich zaplecze mieszkaniowe i socjalne (czego pamiątką jest m.in. katowicki Giszowiec), jednak to dobrodziejstwo, o czym długo nie wiedziano, stało się również przekleństwem. Już na początku XX wieku zauważono, że w okolicy huty bardzo wiele dzieci cierpi na poważne problemy neurologiczne, a zjawisko było na tyle problematyczne, że otworzono dla nich jedną z pierwszych na tych terenach szkołę specjalną. Faktu tego jednak nie łączono z hutą, bo choć sami hutnicy chorowali dość często, uznawano to za choroby zawodowe, a więc zło konieczne – cenę za stałą pracę i stabilne życie.

Ołów, powstający przy produkcji cynku, był obecny w powietrzu i w glebie, a więc wyjątkowo podstępny, zwłaszcza dla dzieci. Wysyłane dla zdrowia na powietrze, karmione dla zdrowia warzywami z przydomowych grządek, chłonęły truciznę. Zjawisko trwało latami, jednak gwałtownie narosło, gdy Polska czasów Gierka przeżywała swój wielki przemysłowy boom. Huta Metali Nieżelaznych Szopienice była flagowym zakładem PRL, a jej dyrekcję naciskano na osiąganie coraz wyższych wskaźników produkcji. Aby to osiągnąć, świadomie ignorowano liberalne normy ekologiczne i rezygnowano ze skromnych nawet zabezpieczeń. Gdy w kominach huty zdejmowano liche filtry, by piece mogły pracować wydajniej, zanieczyszczenia zatrzymywały się na innych „naturalnych" barierach – w glebie, na murach i oknach najbliższego, wybudowanego tuż przy fabryce skupiska familoków, nazywanych powszechnie Targowiskiem. Między domami nie rosły żadne drzewa, a ze wspomnień mieszkańców wynika, że w mieszkaniach nie można było trzymać w tej dzielnicy żadnych żywych stworzeń. Dla psów życie trwało tam kilka miesięcy, dla ptaków w klatkach – kilka tygodni. A dla dzieci… Cóż, dzieci może nie umierały tak masowo, jak sugeruje serial, jednak chorowały, rozwijały się wolniej, miały wciąż kłopoty neurologiczne. Próbowano je leczyć, wysyłano je nawet do sanatoriów, cóż jednak z tego, skoro podleczone wracały w to samo miejsce i piekło zaczynało się od nowa? I tu w opowieść wkracza polityka. PRL ze swoją opieką zdrowotną próbował jakoś tam dbać i o hutników, i o ich dzieci, jednak działalność i efektywność huty były również kwestią polityczną – i stwierdzenie, że to flagowy zakład może powodować takie spustoszenie, długo nie mieściło się w poprawności politycznej mocno zindustrializowanej ery propagandy sukcesu. Jednak stopniowo, dzięki uporowi kilku osób, udało się doprowadzić najpierw do wysłania dzieci na dłuższy czas poza Targowisko, a później do wyprowadzenia z jego zabójczych murów wszystkich zamieszkujących je rodzin. I właśnie do tych wydarzeń odwołuje się serial Pieprzycy.

„Matka Boska Szopienicka"

Doktor Jolanta Wadowska-Król była pediatrą w Szopienicach. Gdy pracująca na stanowisku Wojewódzkiego Konsultanta Medycznego ds. Pediatrii i kierująca Kliniką Pediatrii Śląskiej Akademii Medycznej w Zabrzu prof. Bożena Hager-Małecka zaczęła zastanawiać się nad niepokojącą skalą zachorowań wśród dzieci, a zarazem objawami wykraczającymi poza standardowe skutki anemii, na którą leczono małych pacjentów, zwróciła się do Wadowskiej-Król o przebadanie części szopienickich dzieciaków. Lekarka zrobiła znacznie więcej, niż od niej oczekiwano, i przeprowadziła badanie kilku tysięcy dzieci. Wyniki były dramatyczne – w różnym natężeniu chorowały właściwie wszystkie. Dzięki uporowi i wytrwałości Wadowskiej-Król, po drodze nazwanej „Matką Boską Szopienicką", udało się doprowadzić do wspomnianych już wyżej działań naprawczych. W jej pracy wspierała ją Hager-Małecka, służąca jej swymi politycznymi kontaktami, głównie z wojewodą Jerzym Ziętkiem (postacią dość nietypową jak na ówczesne czasy, byłym powstańcem śląskim, cieszącym się rzadką jak na komunistyczne realia sympatią dużej części obywateli). I jakoś, choć nie bez oporów, się udało – tyle że nie za bardzo można było na głos mówić o głównej przyczynie całej operacji.

Wadowska-Król pracowała dalej, jednak w zemście komuna nie pozwoliła jej obronić opartego na jej badaniach i doświadczeniu doktoratu. Znaleźli się usłużni akademicy, którzy przekreślili jej pracę. Ponoć i określenie „Matka Boska Szopienicka" miało być kpiące, stygmatyzujące, tyle że do końca wdzięczni ludzie przejęli je z dobrymi intencjami. Dzielna lekarka umarła w 2023 roku, a przez ostatnie 10 lat życia do-

FOT. MAT. PRAS.

eprasa.pl d19016ffac

czekała się kilku spóźnionych nagród i poświęconych sobie publikacji. Ukoronowaniem tej drogi był doktorat honoris causa Uniwersytetu Śląskiego. W 2013 roku powstał dokument „Matka Boska Szopienicka" w reżyserii wnuczki bohaterki, Małgorzaty Król, w 2021 roku wspomnianemu utytułowaniu przez uniwersytet towarzyszyła premiera „Tajemnicy trucia szopienickich dzieci", wreszcie przyszła pora na serial Pieprzycy, reżysera urodzonego w Katowicach i chętnie portretującego, na ogół w ciemnych barwach, Śląsk.

Problem z wiarygodnością

„Ołowiane dzieci" są więc serialem bardzo ciemnym, momentami bliskim wręcz stylistyce horroru, w którym siłą nieczystą stają się dym z kominów huty i pył opadający na osiedle. Od strony formalnej trudno tu coś zarzucić, choć pierwsze kilkanaście minut serialu może sprawiać wrażenie pewnego przerysowania. Znakomita muzyka, bardzo dobre aktorstwo, świetne lokacje i scenografia – wszystko tworzy opowieść spójną i przekonującą. Jedyne, co nie gra w tej warstwie filmu, to kompletnie niepasujące do scenerii brudnych katowickich ulic mknące po szynach wypucowane, odremontowane niedawno warszawskie muzealne wagony tramwajowe. Dziwi też trochę świetnie mówiący po polsku czarnoskóry kolega młodych bohaterów, spędzający z nimi czas na basenie. Nie dowiadujemy się, kim jest, skąd wziął się na Śląsku w czasach wojewody Ziętka i sekretarza Grudnia, może Pieprzyca chciał zażartować sobie z niebezzasadnych stereotypów na temat polityki Netflixa?

Jednak właśnie ta wiarygodność jest źródłem napięć wokół serialu, które powstają wtedy, gdy obraz na ekranie rozjeżdża się z prawdą historyczną. W serialu lekarka jest osobą z zewnątrz, Konopielką z przychodni pediatrycznej, zderzającą się z nieufnością i wrogością uzależnionych od huty miejscowych, podczas gdy tak naprawdę sama była z tej samej okolicy, a ludzie do jej badań i pracy od początku podchodzili z zaufaniem. W serialowej opowieści dodano Wadowskiej-Król bohaterstwa, czyniąc ją obiektem ataków robotników, podpuszczanych przez esbecję, a później także obiektem prześladowań i zastraszania przez Służbę Bezpieczeństwa. Dobudowano do historii również element thrillera politycznego, a dzieci stają się zakładnikami w wojence aroganckiego i głupiego Grudnia z dużo bardziej poczciwym i przyzwoitym Ziętkiem. Tymczasem tła tego w rzeczywistości nie było i choć rodzina nie wyklucza, że SB lekarką się zajmowała, brak po tym śladów w papierach. A przecież i bez tego bohaterstwa pani Jolancie przecież nie brakło.

Cóż, film rządzi się swoimi prawami, a twórcy lubią dodawać kolorów. Plusem tego jest zdecydowanie antykomunistyczna wymowa serialu, co cieszy w czasie, gdy grozi nam kolejny raz relatywizacja PRL. Widzimy tu pogardę władzy dla życia i zdrowia ludzi, brutalność esbecką, wszechobecne donosicielstwo, a także społeczny opór oraz ważną i pozytywną rolę Kościoła w życiu społeczności. Minusem jest na przykład to, że niektóre ważne osoby pominięto (nie ma w filmie ówczesnej dyrektorki uzdrowisk, mocno zaangażowanej w walkę o zdrowe dzieci, dr. Zofii Kajzerowej, a pomagająca głównej bohaterce prof. Hager-Małecka została zamieniona na dużo bardziej niejednoznaczną prof. Berger, której przy okazji odebrano część zasług).

„Ołowiane dzieci" są serialem bardzo ciemnym, momentami bliskim wręcz stylistyce horroru, w którym siłą nieczystą stają się dym z kominów huty i pył opadający na osiedle.

Niektórzy widzą w opowieści stereotypizację Ślązaków i klasy robotniczej, tu do pewnego momentu ciemnej i zamkniętej na naukę, a nawet głos w całkiem współczesnej dyskusji o konieczności odejścia od przemysłu ciężkiego. Te wnioski wydają mi się trochę na wyrost, choć mogę zrozumieć, skąd się wzięły wśród oglądających ten film. Nie zmienia to faktu, że to kolejna potrzebna i bardzo sprawna polska produkcja. Mam tylko nadzieję, że zainteresowani tematem sięgną również po prostujące kilka filmowych przeinaczeń dokumenty. ■

eprasa.pl d19016ffac

Marek Kalinowski

Muzyka w cieniu wojny

Depeche Mode, Pulp, Arctic Monkeys, Oasis, Beth Gibbons i wielu innych znanych artystów spędziło wspólny tydzień w legendarnych studiach Abbey Road. Efektem tej niezwykłej sesji nagraniowej jest płyta „Help 2" – charytatywny projekt War Child, mający na celu pomoc dzieciom dotkniętym konfliktami zbrojnymi na całym świecie.

Najnowszy album organizacji War Child to kontynuacja i nawiązanie do głośnego projektu z 1995 roku. Pierwsza płyta „Help", która ukazała się wtedy, pozostaje do dziś niezwykle ciekawym muzycznym zapisem tamtych czasów. Nagrana również w Abbey Road Studios, u szczytu popularności britpopu, okazała się jedyną okazją do spotkania dwóch rywalizujących wówczas na brytyjskich listach przebojów zespołów – Oasis i Blur. Była także premierą utworów, które, jak w przypadku Radiohead, zapowiadały nowe kierunki w muzyce rozrywkowej. Dochód z albumu przeznaczono przede wszystkim na pomoc dzieciom dotkniętym konfliktem na Bałkanach. Płyta już w pierwszym tygodniu sprzedała się w Wielkiej Brytanii w 70 tys. egzemplarzy, przynosząc łącznie ponad 1,2 mln funtów dochodu.

Kto mógł wówczas przypuszczać, że po 30 latach będziemy mogli jedynie zatęsknić za „spokojem" tamtych czasów. Dziś punktów zapalnych na świecie są setki, a kolejne konflikty eskalują dokładnie w dniu premiery „Help 2". Szacuje się, że liczba dzieci dotkniętych skutkami wojny wynosi obecnie około 520 mln – najwięcej od czasów II wojny światowej.

Na nowym wydawnictwie War Child Records powraca przynajmniej część wykonawców, którzy współtworzyli pierwszy album „Help". Jest tu zarówno Oasis – w koncertowym bonusie, jak i lider Blur – Damon Albarn. Niektórych bohaterów pierwszej płyty, jak Sinéad O'Connor, nie ma już z nami. Jest za to jej piosenka „Black Boys on Mopeds" w ciekawym wykonaniu Fontaines D.C. – zespołu, który w ubiegłym roku płytą „Romance" podbił światowe listy przebojów.

Różni wykonawcy, HELP 2, War Child Records

Obok weteranów sceny muzycznej – takich jak Depeche Mode, Pulp, Arctic Monkeys czy Beth Gibbons – otrzymujemy też całkiem ciekawy przegląd artystów młodszego pokolenia.

Jest tu choćby jazzujący skład Ezra Collective czy znakomite Black Country, New Road, w którym świeże przejęcie sterów przez kobiety zadziałało naprawdę znakomicie, a piosenka „Strangers" tylko to potwierdza.

Lider niezwykle obiecującego rockowego zespołu Geese, Cameron Winter, wyrywa słuchacza z tych, skądinąd ujmujących, melodii nagłym złowieszczym uderzeniem smyczków i recytacją w utworze „Warning". Na chwilę zatrzymuje czas i całkowicie koncentruje uwagę słuchacza, przypominając, jaki jest cel albumu i w jak dramatycznej sytuacji znalazł się świat.

Spotkanie tak wielu muzyków w jednym miejscu musiało zaowocować spontaniczną współpracą. Jej fenomenalnym efektem jest utwór „Flags" – w którym Albarnowi towarzyszą Kae Tempest i Grian Chatten z Fontaines D.C.

Na płycie poświęconej dzieciom nie mogło też zabraknąć głównych bohaterów – właśnie dzieci. Muzykom przez cały czas towarzyszyła młoda ekipa filmowa, która przeprowadzała wywiady, dokumentowała przebieg sesji, a przy okazji wzmocniła też chórki – fragmenty ich pracy War Child UK udostępnił na swoim kanale YouTube.

Choć muzyczny krajobraz rysujący się na najnowszym krążku War Child jest bez wątpienia fascynujący, trudno nie myśleć z niepokojem o świecie, w którym będzie powstawać kolejna płyta z tej serii. Złudzeń o pokoju, którymi mogliśmy się jeszcze karmić trzy dekady temu, dziś już właściwie nie ma. Pozostaje jedynie radość z muzyki. ■

FOT. MAT. PRAS.

eprasa.pl d19016ffac

Marta Madejska, „Ostatni gasi światło. Przypowieści o transformacji", Wydawnictwo Czarne, Wołowiec 2025

Krzysztof Wołodźko

Jednym obfitość, drugim strach

„Ostatni gasi światło. Przypowieści o transformacji" Marty Madejskiej traktuję jako kontynuację „Alei Włókniarek". Tym bardziej że na kartach nowej książki reportażystki znajdziemy podobne wątki. Dedykowana „dzieciakom z przełomów" lektura prezentuje historię coraz lepiej znaną, ale wciąż zaognioną od pulsujących bólem ran. Bo choć dla wielu to po prostu dość modna literatura faktu, dla wielu z nas – sny, marzenia i koszmary, które utkwiły między włóknami pamięci.

eprasa.pl d19016ffac

Rewolucję przemysłową omawialiśmy w szkole na przykładzie Manchesteru i nie rozmawialiśmy nigdy o likwidacji polskiego przemysłu" – to jedno z bardziej demaskatorskich, choć lakonicznych, zdań we współczesnym polskim reportażu. Pochodzi z „Alei Włókniarek" (2019 rok) Marty Madejskiej. Dekadę ode mnie młodszej autorce nie mówiono w szkole o tym, co widziałem na początku lat 90. na rodzinnej popegeerowskiej wsi ani – chwilę później – na poznańskiej Górnej Wildzie, nieopodal pogrążonych w kryzysie Zakładów Przemysłu Metalowego H. Cegielski w Poznaniu. Pokolenie X również musiało błyskawicznie szukać strategii adaptacji, bo ścieżki zawodów, sposoby zarobków zmieniały się nagle, przekształcały, znikały niemal na dobre, odtwarzały, tworząc nowe bilansy osobistych, rodzinnych, społecznych zysków i start. To, co dla staro-nowych elit często było wówczas ekscytującym wyzwaniem, szansą na liczne przywileje i bonifikaty, dla klas ludowych i prowincjonalnej inteligencji przybrało postać wyboistej drogi w niepewne jutro. Z czasem niepewność stała się nową formą egzystencji, źródłem frustracji i lęków, chorób i złości.

Listy do „Przyjaciółki"

Źródłem społecznego osamotnienia tych, o których krzywdach nie rozmawiano nie tylko w polskiej szkole, było zmarginalizowanie i stygmatyzacja w ramach debaty publicznej, instrumentalne zamilczanie i poddanie bezwzględnemu osądowi silniejszych od siebie. W tym sensie pisanie o ofiarach transformacji jest archeologią – nierzadko empatyczną, zaangażowaną, autobiograficzną – lecz zawsze już archeologią. Tym bardziej że wszystkie znaki na niebie i ziemi wskazują, iż pobalcerowiczowskie elity niewiele z tamtej lekcji zrozumiały. Albo inaczej: na naszych oczach na nowo umocniły się w przekonaniu, że żywioły społeczne da się rozgrywać wedle woli, grając niedotrzymywanymi obietnicami i kolejnymi wersjami pogardy i pogróżek.

Mainstreamowa opowieść o transformacji długo starała się narzucić pogląd, że ofiarami przeobrażeń byli ludzie nieudolni i nieproduktywni. Marta Madejska od pierwszych kart swojej nowej książki, czyli „Ostatni gasi światło", pokazuje, że to nieprawda. Cytuje – traktowane w popkulturze dość niefrasobliwie – listy czytelniczek kultowej „Przyjaciółki". Strach o przyszłość wielodzietnych matek, strach o pracę jedynych żywicieli rodzin, strach starych kobiet przed narastającymi podwyżkami; groźba bezrobocia czy wręcz związana z nim trwoga jako bicz na społeczeństwo; wrogość przepoczwarzających się instytucji, żądza zysku nowych panów sytuacji – gwałtownie zmieniające się czasy odciskały swoje piętno na życiowych poradach w kolorowym magazynie dla pań. Pamiętam również dobrze, jak z rodzinnego domu w tamtych latach zaczęła znikać i „Przyjaciółka", i „Przekrój" – nie tylko dlatego, że w okolicy gwałtownie ubywało wiejskich i małomiasteczkowych świetlic, bibliotek, czytelni, przystanków kolejowych z ogrzewanymi poczekalniami i podczepionymi pod nie ajencyjnymi sklepikami z mydłem i powidłem. Moja matka o zacnym krakowskim tytule mówiła z coraz większą niechęcią. Ojciec – przyznam szczerze – wolał wówczas „NIE". A dziadek przed transformacją zasłaniał się płachtą „Trybuny Ludu", co nie przeszkadzało mu co tydzień gorliwie wyklękiwać pierwszych ławek w kościele. Sukces postkomuny w 1993 roku był potężnym policzkiem dla jej przeciwników, dyskusyjnym dowodem na niedojrzałość społeczeństwa. Oglądany z dołu, buzował rozczarowaniem, szyderstwem i złością. Tym bardziej zapiekłe były to uczucia, im chętniej piewcy „gwałtownych, lecz nieodzownych przemian" podawali nam w mediach do wierzenia każde słowo Leszka Balcerowicza.

„Byłam zdolna do pracy"

Reportaż Madejskiej pozwala lepiej zrozumieć również nasze współczesne lęki, obawy przed tym, że społeczeństwo, wiecznie na dorobku, poddane będzie kolejnym dziejowym wstrząsom. Jedną z bohaterek „Przypowieści o transformacji" jest Grażyna Kołtonik, która w czasach przemian pracowała w łódzkich Zakładach Przemysłu Dziewiarskiego, znanych lepiej jako „Bistona". To jedno z tych PRL-owskich, nowoczesnych jak na swoje czasy, przedsiębiorstw, które później poszły na zmarnowanie. Internetowa strona FabrykiPRL.pl podaje, że „restrukturyzacja" skończyła się zarzutami prokuratorskimi dla kilku pracowników Ministerstwa Przemysłu i Handlu oraz likwidatora „Bistony": „Proces trwał aż do 2010 roku, zakończył się orzeczeniem winy w kilku przypadkach. Ponieważ jednak doszło do przedawnienia, nikt faktycznie nie odpowiedział za nieprawidłowości przy prywatyzacji". Pani Kołtonik przepracowała w „Bistonie" kilkanaście lat, a gdy całą załogę zwolniono na początku przemian, trafiła na kuroniówkę: „Kiedy zlikwidowali zakład, miałam czterdzieści dwa lata. Jednego dnia tysiąc osób poszło na bruk, a zwalniali nas przez trzy dni. Nie poszliśmy do urzędu pracy, to oni przyjechali do nas i spisywali ludzi od razu. Dopiero później chodziłam do urzędu na Piotrkowskiej. To było straszne.

FOT. MAT. PRAS.

eprasa.pl d19016ffac

Kolejka do niego była taka długa, że zakręcała wokół budynku. Po pieniądze staliśmy po dwie, trzy godziny. Mnie najbardziej bolało to, że musiałam być na zasiłku, chociaż byłam zdolna do pracy, byłam zdrowa, dzieci miałam odchowane".

Leniwi i roszczeniowi? Społeczna, ludowa pamięć o najbardziej ponurym okresie transformacji różni się od tego, co narzucały przez dekady najbardziej opiniotwórcze środowiska III RP: dworscy socjologowie, tygodniki opinii na pasku nowobogackich elit, neoliberalne serwisy informacyjne wpływowych telewizji. Stabilne zatrudnienie, godziwa i pewna płaca, elementarne prawa pracownicze, wolność zrzeszania się w związkach – to wszystko, co wydawało się przecież aksjomatem czasów pierwszej Solidarności i często powtarzaną przez Jana Pawła II lekcją katolickiej nauki społecznej, w nowych realiach zostało radykalnie podważone. Była pracownica „Bistony", wykwalifikowana robotnica, szukała dorywczej pracy, gdzie się da: jako pomoc domowa, sprzątaczka, sprzedawczyni na czarno, szwaczka, pracownica hurtowni, pomoc do wszystkiego w ośrodku wczasowym na umowę zlecenie, roznosicielka ulotek. Pociechy szukała w modlitwie. Nie chciała chodzić do opieki społecznej, bo ją to upokarzało, ale byle jaką emeryturę przyjęła jak zbawienie – jak wiele osób, które próbowały związać koniec z końcem w czasach strukturalnego, dwucyfrowego bezrobocia. Nikt im nigdy nie klaskał, choć dźwigali na swoich plecach polskie rodziny w parszywych nieraz warunkach, gdy wysoko nad ich głowami bujnie rozkwitało już życie klasy szampańskiej, nieustannie pouczającej prostaczków, jak bardzo są kiepscy i nieprzystosowani do nowego, wspaniałego świata.

Jeśli szukać gdzieś praźródeł stopniowo narastającej z dekady na dekadę niechęci do liberalnej demokracji, to sądzę, że bierze się ona również z rozziewu między jej obietnicami a krzywdami, jakie w jej imieniu zadano i usprawiedliwiano. Zbyt często lamenty przeciw populizmowi klasy ludowej wynikają z arogancji i ignorancji tych, którzy mieli dla niej wyłącznie kuksańce i połajanki. Są ustroje, w których da się stłamsić opór społeczny nagą siłą lub mniej lub bardziej wyrafinowanymi manipulacjami, ale tam, gdzie wciąż możliwe są cykliczne, demokratyczne decyzje przy urnach, transformacyjne zaszłości odbijają się na werdykcie wyborczym nawet po dekadach.

▶ Trudne doświadczenie

W „Balladzie o transformacji", recenzji książki „Dziki wschód" Michała Przeperskiego („Nowe Państwo", numer 215 (07–08/2024)) wspominałem, że cechą charakterystyczną naszych medialnych opowieści o „najntisach" jest radykalizm i skrajność ocen. W oczach tego czy innego gremium współtworzącego opinię publiczną właściwie każdy może być w tej sprawie sędzią, ofiarą lub oskarżonym. Rzecz dotyczy nie tylko publicystycznych debat. Rodzinne dyskusje o latach 90. bywają jeszcze bardziej zażarte, pełne osobistych przytyków, wstydliwych i gniewnych wspomnień o sprawach i miejscach dawno nieistniejących. I dawno nieżyjących ludziach. To zjawisko towarzyszy nam od początku przemian: ambiwalencja emocji, przeżyć, doświadczeń i postaw stopniowo krystalizująca się w sprzeczności, pozwalała łatwiej poradzić sobie ze złożonością materii, a z czasem oswoić coraz odleglejszą przeszłość, czyniąc z niej niekiedy „najntisową", popkulturową nostalgię, która coraz lepiej się monetyzuje. Transformacyjny manicheizm, który podzielił zarówno lud, jak i demiurgów ustrojowych przepoczwarzeń, towarzyszył nam jednak od początku. Autorka „Ostatni gasi światło" mówi coś podobnego: „Kwerenda w ocalałych archiwach z lat dziewięćdziesiątych jest doświadczeniem trudnym. Zwłaszcza kiedy próbuję skleić z nich jakiś szerszy obraz tamtego czasu – odpowiedzieć na pytanie, dlaczego niektórzy ludzie czuli, że naprawdę wszystko jest możliwe, inni zaś, że nic już nigdy dla nich możliwe nie będzie". Jako interesujące świadectwo tych dwóch procesów, pulsującej nadziejami i lękami niejednoznaczności opinii i postaw przedstawia Polską Kronikę Filmową (PKF): „Zmieniającą się codzienność utrwalała w ramach raczej powolnej, zdystansowanej, a czasem nawet sarkastycznej narracji. Czuć w niej charakterystyczną dla wielu reporterów tamtego czasu ambiwalencję – inteligencka przemądrzałość i oczarowanie nowymi możliwościami łączą się z niepokojem o społeczne konsekwencje zmian […]".

Jak to się stało, że niejednoznaczność transformacyjnych ocen i postaw tak szybko wykrystalizowała się w radykalne, sprzeczne osądy? Oficjalny optymizm balcerowiczowskich elit od początków był podszyty symboliczną przemocą. Szybko przekroczono punkt krytyczny, jeśli chodzi o to, co było do zaakceptowania przez pozostawionych samym sobie ludzi. W styczniu 1992 roku PKF potrafiła celnie opisać wspólnotę parszywych losów, zanim wyśpiewał je rap: „Raczkujący kapitalizm dał się większości poznać od tej gorszej strony. I tak oto w kilka tygodni po powołaniu nowego rządu żelazna logika natrafiła na barierę ludzkiej wytrzymałości. Podwyżki cen energii wywołały sprzeciw". Ale w tym

eprasa.pl d19016ffac

samym czasie, jako dość mocno rozpolitykowany ośmioklasista i miłośnik amerykańskiego thrash metalu, traktowałem ustrojową zmianę jako najlepszy prezent dla nastolatka. Nie chodziło jedynie o konsumpcję: niesamowicie było porównywać stopniowo wówczas przeredagowywane podręczniki do historii z książkami sprzed kilku dekad, które uchowały się w najciemniejszych zakamarkach zarządzanej przez moją matkę polonistkę szkolnej biblioteki.

Blichtr Zachodu na sowieckim telewizorze

Jeszcze więcej powodów do radości mieli ludzie, którzy czerpali z przemian niewyobrażalne jeszcze niedawno korzyści, choć dla wielu z nich prawda o przeszłości nie zawsze była najważniejsza. Polska Kronika Filmowa towarzyszyła im w trakcie otwarcia polskiej redakcji amerykańskiego „Playboya", pierwszego nad Wisłą McDonalda, rozpoczęcia produkcji „mydełka Fa" w wykupionej przez niemieckiego Henkela Pollenie, gali Człowieka Roku tygodnika „Wprost", na której brylowały staro-nowe elity. Formy i treści łączyły się w najdziwniejszych konfiguracjach: w kwietniu 1992 roku TVP pokazała na żywo „The Freddie Mercury Tribute Concert", zorganizowany ku czci zmarłego nieco wcześniej lidera Queen. Metallika zagrała tam kilka utworów ze swego najbardziej komercyjnego „Czarnego Albumu" – a ja oglądałem to na kolorowym, sowieckim Rubinie C-714p, który towarzyszył nam na przełomie lat 80. i 90., zanim rodzice zastąpili go polskim elemisem. Dodajmy dla porządku, że od stycznia 2003 roku Warszawskie Zakłady Telewizyjne „Elemis" SA znajdowały się w likwidacji, a w marcu 2007 roku spółka została wykreślona z rejestru przedsiębiorców. Nieustanna gra w zyski i straty, blichtr i mizerię. I nieustanna niepewność, czy ostatecznie to siedem krów tłustych pożre siedem krów chudych, czy może będzie odwrotnie.

Marta Madejska pokazuje, że choć lata 90. mamy dawno za sobą, to kolejne roczniki praktycznie tracą na patologiach tamtych czasów: tak jest choćby w przypadku systemowych dziur w świadczeniach emerytalno-rentowych związanych z brakującą dokumentacją pracowniczą sprzed dekad. Transformacja i prywatyzacja nie tylko zabrała wówczas ludziom pracę – pozbawiała ich także świadectw pracy. W tym przypadku straty umiejętnie sprywatyzowano: to osoby przechodzące na emeryturę muszą udowodnić, że przed 1999 rokiem były ubezpieczone i wykazać, ile zarabiały. Problem w tym, że w czasach transformacji płonęły nie tylko esbeckie akta – wiele zakładów pracy zmarniało wraz z archiwami. Rozmyła się gdzieś w toku wielkich dziejowych przemian odpowiedzialność za zapleśniałe stosy papierów. W 2017 roku NIK przyznała, że to systemowy błąd państwa, ale w praktyce często to zwykli ludzie słyszą, że sami sobie są winni. A przecież – szczególnie w tamtych latach – archiwa przewożono, gubiono, zostawiano w opuszczonych pomieszczeniach, a ludzie jeździli za pracą tu i tam, coraz dalej i dalej.

> Dużym walorem reportażu Madejskiej jest to, że zgrabnie łączy wątki systemowe, dotyczące ustrojowych przeobrażeń, z indywidualnymi losami ludzi, którzy na dobre i złe wpadli w koleiny historii.

Dużym walorem reportażu Madejskiej jest to, że zgrabnie łączy wątki systemowe, dotyczące ustrojowych przeobrażeń, z indywidualnymi losami ludzi, którzy na dobre i złe wpadli w koleiny historii. Tytuł jej książki mógłby właściwie brzmieć „Ostatnia gasi światło", bo często transformacyjne problemy pokazane są na przykładzie Polek. Na kartach książki często wracają łódzkie wątki, z reguły dotyczące przemysłu tekstylnego: „Przypowieści o transformacji" wydają się w tym kontekście epilogiem wspomnianej „Alei Włókniarek". Czy epilog jest jednak możliwy? Czy rzeczywiście ostatni zgasi światło? Mam nadzieję, że nie. Moje roczniki pamiętają nie tylko o transformacji, szukamy także odpowiedzi dotyczących losów naszych dziadków i pradziadków. Nie da się zatem wykluczyć, że następne pokolenia, jeśli los okaże się dość łaskawy, również zechcą z dystansu przyjrzeć się wciąż żywym dla nas „najntisom". I po swojemu odczytać ten frapujący czas, który dla jednych stał się czasem obfitości, dla innych – epoką krzywdy i strachu. ■

eprasa.pl d19016ffac

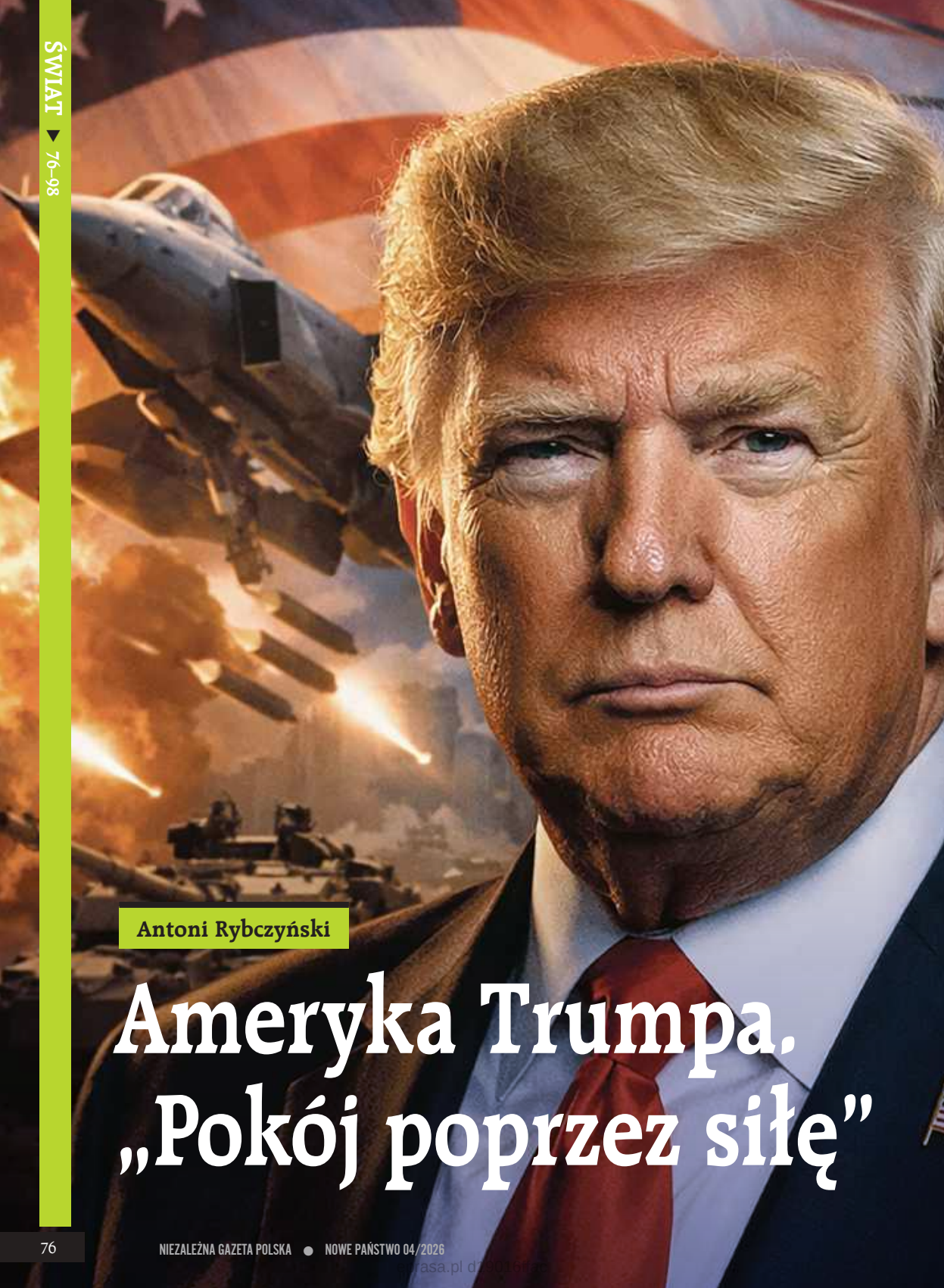

Antoni Rybczyński

Ameryka Trumpa. „Pokój poprzez siłę”

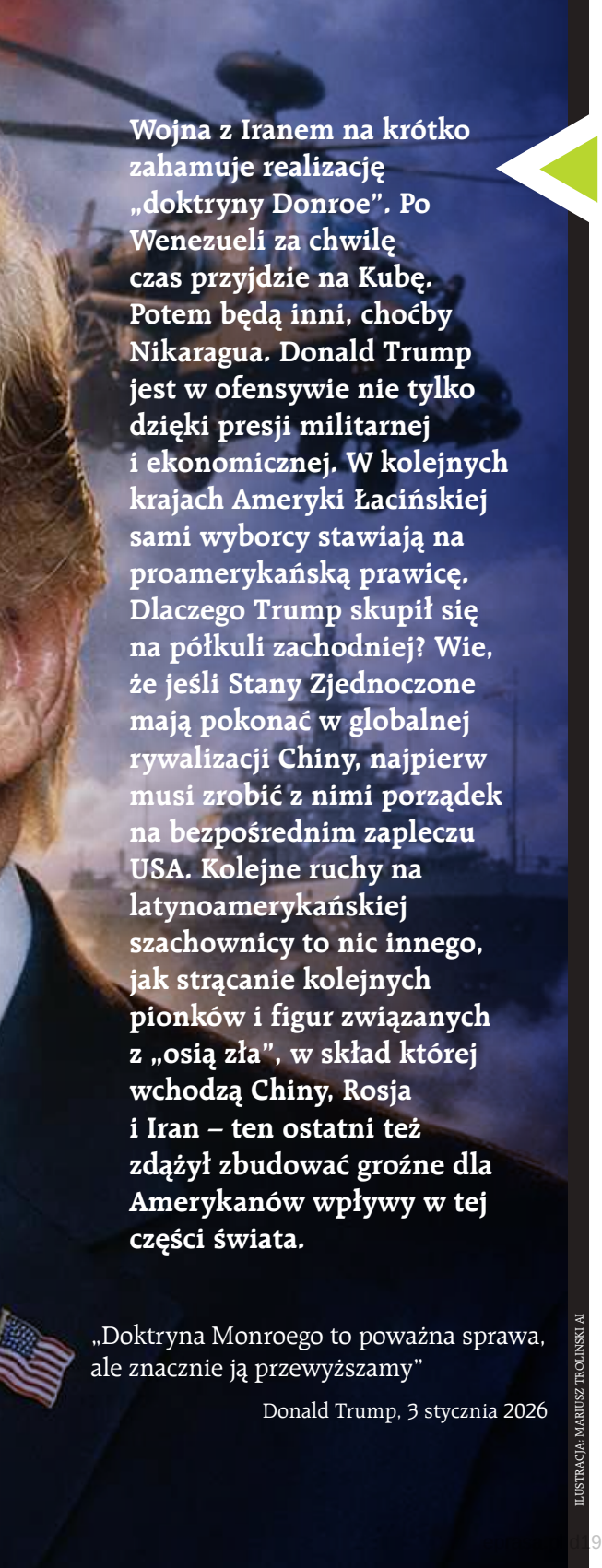

Wojna z Iranem na krótko zahamuje realizację „doktryny Donroe". Po Wenezueli za chwilę czas przyjdzie na Kubę. Potem będą inni, choćby Nikaragua. Donald Trump jest w ofensywie nie tylko dzięki presji militarnej i ekonomicznej. W kolejnych krajach Ameryki Łacińskiej sami wyborcy stawiają na proamerykańską prawicę. Dlaczego Trump skupił się na półkuli zachodniej? Wie, że jeśli Stany Zjednoczone mają pokonać w globalnej rywalizacji Chiny, najpierw musi zrobić z nimi porządek na bezpośrednim zapleczu USA. Kolejne ruchy na latynoamerykańskiej szachownicy to nic innego, jak strącanie kolejnych pionków i figur związanych z „osią zła", w skład której wchodzą Chiny, Rosja i Iran – ten ostatni też zdążył zbudować groźne dla Amerykanów wpływy w tej części świata.

„Doktryna Monroego to poważna sprawa, ale znacznie ją przewyższamy"

Donald Trump, 3 stycznia 2026

ILUSTRACJA: MARIUSZ TROLINSKI AI

Niezwykła operacja wojskowa w Wenezueli wywołała falę szoku na całym świecie i pokazała, że dla prezydenta USA Donalda Trumpa żaden kraj Ameryki Łacińskiej nie jest poza zasięgiem. Po schwytaniu Nicolasa Maduro Stany Zjednoczone nadal utrzymują znaczną obecność wojskową na Karaibach (mimo tymczasowego wysłania części tych sił na Bliski Wschód), co jest jednym z wielu sygnałów wskazujących, że obecna administracja nie zamierza wycofać się z regionu. USA ponownie otworzyły również zamknięte bazy wojskowe w Puerto Rico, co jest jednym z najpoważniejszych sygnałów, że Trump ma długoterminowe plany w Ameryce Łacińskiej.

Interwencja w Wenezueli to dopiero początek szerszej kampanii mającej na celu wyeliminowanie zagranicznych wpływów w Ameryce Łacińskiej. Każdy rywal lub ten, kto stanowi potencjalne zagrożenie, przede wszystkim Chiny, powinien trzymać się z dala od tej części świata. Oznacza to wykorzystanie potęgi militarnej i gospodarczej USA do wywierania presji na kraje i przywódców, którzy wykraczają poza dozwolone granice, a w razie potrzeby – również do przejęcia ich zasobów. „Dominacja Ameryki na półkuli zachodniej nigdy więcej nie zostanie podważona" – powiedział Trump po schwytaniu Maduro. Biały Dom określił to nowe podejście i agresywną postawę na półkuli zachodniej jako „konsekwencję doktryny Monroego według Trumpa". Nowa Strategia Obrony Narodowej administracji Trumpa również kładzie na to duży nacisk. „Będziemy aktywnie i nieustraszenie bronić interesów Ameryki na całej półkuli zachodniej" – stwierdza dokument, a Pentagon dąży do przywrócenia dominacji wojskowej USA w regionie.

„Doktryna Monroego to poważna sprawa, ale znacznie ją przewyższamy" – oświadczył Trump w Mar-a-Lago, podczas gdy Maduro, z zawiązanymi oczami i w kajdankach, był już przewożony do więzienia. James Monroe, piąty prezydent USA, ogłosił swoją doktrynę w grudniu 1823 roku. Stwierdzono w niej, że półkula zachodnia staje się strefą interesów Ameryki, a mocarstwom europejskim nakazano, by nie ingerowały i nie zakładały tu nowych kolonii. Doktryna Donroe (połączenie imienia obecnego prezydenta USA z nazwiskiem prezydenta z XIX wieku) przenosi to dwustuletnie przesłanie Monroe'a na zupełnie inny poziom. Trump ogłosił sukces „doktryny Donroe" podczas swojego orędzia o stanie państwa wygłoszonego 24 lutego. Biały Dom „przywraca bezpieczeństwo i dominację Ameryki na półkuli zachodniej, działając na rzecz zabezpieczenia naszych interesów narodowych i obrony naszego kraju przed przemocą, narkotyka-

d9016ffac

mi, terroryzmem i ingerencją zagraniczną" – powiedział prezydent USA.

Upadek Kubazueli. Część 2

Najbliższym celem Stanów Zjednoczonych jest Kuba, od ponad sześciu dekad problem, z którym nie poradzili sobie kolejni prezydenci, ani groźbą (słynna inwazja w Zatoce Świń za czasów JFK), ani prośbą (ustępliwa dyplomacja Baracka Obamy). W efekcie tuż pod bokiem USA działa wrogi reżim, co gorsza pozwalający wykorzystywać swe terytorium największym wrogom Ameryki. Trump sprawił, że lada moment się to skończy. Czym zresztą niewątpliwie zapisze się w historii prezydentów Stanów Zjednoczonych. Pod koniec stycznia Trump podpisał dekret zezwalający na nakładanie ceł na import z krajów, które bezpośrednio lub pośrednio dostarczają ropę na Kubę. W Białym Domu oświadczono wówczas, że reżim kubański utrzymuje sojusze z wieloma wrogimi krajami i podmiotami o złych zamiarach, umieszczając na swoim terytorium ich siły wojskowe i wywiadowcze. Jako przykład strona amerykańska podała, że na Kubie znajduje się największy zagraniczny ośrodek wywiadu radioelektronicznego Rosji, zajmujący się „kradzieżą tajnych informacji", co stanowi zagrożenie dla bezpieczeństwa narodowego USA. Tajemnicą nie jest też, że z obiektów na Kubie korzystają Chiny, by inwigilować Stany Zjednoczone.

Zarówno Trump, jak i sekretarz stanu USA Marco Rubio wydają się mieć dyktaturę na celowniku i zaostrzają ograniczenia dotyczące podróży i przekazów pieniężnych do tego kraju, wprowadzając praktycznie kwarantannę na ropę oraz próbując przekonać Unię Europejską do odcięcia się od tego kraju. Przywódcy Kuby mogą wkrótce zostać zmuszeni do ustępstw wobec Waszyngtonu, co zakończy trwającą od 70 lat erę rewolucji. Jeśli obecne kierownictwo w Hawanie będzie otwarte na reformy, administracja Trumpa może być skłonna do współpracy z nim w celu ustalenia warunków akceptowalnych dla obu stron. Tak jak to się dzieje w Wenezueli po uprowadzeniu Maduro. Waszyngton mógłby też naciskać na bardziej znaczące zmiany, w tym głębszą liberalizację gospodarczą i odejście od Chin i Rosji. W tych warunkach kraj prawdopodobnie pozostałby pod rządami jednej partii, ale doszłoby do zmian na szczytach władzy.

USA nie stanęłyby na progu usunięcia wrogiego reżimu na Kubie, gdyby nie wcześniejsze zmiany w Wenezueli, głównym sponsorze castrowskiego reżimu (dostarczana za bezcen ropa, transfer twardej waluty za usługi kubańskich medyków, współpraca w obszarze bezpieczeństwa). Delcy Rodriguez, była wiceprezydent Wenezueli, pełniąca obecnie obowiązki głowy państwa, powoli, ale bez oporu realizuje kolejne żądania USA. Po usunięciu Maduro zaczęło się od faktycznego przejęcia przez Amerykanów kontroli nad lukratywnym sektorem naftowym Wenezueli, potem doszły kolejne etapy zwalniania więźniów politycznych. Teraz pozostaje kwestia przeprowadzenia wolnych wyborów i pełnego zerwania więzi gospodarczo-politycznych z Chinami i Rosją. Najbardziej znaczącym potwierdzeniem kursu na zaspokajanie żądań Waszyngtonu była dymisja ministra obrony Vladimira Padrino, jednego z filarów chavistowskiego reżimu, postaci kluczowej dla funkcjonowania powiązanej z władzami zorganizowanej przestępczości (w tym narkotykowej), człowieka nadzorującego współpracę wojskową z Pekinem i Moskwą.

Na celowniku Trumpa są też Kolumbia i Meksyk. Choć tam operacje militarne i blokada ekonomiczna są raczej wykluczone. Wystarczy coraz większy nacisk na nieprzychylnych USA przywódców – główną kartą w ręku Trumpa, jak w sprawie Wenezueli, jest walka z narcos. Pod koniec marca lewicowy prezydent Kolumbii Gustavo Petro został objęty odrębnymi dochodzeniami prowadzonymi przez dwa biura prokuratur federalnych na Manhattanie i Brooklynie. Petro próbował zbliżyć się do Chin, a spór z Trumpem uczynił kluczowym elementem swojej politycznej osobowości. Trump z kolei zasugerował, że może zaatakować Kolumbię, zarzucając Petro udział w handlu narkotykami. Ostatnio stosunki między tymi dwoma przywódcami uległy poprawie, jednak Petro opuści urząd w sierpniu i nie jest jasne, kto go zastąpi. W międzyczasie, zamiast atakować Kolumbię, Trump może próbować wpłynąć na wynik wyborów (tak jak uczynił to w Argentynie i Hondurasie w 2025 roku), aby zapewnić zwycięstwo kandydata antychińskiego i proamerykańskiego. Amerykańscy prokuratorzy i DEA badają zwłaszcza związki Petro z meksykańskim narkokartelem Sinaloa. Potęga narcos na terenie południowego sąsiada USA to poważny problem dla prezydent Meksyku Claudii Sheinbaum. Konsekwentnie odrzuca ona możliwość poważnej ingerencji agencji federalnych i wojska USA w walkę z kartelami na meksykańskim terytorium, ale de facto też idzie na kolejne ustępstwa wobec Trumpa. Jak na przykład nałożenie ceł na chiński import, ograniczenie dostaw ropy dla Kuby czy większe zaangażowanie Amerykanów w wojnę z narcos. Niedawny wybuch przemocy w Meksyku po zabiciu szefa kartelu z Jalisco tylko osłabił pozycję Sheinabum wobec sąsiada z północy.

eprasa.pl d19016ffac

Wyprzeć Chiny i Rosję

Wenezuela, Kuba, Kolumbia, Meksyk – różne kraje, a wszędzie Trump na liście żądań wobec lokalnych władz stawia na jednym z pierwszych miejsc ograniczenie współpracy z Chinami lub wręcz jej zerwanie. Ten sam cel przyświeca działaniom USA wobec innych krajów półkuli zachodniej. Chiny stały się największym partnerem handlowym Argentyny, Boliwii, Brazylii, Chile, Paragwaju, Peru, Urugwaju i Wenezueli – czyli większości kontynentu – głównie dzięki zakupom surowców. Chińskie przedsiębiorstwa państwowe mają ogromne udziały inwestycyjne we wszystkich tych miejscach, a Pekin jest największym inwestorem zagranicznym w Argentynie, Brazylii, Chile i Peru. W styczniu Departament Stanu opublikował „Strategiczny Plan Agencji na lata fiskalne 2026–2030", który w dużej mierze odzwierciedla listopadową Strategię Bezpieczeństwa Narodowego, ale jeszcze głębiej ujawnia zamiary administracji Trumpa dotyczące reorganizacji polityki zagranicznej USA. Nowy plan Departamentu Stanu wprost podkreśla nadrzędność „kluczowych punktów kontrolnych, takich jak Kanał Panamski". Firma CK Hutchison Holding z siedzibą w Hongkongu zarządza dwoma portami przy Kanale Panamskim od 1997 roku. Po tym, jak Pekin uchwalił w 2020 roku ustawę o bezpieczeństwie narodowym, która kryminalizuje wszelkie działania w Hongkongu uznane za zmowę z siłami zagranicznymi, Waszyngton zaczął się martwić o swobodę przepływu, ponieważ 40 proc. całego rocznego handlu USA z Azją przepływa przez ten kluczowy punkt. W razie kryzysu Komunistyczna Partia Chin mogłaby nakazać firmie z Hongkongu odmowę przepływu amerykańskim okrętom. Pierwsza zagraniczna podróż sekretarza stanu Marco Rubio odbyła się do Panamy, gdzie spotkał się z prezydentem José Raúlem Mulino, aby wyrazić stanowcze stanowisko Stanów Zjednoczonych, że kontrola Komunistycznej Partii Chin nad portami musi się skończyć. Panama ogłosiła później, że zakończy swój udział w chińskiej inicjatywie „Jeden pas i jedna droga". Hutchison ogłosił następnie, że sprzeda swoje udziały w dwóch portach kanałowych, wraz z dziesiątkami innych portów, za 23 mld dolarów grupie inwestycyjnej kierowanej przez BlackRock.

Poza Kanałem Panamskim czekają inne kwestie związane ze szkodliwą działalnością chińską w Ameryce Łacińskiej. W planie strategicznym Departamentu Stanu stwierdza się, że administracja Trumpa zastrzega sobie prawo do „zapobiegania chińskiej kontroli i jej cofania tam, gdzie już miała miejsce, i będziemy to robić niezależnie od tego, czy kontrola ta jest sprawowana bezpośrednio przez konkurujące mocarstwa, czy też poprzez rzekomo prywatne podmioty działające pod kontrolą tych państw". Chińska firma kontroluje duży port w Kingston na Jamajce, położony w pobliżu kluczowych karaibskich szlaków żeglugowych. W grudniu ubiegłego roku chiński okręt szpitalny zacumował tam, aby zapewnić pomoc medyczną po uderzeniu huraganu Melissa w Karaiby. Chińska strategia „połączenia cywilno-wojskowego" oznacza, że okręt szpitalny mógł również gromadzić dane wywiadowcze z pobliskiej amerykańskiej bazy szybkiego reagowania.

Na wysokim miejscu na czarnej liście Trumpa na pewno znajduje się Peru, obecnie najbardziej związany z ChRL gospodarczo kraj Ameryki Łacińskiej. Jego ostatni przywódca – Jose Jeri – został w lutym usunięty ze stanowiska z powodu tajnego spotkania, które odbył z chińskimi przedstawicielami biznesu. Był prezydentem zaledwie kilka miesięcy. W przypadku Peru głównym problemem jest głębokowodny, warty 3,5 mld dolarów, port Chancay – dla Chin brama do Ameryki Południowej. Chińska firma państwowa posiada 60 proc. udziałów w porcie, a władze amerykańskie utrzymują, że instalacje portowe są zaprojektowane nie tylko do eksportu peruwiańskiej miedzi, lecz także do pełnienia funkcji bazy dla chińskiej marynarki wojennej. Trump może zatem próbować zmusić Limę do wyrzucenia Chińczyków. W tym przypadku, podobnie jak w Kolumbii, Trump może zaangażować się w zbliżające się wybory w tym kraju, uzależniając dobre stosunki z Waszyngtonem od wyboru przez Peruwiańczyków przywódcy antychińskiego i proamerykańskiego.

Ameryka skręca w prawo

Trump chciałby w Peru co najmniej takiego partnera Stanów Zjednoczonych jak w sąsiednim, ogarniętym falą narkotykowej przestępczości, Ekwadorze. Dopiero co USA i lokalne władze przeprowadziły tam wspólne działania zbrojne przeciwko „narkoterrorystycznym" grupom przestępczym w tym niewielkim kraju Ameryki Łacińskiej. Jest to pierwsza od wielu lat operacja lądowa amerykańskiej armii w tym regionie, nie licząc błyskawicznej akcji w Caracas 3 stycznia. W Ekwadorze żołnierze różnych amerykańskich oddziałów specjalnych doradzali, kierowali planowaniem operacji, a także zapewniali wsparcie wywiadowcze i logistyczne ekwadorskim siłom zbrojnym w kampanii nalotów na obiekty związane z produkcją i handlem narkotykami. Nie-

eprasa.pl d19016ffac

oficjalnie Amerykanie brali bezpośredni udział w walkach. Mały Ekwador, ze względu na swoje położenie geograficzne między Kolumbią a Peru (największymi producentami kokainy na świecie) i stosunkowo długie wybrzeże Pacyfiku, od dawna stał się najważniejszym węzłem logistycznym światowego nielegalnego handlu narkotykami.

Krucjata antynarkotykowa stała się filarem ekspansji amerykańskiej na półkuli zachodniej – póki co najbardziej eksponowane było to właśnie w Ekwadorze, Meksyku i w Wenezueli. Nie jest przypadkiem, że Trump ogłosił 7 marca na Florydzie powołanie regionalnej koalicji mającej walczyć z kartelami. „W tym historycznym dniu gromadzimy się, by ogłosić nową koalicję wojskową, mającą wyplenić kryminalne kartele, które dręczą nasz region" – powiedział Trump podczas Szczytu Tarczy Ameryk na Florydzie. Poinformował, że nowy format współpracy będzie nazywał się Amerykańska Koalicja Antykartelowa. Jak powiedział prezydent, państwa będące stronami porozumienia zobowiązałyby się „do użycia śmiercionośnej siły militarnej w celu zniszczenia złowrogich karteli i sieci terrorystycznych". „Musimy użyć naszego wojska. Wy też musicie użyć wojska" – zwrócił się Trump do liderów państw Ameryki Łacińskiej obecnych na szczycie. W spotkaniu udział wzięli przywódcy 12 państw, m.in. Hondurasu, Argentyny i Boliwii. Nieobecni byli liderzy Meksyku, Brazylii i Kolumbii. Trump powiedział, że Meksyk jest „epicentrum przemocy karteli", i ocenił, że krajem tym „rządzą kartele". „Nie możemy na to pozwolić. To zbyt blisko nas. Zbyt blisko was" – kontynuował.

Wspomniany wcześniej Ekwador powinien być, zdaniem Trumpa, przykładem wspólnej walki z narcos. To akurat jeden z krajów półkuli zachodniej rządzony przez polityka proamerykańskiego. W 2023 roku w przyspieszonych wyborach wygrał Daniel Noboa. Stosunkowo młody biznesmen, który obiecał odbudowę gospodarki, a przede wszystkim wypowiedział wojnę potężnym gangom. Noboa okazał się na tyle skuteczny, że wiosną 2025 roku uzyskał reelekcję. Ale największym wstrząsem na kontynencie było to, co stało się w rządzonej od dwóch dekad przez prorosyjską lewicę Boliwii. Prezydentem został Rodrigo Paz Pereira. Podczas zaprzysiężenia zapowiedział powrót do bliskich relacji ze Stanami Zjednoczonymi. W sąsiednim Paragwaju od 2023 roku prezydentem też jest konserwatysta, Santiago Peña. Prawicowa fala dosięgła też Ameryki Środkowej. Symbolem jest notujący rekordowe poparcie prezydent Salwadoru Nayib Bukele. Sojusznik Trumpa i twórca ogromnego surowego więzienia, symbolu skuteczności jego wojny z przestępczością. Również w sąsiednim Hondurasie wygrał konserwatysta Nasry Asfura, popierany przez Trumpa. Południowy sąsiad, Nikaragua, jest trzymana w brutalnych okowach sojusznika Rosji Daniela Ortegi, ale po upadku Wenezueli i za chwilę Kuby, także ta lewicowa dyktatura jest skazana na upadek.

Największym sukcesem protrumpowskiej prawicy w Ameryce Łacińskiej było grudniowe zwycięstwo Jose Antonio Kasta w wyborach prezydenckich w Chile. To niewątpliwie najbardziej konserwatywny prezydent Chile od czasów odejścia Augusto Pinocheta w 1990 roku. Ma dziewięcioro dzieci, cały czas podkreśla swoją wiarę, jest przeciwny aborcji, wyśmiewa zmiany klimatyczne i opowiada się za wolnym rynkiem. Obiecał walkę z przestępczością, współpracę z Trumpem, cięcia rozbuchanych wydatków państwa – dziedzictwa wielu lat rządów lewicy. Efekt? Zdobył najwięcej głosów w historii wyborów prezydenckich w Chile. Z tymi hasłami dołączył do innych prawicowych polityków, którzy w ostatnim czasie objęli urząd prezydenta w Ameryce Łacińskiej. Falę tę niewątpliwie wzmacnia „efekt Trumpa". To nie przypadek, że przejmująca władzę w swych krajach prawica nawiązuje ścisłą współpracę z obecną administracją amerykańską. Jak w Argentynie. Zwycięstwo trumpisty Javiera Mileia w 2023 roku było zaskoczeniem w lewicowej od dekad Argentynie. Radykalne zmiany gospodarcze wcale nie osłabiły Mileia, przeciwnie, o czym świadczą wyniki jesiennych wyborów parlamentarnych.

Oczywiście pozostaje wciąż kilka znaczących demokratycznych krajów Ameryki Łacińskiej rządzonych przez lewicowców i/lub krytyków Trumpa. Brazylia, Kolumbia, Meksyk – to te najważniejsze. Ale i tam w najbliższych wyborach zwycięstwo prawicy jest coraz bardziej prawdopodobne. Prezydentura Uribe w Kolumbii to zapewne krótkotrwałe zjawisko na tle tradycyjnie rządzącej i współpracującej z USA prawicy. W Brazylii wrócił do władzy skompromitowany lewicowiec Lula da Silva, zdołał wsadzić do więzienia poprzednika, sojusznika Trumpa Jaira Bolsonaro, ale wyzwanie zamierza rzucić mu syn Bolsonaro. Administracja USA będzie wspierała prawicowych kandydatów w Kolumbii czy Brazylii, ale kluczowa w doktrynie Donroe wciąż pozostaje po prostu siła. Zapytany o długoterminowe cele amerykańskich sił zbrojnych na Karaibach i w Ameryce Łacińskiej urzędnik Pentagonu powiedział magazynowi „Foreign Policy", że „amerykańskie siły zbrojne na Karaibach są bezpośrednim zastosowaniem zasady »pokoju poprzez siłę«". ■

eprasa.pl d19016ffac

Hanna Shen

USA kontra oś Iran–Chiny: walka o dominację

W geopolityce rzadko chodzi o jeden kraj. Znacznie częściej rzecz dotyczy układu sił, powiązań i zależności, które tworzą niewidzialną architekturę globalnej rywalizacji. W tym sensie Iran nie jest jedynie problemem Bliskiego Wschodu. Jest elementem większej układanki, w której kluczową rolę odgrywają Chiny oraz Stany Zjednoczone. I właśnie dlatego Waszyngton zdecydował się uderzyć w Teheran – nie tylko po to, by powstrzymać jego ambicje nuklearne, lecz także po to, by rozbić strategiczne zaplecze Pekinu.

FOT. MARIUSZ TROLIŃSKI AI

eprasa.pl d19016ffac

W amerykańskim myśleniu strategicznym Iran od dawna nie jest traktowany jako izolowany przeciwnik. To państwo, które łączy ideologiczną wrogość wobec Zachodu z bardzo pragmatyczną współpracą z Chinami. Dla Pekinu Iran jest tym, czym dla USA są sojusznicy – punktem oparcia, źródłem surowców i bramą do wpływów w regionie.

Dlaczego USA uderzyły w Iran

Decyzja o uderzeniu w Iran wynikała z kilku nakładających się kalkulacji. Oficjalnie chodziło o program nuklearny i destabilizującą rolę Teheranu w regionie. W rzeczywistości jednak był to ruch znacznie szerszy – sygnał wysłany nie tylko do irańskich elit władzy, lecz także do Pekinu.

Jak zauważył Miles Yu, analityk amerykańskiego konserwatywnego think tanku Hudson Institute, Chiny „postawiły na Iran jako kluczowy filar swojej strategii na Bliskim Wschodzie – i był to zakład obarczony ogromnym ryzykiem". Yu nie jest przy tym przypadkowym komentatorem. To był doradca ds. Chin w Departamencie Stanu USA w czasie pierwszej administracji Trumpa, jeden z architektów twardszej linii Waszyngtonu wobec Pekinu. Jego analizy opierają się nie tylko na pracy akademickiej, lecz także na doświadczeniu bezpośredniego kształtowania polityki.

Yu wielokrotnie podkreślał, że strategia Chin polega na budowaniu „sieci zależności", a nie klasycznych sojuszy. W tym ujęciu Iran jest szczególnie cenny – jako państwo objęte sankcjami, gotowe do głębokiej współpracy z Pekinem w zamian za wsparcie gospodarcze i polityczne. Według Yu Pekin wykorzystuje takie kraje, by tworzyć alternatywny porządek gospodarczy, odporny na naciski Zachodu. To właśnie ta diagnoza tłumaczy działania USA. Jeśli bowiem Iran jest elementem większej układanki, to uderzenie w Teheran oznacza jednocześnie osłabienie chińskiej strategii globalnej.

Gospodarcza oś Chiny–Iran

Relacje między Chinami a Iranem nie opierały się na ideologii, lecz na zimnym rachunku zysków. Teheran dostarczał ropę, dawał dostęp do infrastruktury i umożliwiał Pekinowi budowę alternatywnych szlaków handlowych poza kontrolą Zachodu. W zamian otrzymywał wsparcie polityczne, inwestycje i częściową ochronę przed międzynarodową izolacją. To układ wygodny dla obu stron – ale niezwykle niebezpieczny dla równowagi globalnej. Ta współpraca miała jednak znacznie głębszy, systemowy charakter. Jej fundamentem była energia. Iran, objęty zachodnimi sankcjami, został w praktyce wypchnięty w stronę Chin jako głównego odbiorcy swojej ropy. Dla Pekinu oznaczało to dostęp do taniego i stabilnego źródła surowców, często kupowanych z pominięciem oficjalnych mechanizmów rynkowych. Dla Teheranu – ekonomiczne przetrwanie mimo izolacji. Powstał układ, w którym obie strony mogły omijać presję Zachodu, budując alternatywny obieg gospodarczy.

Jeszcze ważniejszy jest długoterminowy wymiar tej relacji. Podpisana w 2021 roku 25-letnia umowa strategiczna między Chinami a Iranem zakładała szeroko zakrojone inwestycje w irańską gospodarkę – od energetyki po infrastrukturę. W zamian Pekin miał uzyskać uprzywilejowany dostęp do surowców i projektów gospodarczych. To była próba trwałego związania Iranu z chińskim systemem ekonomicznym i uczynienia go częścią szerszej architektury wpływów.

Nowy Jedwabny Szlak i infrastruktura wpływów

Iran odgrywał istotną rolę w Nowym Jedwabnym Szlaku, chińskiej inicjatywie infrastrukturalnej, która ma połączyć Azję z Europą alternatywnymi szlakami handlowymi. Jego położenie czyni go naturalnym korytarzem transportowym. Chińskie inwestycje w porty, koleje i energetykę tworzą sieć wpływów, która ma znaczenie nie tylko gospodarcze, lecz potencjalnie także strategiczne. Jak wskazują analitycy amerykańskiego konserwatywnego think tanku American Enterprise Institute, tego typu infrastruktura może w przyszłości pełnić funkcje podwójnego zastosowania – cywilnego i logistyczno-wojskowego. To właśnie dlatego Iran jest dla Pekinu czymś więcej niż partnerem. Jest elementem długofalowego projektu przebudowy ładu międzynarodowego, opartego na stopniowym wypieraniu wpływów Zachodu.

Uderzenie w chińskie przyczółki

Z tej perspektywy polityka Donalda Trumpa nabiera pełnej spójności. Jego działania wobec Iranu, a także Wenezueli czy rosnącej obecności Chin w Kanale Panamskim, nie były przypadkowe. Były elementem jednej strategii: uderzania w kluczowe punkty globalnej ekspansji Pekinu.

Najbardziej spektakularnym przykładem była operacja zakończona usunięciem Nicolása Maduro z władzy. Po miesiącach presji – sankcji, blokady morskiej i działań militarnych – Stany Zjednoczone doprowadziły do jego schwytania i odsunięcia od władzy na początku 2026 roku. Waszyngton uzasadniał tę operację walką z narkobiznesem i zagrożeniem dla bezpieczeństwa USA, określając reżim Maduro jako „narcopaństwo". Jednak rzeczywisty wymiar tej operacji był znacznie szerszy. Jak podkreślają analitycy amerykańskiego think tanku Atlantic Council, usunięcie Maduro oznaczało likwidację jednego z najważniejszych przyczółków tzw. osi przeciwników – obejmującej Chiny, Rosję i Iran – na zachodniej półkuli. Wenezuela była dla Pekinu strategicznym aktywem: źródłem ropy, odbiorcą kredytów i politycznym partnerem w regionie tradycyjnie zdominowanym przez USA. Chińskie inwestycje, liczone w dziesiątkach miliardów dolarów, oraz mechanizm „ropa za dług" tworzyły trwałą zależność Caracas od Pekinu. Usunięcie Maduro podważyło ten układ. Me-

eprasa.pl d19016ffac

chanizm był prosty i brutalnie skuteczny: jeśli reżim powiązany z Chinami upada, Pekin traci nie tylko wpływy polityczne, lecz także bezpieczeństwo swoich inwestycji i dostęp do surowców. Nowe władze, bardziej zależne od USA, zmieniają kierunek współpracy gospodarczej. W praktyce oznacza to wypchnięcie Chin z regionu.

Równocześnie Stany Zjednoczone wysłały sygnał w sprawie Kanału Panamskiego. W wyniku nacisków Waszyngtonu chiński kapitał został wypchnięty z kluczowej infrastruktury. Jej centralnym elementem była działalność hongkońskiej firmy CK Hutchison Holdings, której spółka od lat zarządzała portami Balboa i Cristóbal po obu stronach kanału. Po narastającej presji politycznej, audytach i sporach prawnych Sąd Najwyższy Panamy unieważnił koncesję firmy jako niezgodną z konstytucją, a państwo przejęło kontrolę nad terminalami. W lutym 2026 roku Hutchison został faktycznie usunięty, a zarządzanie portami przekazano podmiotom powiązanym z Zachodem. To był bezpośredni cios w interesy Chin. Przez niemal trzy dekady firma powiązana z Pekinem kontrolowała dwa strategiczne wejścia do jednego z najważniejszych szlaków handlowych świata. Jej usunięcie oznaczało nie tylko stratę biznesową, lecz przede wszystkim utratę przyczółka wpływu w kluczowym punkcie globalnej gospodarki.

Iran, Wenezuela i Panama to nie odrębne przypadki, lecz trzy fronty tej samej rywalizacji. Fronty, na których decyduje się nie tylko przyszłość poszczególnych regionów, lecz także globalna równowaga sił między Stanami Zjednoczonymi a Chinami.

Rywalizacja USA–Chiny: perspektywa długoterminowa

Coraz więcej ośrodków analitycznych wskazuje, że świat wchodzi w fazę długotrwałej rywalizacji między USA a Chinami. Największy konserwatywny think tank w USA, Heritage Foundation, podkreśla, że mamy do czynienia nie z serią kryzysów, lecz z systemowym konfliktem o kształt porządku międzynarodowego. Podobnie analitycy Hudson Institute zwracają uwagę, że Pekin prowadzi strategię „cierpliwej ekspansji", opartą na gospodarce, technologii i infrastrukturze, unikając bezpośredniej konfrontacji militarnej. Z kolei Waszyngton coraz częściej odpowiada działaniami punktowymi – uderzając w kluczowe ogniwa tej sieci.

Jak zauważa Michael Pillsbury, amerykański strateg i ekspert ds. Chin oraz autor analiz dla środowisk konserwatywnych, Pekin od dekad realizuje plan budowy globalnej przewagi, wykorzystując otwartość Zachodu. Jego zdaniem dopiero w ostatnich latach USA zaczęły odpowiadać w sposób bardziej adekwatny do skali wyzwania. W tym kontekście Iran nie jest celem samym w sobie. Jest jednym z pól szerszej rywalizacji. Jego znaczenie może się zmieniać wraz z rozwojem wydarzeń, ale logika konfliktu pozostaje stała: chodzi o ograniczenie zdolności Chin do budowania globalnej sieci wpływów.

Znaczenie dla Polski I Europy

Dla Europy, a szczególnie dla Polski, rywalizacja między Stanami Zjednoczonymi a Chinami o globalne wpływy – czyli o to, kto będzie kształtował zasady świata w najbliższych dekadach – ma bardzo konkretne konsekwencje. Polska opiera swoje bezpieczeństwo na sojuszu z USA, dlatego każda demonstracja determinacji Waszyngtonu wzmacnia stabilność całego regionu. Równocześnie ograniczanie wpływów Chin zmniejsza ryzyko ich ekspansji w Europie Środkowej – nie tylko w wymiarze gospodarczym, lecz także wywiadowczym. Nie chodzi bowiem wyłącznie o inwestycje czy handel, lecz o budowanie trwałych zależności poprzez kontrolę infrastruktury, udział w strategicznych sektorach oraz obecność w obszarach wrażliwych, takich jak telekomunikacja czy energetyka. Tego typu zaangażowanie bywa powiązane z działaniami służącymi pozyskiwaniu informacji i wywieraniu wpływu na decyzje polityczne. Ograniczenie tych procesów oznacza więc nie tylko większą autonomię gospodarczą, lecz także realne wzmocnienie bezpieczeństwa państwa.

Istotny pozostaje także wymiar energetyczny. Iran jest ważnym graczem na rynku ropy, dlatego napięcia wokół niego bezpośrednio wpływają na ceny energii. Celem polityki Donalda Trumpa nie jest jednak trwała destabilizacja, lecz wymuszenie bardziej przewidywalnego układu sił w regionie, który ograniczy ryzyko szoków podażowych i politycznych. Z tej perspektywy presja na Iran ma prowadzić do większej stabilności w dłuższym okresie – nawet jeśli krótkoterminowo generuje napięcia. Dla europejskich gospodarek oznacza to konieczność dalszej dywersyfikacji źródeł dostaw, a także szansę na bardziej uporządkowane i bezpieczne otoczenie energetyczne w przyszłości.

W szerszym ujęciu napięcia wokół Iranu pokazują powrót świata, w którym siła i interes narodowy ponownie stają się kluczowe. Iluzja globalnej harmonii – którą przez lata próbowano narzucić opinii publicznej, także w ramach działań dezinformacyjnych prowadzonych przez Chiny i Rosję – ustępuje dziś miejsca rzeczywistości twardej rywalizacji mocarstw.

Stany Zjednoczone zdecydowały się na konfrontację z Iranem nie dlatego, że chciały wojny, lecz dlatego, że uznały ją za mniejsze zło niż utrata strategicznej inicjatywy. W świecie, w którym Chiny konsekwentnie budują swoją potęgę, a państwa takie jak Iran stają się ich narzędziami, brak działania byłby równoznaczny z przyzwoleniem na zmianę globalnego układu sił. Iran jest jednym z głównych pól tej gry. Ale stawką nie jest tylko jego przyszłość. Stawką jest to, czy Zachód – w tym Polska – będzie w stanie utrzymać swoją pozycję w świecie coraz bardziej konkurencyjnym i nieprzewidywalnym.

Rozbicie osi Teheran–Pekin nie jest epizodem. To element długofalowej strategii, w której gospodarka, energia i geopolityka splatają się w jedną całość. I to właśnie ta perspektywa pozwala zrozumieć, dlaczego Iran znalazł się w centrum globalnej gry mocarstw. ■

eprasa.pl d19016ffac

Stefan Czerniecki
czerniecki.net

Kobieta, która ocaliła papieża Wojtyłę

Nawet sami Włosi nie wiedzą do końca, gdzie leży Collevalenza. Nie mają też zwykle pojęcia, z jaką historią wiąże się to miejsce. W przypadku Eleny również tak było. Nadszedł jednak czas, że postanowiła sprawdzić. I dziś nie żałuje.

Wokół Sanktuarium w Collevalenza roztacza się bujny park ze stacjami Drogi Krzyżowej

FOT. 2

eprasa.pl 1901 6fac

Do źródełka, o którym Jezus mówił Matce Speranzie, często widać kolejki chętnych

Północne Włochy. Mała miejscowość Vigevano. W rzeczy samej przedmieścia Mediolanu. Do słynnego Duomo jest stąd zaledwie 30 kilometrów w linii prostej. I dwoje naszych bohaterów. On: Maurizio – szanowany miejscowy lekarz. Uznany w swoim środowisku. Człowiek o znakomitej renomie. Oraz ona: jego żona, Elena. Wierna, prowadząca dom, kochająca i oddana. Po ludzku patrząc, małżeństwu Fossa brakuje tylko jednego. Pragną potomka. Mauriziemu marzy się syn. Chciałby pojechać z nim kiedyś na mecz na słynne San Siro w Mediolanie. Pokazać Alpy. Zarazić pasją do medycyny.

Przychodzi dzień, gdy wydaje się, że marzenie będzie ziszczone. W czwartek 2 lipca 1998 roku na świat przychodzi chłopczyk. Będzie się nazywał Francesco Maria. Przychodzi na świat nie w Vigevano, ale w ulokowanej na północny-zachód od Mediolanu Monzie. To miejscowość, w której mieszka ginekolog prowadzący ciążę Eleny. Rodzina wita długo oczekiwanego synka z nieukrywaną radością. Maurizio jest naprawdę dumny. Niemowlę jest piękne. Pierwsze dni jego życia przynoszą rodzinie Fossa radość i spełnienie. Ta idylla jednak szybko się kończy.

Śmiertelna dieta

Zaraz po odstawieniu od piersi matki chłopiec zaczyna mieć problemy. Cokolwiek ma podawane do ust, wywołuje u niego płacz i mdłości. Gdy Francesco kończy trzeci miesiąc życia, trafia do szpitala z powodu czerwonki. Lekarze szybko diagnozują u chłopca poważne problemy z przyswajaniem mleka. Rodzice stają na głowie, aby znaleźć dla ukochanego dziecka takie mleko, które nie wywoła u niego dolegliwości. Na próżno. Po kilku miesiącach badań przychodzi kolejna diagnoza: dziecko nie może przyjmować jakiegokolwiek rodzaju pożywienia, gdyż jego organizm nie jest w stanie przyswoić żadnego rodzaju białka. Wiadomość jest dla Eleny i Maurizio niczym wstrząs. Dla lekarza, jakim jest Maurizio, ta wiadomość jest szczególnie trudna do zaakceptowania. Doskonale zdaje sobie sprawę z powagi sytuacji.

Zaczyna się kolejna walka. Rodzice szukają produktów, które zniwelują dolegliwości. Z czasem udaje im się rekompensować żywnościowe niedobory herbatą oraz pieczonymi ze specjalnej mąki domowymi ciasteczkami. Raz w tygodniu podają dziecku jagnięcinę. Ale to za mało, aby Francesco mógł się normalnie roz-

eprasa.pl d19016ffac

Grób Matki Speranzy znajduje się w dolnym kościele bazyliki

wijać. Nadal ma kolki. Nadal płacze. Z dnia na dzień staje się też coraz słabszy. W sytuacji, gdy rodzice dają mu cokolwiek niewpasowującego się w restrykcyjną dietę, chłopiec zapada w groźne śpiączki. Po kolejnej z nich lekarze z przykrością zawiadamiają Elenę i Maurizio, że ich ważący zaledwie 6,5 kg niespełna roczny synek ma bardzo niskie szanse na przeżycie.

Ból, pustka, rozpacz. Ludzka bezradność. Jednak rodzice Francesco nie chcą się poddawać. Mając jednocześnie świadomość, że z medycznego punktu widzenia zrobili już praktycznie wszystko. Wykorzystali wszelkie możliwe sposobności ocalenia dziecka. Repertuar możliwych rozwiązań, które miałyby pomóc ich synkowi, właśnie się kończy. Jako lekarz Maurizio ma świadomość, że każda kolejna próba podania synkowi nieodpowiedniego pokarmu może skończyć się kolejną śpiączką. Doskonale także zdaje sobie sprawę z tego, że z kolejnej takiej śpiączki ich kochane dziecko może się już nie obudzić. Ryzyko jest poważne. Śmiertelnie poważne.

Wujek na rekolekcjach

Pewnego dnia krzątająca się przy kuchni Elena słyszy w telewizji, jak ktoś opowiada historię Sanktuarium Miłosiernej Miłości Matki Speranzy w Collevalenza. Póki co materiał nie przykuwa jej uwagi. Aż do momentu, w którym kobieta słyszy zdanie, że „woda z tego sanktuarium leczy choroby, których ludzka nauka nie jest w stanie wyleczyć". Elena odkłada rzeczy, którymi zajmowała się do tej pory, i pogłaśnia telewizor. Niestety, reportaż z Collevalenzy właśnie się kończy.

Kobieta szybko dzwoni do męża, aby powiedzieć mu o usłyszanej nowinie. Maurizio radzi, aby zadzwonić wpierw do matki, gdyż jej wujek jest księdzem. – Dzwoń do Don Giuseppe. Może on będzie wiedział coś więcej o tym miejscu? – zastanawia się głośno przez słuchawkę.

Póki co bowiem oboje nie mają nawet pojęcia, gdzie leży to sanktuarium. Po kilku telefonach okazuje się, że wujek, ksiądz Giuseppe, przebywa aktualnie na rekolekcjach. W Collevalenza.

Duchowny obiecuje, że przywiezie chłopcu butelkę wody z cudownego źródełka, jak tylko wróci do domu. Jest 28 czerwca 1999 roku. Posługujące w sanktuarium siostry zakonne ze Zgromadzenia Służebnic Miłości Miłosiernej przekazują księdzu buteleczkę z wodą i proszą, aby modlił się Nowenną do Miłości Miłosiernej, którą napisała ich założycielka, Matka Speranza.

eprasa.pl d19016ffac

Niezwykły jest wystrój wnętrza sanktuarium. Wiele tu symboliki i architektonicznych smaczków

Siostra świętego z Pietrelciny

Tak naprawdę nazywała się Maria Józefa Alhama Valera. Pochodziła z hiszpańskiej Murcji. Od dzieciństwa nie miała w życiu łatwo. Jako najstarsza z dziewięciorga dzieci była pierwszą pomocą dla swojej matki, gdy ojciec imał się najróżniejszych zawodów, aby utrzymać rodzinę. Rodzinę śpiącą zresztą w baraku, który po tragicznej powodzi – zabierającej życie jednemu z dzieci – przestaje istnieć.

Świat usłyszy o niej jako o Matce Nadziei. Gdy jako dziewczynka otrzyma wizję św. Teresy z Avila, usłyszy od niej, że „ma zacząć od miejsca, w którym ona skończyła". I tak też uczyni. W czasie wielkiej wojny w Hiszpanii Maria Josefa poświęci się opiece nad chorymi, dziećmi oraz potrzebującymi. Jako 29-latka zachoruje na torbiel jajnika. Przepuklina uniemożliwi siostrze jedzenie, powodując bóle i wymioty. I gdy bezradni lekarze będą spodziewać się już najgorszego, po przyjęciu Komunii Świętej wszystkie dolegliwości ustąpią.

Po tym doświadczeniu Maria Józefa zakłada wspomniane już Zgromadzenie Służebnic Miłości Miłosiernej, które przyczyni się z czasem do powstania w środkowej Umbrii sanktuarium Miłości Miłosiernej w Collevalenza. W którym to sam Pan Jezus poleci siostrze kopać studnię. Na wyschniętym terenie, w którym o wodzie nikt nigdy do tej pory nawet nie śnił. Woda jednak się znajdzie. Dziś według licznych świadectw ma moc uzdrawiania, będąc znakiem Bożej łaski oraz Jego miłosierdzia.

Matka Speranza ma także dar bilokacji. W ten sposób spotyka się choćby ze św. Ojcem Pio. Będą się spotykać, pozostając oboje w swoich miejscach zamieszkania. Siostra Maria wyraźnie opisuje w swoich wspomnieniach, jak podczas spotkania święty z San Giovanni Rotondo serdecznie się do niej uśmiechał. Wspomina także jego twarz i rękawice, pod którymi zakonnik krył stygmaty. Poza wiernością i oddaniem Bogu ze świętym ojcem Pio Matkę Speranzę łączy jednak także coś jeszcze. Podobnie jak świętego stygmatyka, tak też i jego duchową siostrę wielokrotnie nawiedza diabeł, nękając i bijąc. Nienawidzi świętych.

Biskup Wojtyła

Jest 25 października 1964 roku, gdy w święto Chrystusa Króla arcybiskup Krakowa Karol Wojtyła niespo-

eprasa.pl d19016ffac

Postać Matki Speranzy spogląda na nas z kilku miejsc sanktuarium

dziewanie wyjeżdża z Rzymu. Kilka dni temu miał, na prośbę swego przyjaciela kardynała Stefana Wyszyńskiego, odwiedzić Monte Cassino. Burza zmieniła jednak plany metropolity. Teraz więc, gdy prymas Polski poprosił go o odwiedzenie w jego imieniu sanktuarium w Collevalenza, biskup Wojtyła nie może już odmówić.

Wyszyński miał do Collevalenza pojechać na zaproszenie posługującego tam ojca Alfreda di Pentę, przełożonego Zgromadzenia Synów Miłości Miłosiernej. Niestety, choroba i osłabienie organizmu okazały się być zbyt dotkliwe. Dlatego właśnie prymas prosi swego przyjaciela, Karola Wojtyłę, aby ten godnie go zastąpił.

Wojtyła zostawia więc doraźne obowiązki – właśnie sporządzał projekt dokumentu o Kościele w świecie współczesnym – i opuszczając Wieczne Miasto, jedzie 120 kilometrów na północ, pomiędzy łagodne pogórza Umbrii, gdzie skrywa się mało komu znana miejscowość Collevalenza.

Owszem, we włoskich kręgach kościelnych mówi się już od pewnego czasu o działalności pewnej niezwykłej siostry. Nazywanej matką Speranzą, która już wtedy – a pamiętajmy, że są to czasy, w których Kościół jeszcze nie głosi kultu Bożego Miłosierdzia, św. Siostra Faustyna nie jest jeszcze nawet beatyfikowana – mówi ludziom o Bogu Ojcu, który „nie rozpamiętuje, wybacza i zapomina". Pokazuje obraz Boga jako Ojca, który nie jest surowym sędzią, ale „świętym, mądrym i pięknym Ojcem". Który czeka na syna marnotrawnego, aby go przytulić.

Wszystkie te poglądy i wygłaszane orędzia sprawiają, że matka Speranza przez kilka lat pozostaje pod obserwacją Świętego Oficjum, nie mogąc prowadzić jako przełożona założonego przez siebie Zgromadzenia Córek Miłości Miłosiernej.

Po przyjeździe na miejsce biskup Wojtyła długo modli się przy ustawionym przy sanktuarium krzyżu. Historia tego krzyża wiąże się z pewną wizją, jaką otrzymała swego czasu matka Speranza. Zobaczyła Chrystusa umierającego na krzyżu, który wznosi oczy ku niebu, szepcząc: „Panie, przebacz im, bo nie wiedzą, co czynią". Na piersi Zbawiciela zakonnica widzi czerwone serce z wygrawerowanym słowem „Charitas" („Miłosierdzie"), zaś u Jego stóp królewską koronę otoczoną napisem „El Amor Misericordioso" („Miłość miłosierna"). Wzniesiony w Collevalenza krzyż ma właśnie nawiązywać do tak doświadczonej przez matkę Speranzę Miłości Miłosiernej.

eprasa.pl d19016ffac

Karol Wojtyła spędzając czas w Collevalenza, znajduje także sposobność na szczerą i niekrótką rozmowę z matką Speranzą. To właśnie wówczas zakonnica poleca krakowskiemu biskupowi odnalezienie oryginałów „Dzienniczka Siostry Faustyny", gdyż w ówczesnych dostępnych tłumaczeniach pojawiało się wiele błędów i nieścisłości. Rok po tej rozmowie matka Speranza zanotuje w swoim dzienniczku: „Zostało mi powiedziane, że pewnego dnia Wikariusz Chrystusa odwiedzi to Jego Sanktuarium".

Matka ocalająca Wojtyłę

Minie 16 lat, jak to proroctwo wreszcie się wypełni. W osobie wizytującego to miejsce byłego już biskupa Krakowa. W niedzielę 22 listopada 1981 roku wraca w znane sobie miejsce. Już jako namiestnik Chrystusa, jako papież. Przybywa w czasie dla siebie wyjątkowym. Wszak nie dalej jak pół roku temu Jana Pawła II dosięgała kula Ali Agcy na placu św. Piotra. Ojciec Święty potrzebował czasu, aby dojść do siebie po operacji i długiej rehabilitacji. Jego dzisiejsza pielgrzymka do Collevalenza jest pierwszym wyjazdem Ojca Świętego poza Rzym.

Okazuje się jednak, że zanim doszło do zamachu na papieża, ktoś już w Collevalenza wiedział, że Janowi Pawłowi II grozi śmiertelne niebezpieczeństwo. I ten sam ktoś zrobił wszystko, co w jego mocy, aby papież z tej pułapki wyszedł cało.

Tym kimś okazała się być matka Speranza. Jak się już dziś podaje do publicznej wiadomości, na dzień przed zamachem siostra Maria otrzymuje wizję mówiącą o niebezpieczeństwie, jakie grozi Ojcu Świętemu. Gdy przyszła błogosławiona otrzymuje wizję zamachu na papieża Jana Pawła II, decyduje się ofiarować w intencji jego ocalenia swoje cierpienie i życie. I rzeczywiście…

Jest druga w nocy 13 maja 1981 roku. W ciszy klasztornej w Collevalenza matka Speranza dokonuje swoistego ofiarowania. Samej siebie. Zaczyna wymiotować tryskającymi strugami krwi. Skręca się z powodu bardzo ostrych bólów brzucha. Jakby ktoś trafił ją w to miejsce nabojem z pistoletu.

Przerażone współsiostry dzwonią po doktora Tommaso Baccarellego, osobistego lekarza matki Speranzy. Ten przyjeżdża tak szybko, jak tylko może. Wchodzi do windy w Domu Pielgrzyma, wciskając guzik z cyfrą 8. To właśnie na ósmym piętrze znajduje się cela oznaczona numerem 134. Baccarelli wchodzi do środka. Wchodzi i staje przejęty. Widzi bladą matkę Speranzę. Leżącą na tapczanie i wycieńczoną. Obok niej na nocnym stoliku doktor spostrzega dwa obrazki. Jeden przedstawia Jezusa od Miłości Miłosiernej, drugi to obraz Maryi Pośredniczki. Nieco dalej lekarz spostrzega coś, na widok czego serce zaczyna mu bić dużo szybciej. Oto stos ręczników rzuconych na krzesło. Są przesiąknięte krwią. Siostra musiała już stracić dużo litrów.

– Transfuzja… – szepcze do stojących wokoło sióstr. – Konieczna jest transfuzja. Kolejny strumień krwi może oznaczać śmierć matki. Musimy się pospieszyć.

Bardzo szybko w celi pojawiają się siostry gotowe do oddania krwi przełożonej. Zabieg musi zostać przeprowadzony jak najszybciej. Potrzebna jest jednak informacja o grupie krwi matki. A nikt z zebranych jej nie zna. Technicy z laboratorium pobierają więc krew zakonnicy, a gdy otrzymują wyniki, przecierają oczy ze zdumienia. Okazuje się, że czerwone krwinki w żyłach kobiety są w normalnym stanie. Nie widać najmniejszego śladu anemii. Transfuzja nie będzie konieczna.

Wszyscy zebrani są w szoku. Wszak dopiero co widzieli tryskającą z ust matki krew. Krwi było tak dużo, że skapująca z ułożonych na krześle ręczników wyżłobiła w posadzce maleńką dziurę. Koszula nocna zakonnicy, jej pościel, powłoczki na poduszki i na materac – wszystko to jest obficie zalane krwią. Trochę jakby ktoś wylał na to kilka litrów czerwonego wina. A teraz ten wynik…

Trzeba będzie poczekać kilka godzin, aby zrozumieć. Poczekać dokładnie do 17:19, gdy to na placu św. Piotra dadzą się słyszeć wystrzały z pistoletu zamachowca. Ta krew, tak obficie wylana w celi numer 134 ósmego piętra domu w Collevalenza, okazuje się być swego rodzaju oblacją, mistycznym udziałem w ocaleniu papieża z Polski.

Ksiądz Giovanni Ferrotti, egzorcysta z sanktuarium Miłości Miłosiernej, przekaże po latach, że choroba i krwotoki matki Speranzy ustały dopiero wtedy, gdy podano do publicznej wiadomości, że Ojcu Świętemu nie grozi już żadne niebezpieczeństwo.

Nieznajomy w ogrodzie

Jest rok 1999. Niespełna roczny Francesco wciąż nie może nic jeść. Rodzice po materiale o Collevalenza obejrzanym w telewizji decydują się na telefon do wujka księdza. Przebywający akurat na rekolekcjach w sanktuarium Miłości Miłosiernej Don Giuseppe obiecuje przywieźć ze sobą wodę z cudownego źródełka, jakie wykopała w tym miejscu matka Speranza.

Butelka z cudowną wodą z sanktuarium dociera wreszcie do chorego chłopca. Cała rodzina zaczyna modlić się o jego powrót do zdrowia. Elena i Mau-

eprasa.pl d19016ffac

rizio doskonale zdają sobie sprawę, że jedyne, co mogą teraz zrobić, to całkowicie zdać się na wolę Pana Boga. Przez ten najtrudniejszy rok ich życia zrobili po ludzku wszystko, co było możliwe. Są zmęczeni, od roku praktycznie nie śpiąc normalnie i nie odpoczywając.

Jest środa 30 czerwca 1999 roku. Pojutrze pierwsze urodziny ich synka. Pragnąc przewietrzyć siebie oraz dziecko Elena decyduje się na zabranie go do pobliskiego ogrodu. Widzi w nim siedzącego na ławce mężczyznę, od którego bije zastanawiająco piękna aura. Kobieta jest na tyle oczarowana jego przystojną aparycją, eleganckim ubiorem i dżentelmeńskimi odruchami, że pozwala sobie usiąść obok. Dopiero teraz widzi, jak nieznajomy ma piękne oczy.

– Francesco, Francesco, jakie śliczne dziecko z ciebie… – odzywa się wreszcie mężczyzna w kierunku malca, budząc zdziwienie kobiety. Skąd mógł znać imię jej syna? „Może usłyszał, jak je wypowiadałam" – myśli w duchu. Mężczyzna pyta, czy może potrzymać dziecko. Gdy Elena się godzi, człowiek bawi się z Francesco krótką chwilę, by wreszcie zwrócić się do matki: – Francesco został powierzony Maryi, prawda?

To pytanie przeszywa na wskroś kobietę. Rzeczywiście w dniu, w którym opuszczali szpital po narodzinach, podjęli wraz z mężem decyzję, aby powierzyć ich dziecko Matce Bożej. To była jednak ich tajemnica, o której nikt nie miał prawa wiedzieć.

– Czemu się martwisz? – pyta dalej nieznajomy. – Byłaś już u matki Speranzy, prawda?

– Nie, nie byliśmy jeszcze w Collevalenza – mówi Elena zgodnie z prawdą.

– Ależ tak, byliście – odpowiada z uśmiechem mężczyzna.

– Nie, zapewniam pana, że nigdy nie byliśmy jeszcze u matki Speranzy – upiera się kobieta.

– Francesco był – wskazuje ze spokojem nieznajomy. – Czy on coś bierze?

– Tak, dajemy mu wodę z Collevalenza. Od matki Spera… – kobieta już nie kończy myśli, bo sama zdaje sobie sprawę, z tego, co właśnie powiedziała. Wreszcie nie wytrzymuje. – Kim pan jest? I skąd pan tyle wie o naszej rodzinie?

– Dlaczego zadajesz mi tyle pytań? Nie myśl teraz o tym, kim jestem. To nie ma żadnego znaczenia – odpowiada zupełnie niezdenerwowany mężczyzn. – Posłuchaj, nie ma już powodu do zmartwień, bo Francesco odnalazł swoją matkę.

Elena nie wie, co odpowiedzieć. Tłumaczy, że to ona jest matką, słysząc w odpowiedzi, że „owszem, jest, ale drugą".

– Wyprawiasz wielkie przyjęcie w niedzielę, nieprawdaż? – zmienia nagle temat nieznajomy.

– Tak, chcemy urządzić niewielką uroczystość na urodziny Francesco.

– Nie, nie „niewielką uroczystość" – przerywa jej. – Urządzisz wielkie przyjęcie. I nie z okazji jego urodzin, ale dlatego, że Francesco wyzdrowiał.

Zdenerwowana Elena przeprasza mężczyznę, tłumacząc, że musi już iść. Wkłada synka do wózka i rusza w kierunku bramy parku. Odwraca się na pożegnanie i słyszy od nieznajomego: – Proszę, idź do matki Speranzy.

▶ Mleko, które nie szkodzi

Jest niedziela 2 lipca 1999 roku. Przyjęcie urodzinowe Francesco. Do domu państwa Fossa przybywają kolejni goście. Są dziadkowie, ciotki, wujkowie, są przyjaciele rodziny. Stoły aż uginają się od pysznego poczęstunku. Elena boi się tylko, żeby synek czasem czegoś z nich nie chwycił. Nie dalej jak dwa miesiące temu znalazł w domu na podłodze drobny kawałek tostu. Zjadł i 20 minut później zapadł w śpiączkę. Widząc lęki i niepokój rodziców, wujek chłopca, ks. Giuseppe, bierze ich na bok.

– Nadszedł czas, aby okazać wiarę… – tłumaczy szeptem. – Pan zrobił swoją część. Teraz pora na was.

Na te słowa Maurizio podnosi dziecko i przykłada je do stojącego na stole ciasta. Francesco wkłada w łakoć swoje małe rączki, by po chwili przyłożyć je do buzi. Serca Eleny i Maurizio zaczynają mocniej bić. Chłopczyk nie poprzestaje na cieście. Chwyta po chwili kawałek pizzy. Je przekąski. Póki co nie widać jednak żadnej reakcji organizmu. Gdy kończy się przyjęcie, Franscesco kładzie się, aby po raz pierwszy od roku przespać całą noc. Rano zaś po przebudzeniu prosi o… mleko. Od tej pory będzie pić dziennie litr mleka i pół litra jogurtu.

Dwa tygodnie później matka uda się z synkiem na kontrolne badania. Gdy lekarz – obeznany z sytuacją i świadom tragicznego stanu Francesco – zobaczy kobietę, będzie przekonany, że przyszła powiedzieć mu o zgonie synka. Widząc uśmiechniętego Francesco, stwierdzi, że to cud. Badania lekarskie wyjdą rzecz jasna wzorcowo.

Po miesiącu od urodzin wszyscy udadzą się do Collevalenzy, aby dotrzymać słowa i podziękować matce Speranzie za pomoc. Ciało zakonnicy jest pochowane w dolnej części sanktuarium za ołtarzem. Dziś opisane słówkiem „błogosławiona". Cudem, który zaświadczył o wyniesieniu matki Speranzy na ołtarze, stała się właśnie historia Francesco Fossy. Dziś już zdrowego dwudziestoośmiolatka. ■

eprasa.pl d19016ffac

Hanna Shen

Tak minął miesiąc w Azji

Co działo się w minionym miesiącu na kontynencie azjatyckim i wokół niego? Poniżej prezentujemy omówienie wydarzeń, które niekoniecznie trafiają na pierwsze strony gazet, lecz są ważne.

Korea Północna

W połowie marca północnokoreańskie media państwowe opublikowały zdjęcia, na których przywódca Korei Północnej Kim Dzong Un obserwuje ćwiczenia wojskowe wraz ze swoją nastoletnią córką Kim Dzu Ae. Jej obecność podczas manewrów, które Pjongjang określa jako odpowiedź na wspólne ćwiczenia wojskowe Stanów Zjednoczonych i Korei Południowej, ponownie zwróciła uwagę analityków na rosnącą rolę dziewczynki w systemie władzy Korei Północnej.

Według doniesień Kim obserwował testy systemów rakietowych oraz ćwiczenia symulujące ataki na cele przeciwnika. Północnokoreańska propaganda przedstawia te działania jako przygotowanie do obrony kraju przed „agresją" Zachodu, jednak społeczność międzynarodowa postrzega je jako prowokację i naruszenie rezolucji ONZ. Największe zainteresowanie budzi jednak nie tyle sam test broni, ile obecność córki dyktatora. Kim Dzu Ae, urodzona prawdopodobnie w 2012 lub 2013 roku, po raz pierwszy pojawiła się publicznie w 2022 roku podczas testu rakietowego. Od tego czasu coraz częściej towarzyszy ojcu w kluczowych wydarzeniach państwowych – od parad wojskowych po wizyty w fabrykach zbrojeniowych. Według południowokoreańskiego wywiadu jej rola w państwowej propagandzie przestała być jedynie symboliczna. Kim Dzu Ae może być przygotowywana do przejęcia władzy w przyszłości. Jej udział w wydarzeniach związanych z programem rakietowym oraz obecność przy najważniejszych projektach militarnych mają stopniowo budować jej wizerunek jako potencjalnej następczyni.

Takie działania wpisują się w logikę systemu władzy w Korei Północnej, który od ponad 70 lat opiera się na jednej rodzinie. Państwo zostało założone przez Kim Ir Sena, a następnie władzę przejął jego syn, Kim Dzong Il, po którym rządy objął Kim Dzong Un. Pokazywanie córki u boku obecnego przywódcy może być próbą przygotowania społeczeństwa na czwartą generację dynastii Kimów. Spekulacje dotyczące sukcesji są również związane z doniesieniami o stanie zdrowia samego Kim Dzong Una. Południowokoreańskie służby wywiadowcze od lat zwracają uwagę na jego problemy zdrowotne, w tym otyłość, nadciśnienie oraz choroby sercowo-naczyniowe. Choć przywódca wciąż aktywnie uczestniczy w życiu politycznym i wojskowym kraju, pojawiają się pytania o stabilność systemu w przypadku nagłego kryzysu. W tym kontekście obecność Kim Dzu Ae podczas demonstracji siły militarnej może być czymś więcej niż tylko elementem propagandy. Może to być sygnał, że reżim w Pjongjangu już teraz myśli o przyszłości i pragnie pokazać ciągłość władzy. Jeśli te prognozy okażą się trafne, świat może być świadkiem bezprecedensowej zmiany – pierwszej kobiety na czele Korei Północnej, ale jednocześnie już czwartej generacji rządów tej samej dynastii.

Tajwan

Tajwan planuje zakończyć pierwszy etap budowy nowego systemu obrony powietrznej T-Dome już w przyszłym roku – wynika z raportu, który Ministerstwo Obrony przedstawiło parlamentowi. Projekt ma na celu stworzenie nad wyspą wielowarstwowej tarczy, zdolnej do wykrywania i neutralizowania rakiet, dronów oraz samolotów przeciwnika, zanim dotrą one nad jej terytorium.

T-Dome nie jest jedynie pojedynczym systemem, lecz zintegrowaną siecią obrony powietrznej. W pierwszej fazie projektu planowane jest połączenie trzech klu-

eprasa.pl d19016ffac

czowych tajwańskich systemów rakietowych: Sky Bow IV (Strong Bow), Sky Bow III oraz Sky Sword II. W kolejnych etapach przewiduje się integrację z amerykańskim systemem dowodzenia, co umożliwi współpracę z systemami używanymi przez Stany Zjednoczone, w tym z MIM-104 Patriot oraz NASAMS. Jednym z najważniejszych elementów nowej architektury będzie pocisk Strong Bow, który ma stanowić zewnętrzną warstwę obrony. Zgodnie z informacjami przekazanymi przez resort obrony, rakiety te będą zdolne do przechwytywania celów na wysokości sięgającej nawet 70 kilometrów. Oznacza to, że będą działać równolegle z systemami Patriot i Sky Bow III, tworząc wielopoziomową ochronę przed samolotami oraz pociskami balistycznymi. Projekt zakłada również zastosowanie nowoczesnych radarów typu AESA, które umożliwiają wykrywanie celów na znacznie większych odległościach niż starsze systemy. Dzięki temu T-Dome ma odgrywać rolę centralnego „mózgu" całej sieci obrony powietrznej Tajwanu.

Pomysł stworzenia systemu T-Dome ogłosił w 2025 roku prezydent Lai Ching-te. Sama nazwa nawiązuje do izraelskiego systemu Iron Dome, który chroni Izrael przed rakietami krótkiego zasięgu. Tajwańska wersja ma jednak znacznie szerszy zakres działania – obejmuje nie tylko pociski artyleryjskie i rakiety, lecz także drony, samoloty oraz bardziej zaawansowane systemy rakietowe. Budowa T-Dome jest bezpośrednią odpowiedzią na rosnącą presję militarną ze strony Chin, które uważają Tajwan za część swojego terytorium i regularnie prowadzą ćwiczenia wojskowe wokół wyspy. W ostatnich latach chińska armia zwiększyła liczbę lotów samolotów wojskowych w pobliżu tajwańskiej przestrzeni powietrznej oraz rozwija arsenał rakiet zdolnych do uderzenia w cele na wyspie. Dla władz w Tajpej nowy system ma zatem podwójne znaczenie. Z jednej strony ma zwiększyć bezpieczeństwo ludności cywilnej i infrastruktury, z drugiej – pełnić funkcję odstraszania, pokazując, że ewentualny atak byłby znacznie trudniejszy i bardziej kosztowny.

▶ USA–Chiny

Na początku marca 2026 roku amerykański dziennikarz śledczy Peter Schweizer zeznawał przed Podkomisją ds. konstytucji i ograniczonego rządu senackiej Komisji Sądownictwa. Jego przesłuchanie dotyczyło obywatelstwa z urodzenia oraz tzw. turystyki porodowej. W trakcie wystąpienia ostrzegł, że Chiny stworzyły systemowy mechanizm wykorzystywania amerykańskiego prawa, który określił jako „model przemysłowy" do zdobywania obywatelstwa USA.

Schweizer argumentował, że w Chinach funkcjonuje rozbudowana sieć firm organizujących przyjazdy ciężarnych kobiet do Stanów Zjednoczonych wyłącznie w celu urodzenia tam dziecka. Zgodnie z interpretacją 14. poprawki do amerykańskiej konstytucji, każde dziecko urodzone na terytorium USA automatycznie nabywa obywatelstwo. Według Schweizera powstała cała infrastruktura biznesowa, która wykorzystuje ten przepis. Agencje w Chinach oferują kompleksowe „pakiety", obejmujące pomoc w uzyskaniu wizy, transport do USA, zakwaterowanie, opiekę medyczną oraz organizację porodu w amerykańskim szpitalu. Koszt takiej usługi może wynosić nawet kilkadziesiąt tysięcy dolarów.

Podczas przesłuchania w Kongresie dziennikarz argumentował, że zjawisko to osiągnęło ogromną skalę. Według jego szacunków w Chinach może żyć od setek tysięcy do nawet ponad miliona osób posiadających amerykańskie obywatelstwo, wyłącznie dlatego, że urodziły się w Stanach Zjednoczonych. Po porodzie matki zazwyczaj wracają do Chin, gdzie dzieci dorastają i są wychowywane w chińskim systemie edukacyjnym, zachowując jednocześnie formalny status obywateli USA. Autor podkreśla, że rodzi to poważne pytania dotyczące bezpieczeństwa narodowego. Obywatele amerykańscy mają w przyszłości prawo studiować w USA, prowadzić działalność gospodarczą, inwestować oraz uczestniczyć w życiu politycznym kraju. Schweizer określa tę potencjalną grupę jako „pokolenie mandżurskie", nawiązując do motywu znanego z powieści i filmów o tzw. uśpionych agentach.

Argumenty przedstawione na Kongresie Schweizer rozwija w swojej książce pt. „Niewidzialny zamach" („The Invisible Coup"), opublikowanej w styczniu br. Autor twierdzi, że niektóre państwa autorytarne zaczęły traktować migrację i obywatelstwo jako narzędzie geopolityczne. Tezy zaprezentowane przez dziennikarza wywołały w Waszyngtonie nową debatę na temat interpretacji 14. poprawki oraz tego, czy obecne prawo odpowiada realiom globalizacji i rywalizacji geopolitycznej. Trump i jego sojusznicy argumentują, że automatyczne obywatelstwo dla dzieci osób przebywających w USA nielegalnie lub tymczasowo (na przykład na wizach turystycznych) nie było pierwotną intencją twórców konstytucji. Dlatego 20 stycznia 2025 roku, w pierwszym dniu swojej drugiej kadencji, Trump podpisał rozporządzenie wykonawcze, które miało ograniczyć obywatelstwo z urodzenia tylko do dzieci, których co najmniej jeden rodzic jest obywatelem USA lub stałym rezydentem (posiadaczem zielonej karty). Rozporządzenie to zostało natychmiast zaskarżone i zablokowane przez sądy federalne, a sprawa ostatecznie trafiła do Sądu Najwyższego Stanów Zjednoczonych. Rozprawa została zaplanowana na 1 kwietnia br., a ostateczny wyrok spodziewany jest pod koniec czerwca lub na początku lipca. ■

eprasa.pl d19016ffac

tłum. i oprac. Antoni Rybczyński

Agonia hydry. Islamska republika ajatollahów i strażników rewolucji

eprasa.pl d130161fac

Według ekspertów irański reżim świadomie zbudował system władzy, który charakteryzuje się stabilnością i który trudno będzie szybko obalić. Czym więc można wyjaśnić tę stabilność i czym irański system różni się od ustroju politycznego innych krajów Bliskiego Wschodu?

ILUSTRACJA: MARIUSZ TROLIŃSKI

28 lutego Stany Zjednoczone i Izrael przeprowadziły potężny atak na Iran, mając na celu wyeliminowanie jego programów jądrowych i rakietowych, zniszczenie marynarki wojennej oraz destabilizację przywództwa. „Zbombardowanie reżimu aż do jego wyginięcia rzadko jest skuteczną strategią" – napisał Ray Takeyh z Council of Foreign Relations. „Islamska Republika jest systemem ideologicznym z wielowarstwową elitą i bazą poparcia. Poparcie to mogło się zmniejszyć w ciągu ostatnich kilku lat, ale nadal zapewnia reżimowi kadrę gotową do użycia siły w celu utrzymania władzy" („Ośrodki władzy w Islamskiej Republice Iranu", Council of Foreign Relations, 2 marca 2026). Po obaleniu monarchii w Iranie Islamska Republika stopniowo zbudowała system polityczny, który ma wytrzymać poważne wstrząsy – twierdzą eksperci. Łączy ona ściśle kontrolowane instytucje państwowe, indoktrynację ideologiczną, spójność elit i podzieloną opozycję. „To struktura podobna do hydry: odetniesz jedną głowę – wyrosną nowe" – mówi Sebastian Boussuet, badacz Bliskiego Wschodu z Europejskiego Instytutu Geopolitycznego w Belgii (Luis Barrucho, „»Odetnij jedną głowę, a wyrosną nowe«. Jak irańskie władze stworzyły system pozwalający im utrzymać władzę", BBC World, 12 marca 2026).

„Zatrucie Zachodem"

Chamenei rządził krajem przez 36 lat – najdłużej spośród wszystkich obecnie rządzących przywódców państw na Bliskim Wschodzie – i w tym czasie uczynił antyamerykanizm doktryną państwową, przenikającą całą politykę zagraniczną i wewnętrzną Iranu. Jak to się stało, że jedną z głównych idei narodowych jednego reżimu stała się konfrontacja z innym reżimem? W rzeczywistości przyczyn jest wiele: są to historyczne korzenie nienawiści Iranu do USA, specyfika religijna, osobisty stosunek Chameneiego do Zachodu oraz działania Waszyngtonu. Ajatollahowie nie wymyślili nienawiści do USA od zera, ale wykorzystali istniejącą już nieufność Irańczyków wobec Zachodu, której korzenie sięgają XX wieku. W 1941 roku Iran został zajęty przez wojska sowieckie i brytyjskie, a szachem został ogłoszony Mohammad Reza Pahlavi, który podpisał z okupantami umowę sojuszniczą. Rządy szacha Mohammada Rezy nie podobały się wielu: duchowieństwu, konserwatywnej części społeczeństwa, socjalistom, nacjonalistom, liberałom. Jednych nie satysfakcjonowały obce islamowi prozachodnie reformy i prześladowanie szanowanego ajatollaha Chomeiniego, innych – zależność od Zachodu i niesprawiedliwy udział Iranu w wydobyciu ropy naftowej, a jeszcze innych – trudna sytuacja gospodarcza

eprasa.pl d19016ffac

i ubóstwo ludności. W 1962 roku irański pisarz Dżalal Ale-Ahmad opublikował książkę pt. „Garbzadegi", („Zatrucie Zachodem") – antykolonialne, marksistowskie dzieło, porównujące bogaty, uprzemysłowiony Zachód z biednym, rolniczym Wschodem i krytykujące ekonomiczną zależność Iranu od Stanów Zjednoczonych i Europy. Książka zyskała ogromną popularność wśród irańskiej inteligencji. Ale-Ahmad uważał, że poprzez przyjmowanie i naśladowanie zachodniej polityki, gospodarki i kultury Iran traci swoją tożsamość, stając się biernym rynkiem zbytu dla zachodnich towarów i pionkiem w geopolityce (Weronika Neman, „Imperium wroga. Jak Iran budował swoją tożsamość w oparciu o ideę przeciwstawiania się USA", „Nowaja Gazeta Europa", 13 marca 2026).

W swojej nienawiści do Zachodu ajatollahowie byli najbardziej radykalni – w dużej mierze dlatego, że prozachodni reżim stał się dla nich niekorzystny finansowo. Jeszcze przed rewolucją duchowieństwo szyickie było znaczącą siłą: posiadało własne meczety, szkoły, uniwersytety, fundacje charytatywne i ziemię. Wszystko to było utrzymywane z pieniędzy pochodzących z dzierżawy ziemi i podatków płaconych przez wiernych: zgodnie z szyicką interpretacją Koranu muzułmanie są zobowiązani do płacenia na rzecz parafii humus, czyli podatku. W trakcie reform „białej rewolucji" w latach 60. szach przymusowo wykupywał posiadłości od wielkich właścicieli ziemskich, w tym od duchowieństwa, i przekazywał je chłopom. W rezultacie duchowieństwo straciło znaczną część dochodów, a ajatollah Ruhollah Chomeini stanął na czele ruchu przeciwko reformom. Władzom szacha, które surowo tłumiły świecką opozycję, trudno było poradzić sobie z ajatollahami. Wymagałoby to masowego zamykania meczetów i represjonowania duchowieństwa. Nawet prozachodni szach nie posunął się do takiego naruszenia zasad: łatwiej było prześladować lewicowców, liberałów i nacjonalistów. W ten sposób Mohammad Reza zniszczył tych, którzy byli wobec niego mniej radykalni, i utorował drogę islamskiej rewolucji. W 1979 roku rewolucjoniści obalili szacha, a Chomeini został imamem. Antyimperialistyczne idee Dżalala Ale-Ahmada i innych perskich myślicieli, przeplatane z szyickim islamem, stały się oficjalną ideologią. Chomeini ogłosił „złem" „imperializm i kolonializm, tyranię i ucisk na arenie międzynarodowej", czyli politykę Stanów Zjednoczonych, które ajatollah nazywał „Wielkim Szatanem". Izrael stał się „małym szatanem" – jako najbliższy Iranowi popleczник USA i „nieodłączna część świata islamskiego, nielegalnie okupowana przez syjonistów" (W. Neman, „Imperium wroga…").

Rewolucja stworzyła solidną sieć instytucji religijnych, politycznych i edukacyjnych, które nadal kształtują ideologię państwa. „Ta bardzo stara, bardzo potężna struktura – ideologiczna, biurokratyczna, administracyjna – wzmacnia system" – mówi Boussuet. Twierdzi on, że ideologia „działa jako rzeczywiste źródło jedności, szkolenia zawodowego i doboru kadr" (L. Barrucho, „Odetnij jedną głowę, a wyrosną nowe"…). Chomeini włączył do dyskursu islamskiego lewicową retorykę, stawiając znak równości między terminami koranicznymi „mustazafin" („słabi") i „mustakbirin" („dumni i potężni") a marksistowską terminologią „uciskanych" i „uciskających". Za „uciskających" uznano kapitalistyczne supermocarstwa, które wykorzystują biedne kraje, „uciskanych", w swoich interesach, wysysając ich zasoby i niszcząc ich tożsamość. Uciskający hipokraci eksploatują inne państwa pod pretekstem ochrony praw człowieka lub obrony wolności i demokracji, w rzeczywistości stawiając swoje prawa ponad prawami innych. W kulturze irańskiej zjawisko to określa się terminem „estebkar", co dosłownie oznacza „arogancję", „pychę" lub „wyniosłość" i jest uważane za jeden z najgorszych grzechów w islamie. Wszystkie zmiany, które zaszły w Iranie po 1979 roku – od nacjonalizacji przedsiębiorstw po ograniczenie praw kobiet i represje wobec opozycji – tłumaczono tym, że kraj uwolnił się od zachodnich wpływów i buduje swoją niezależną drogę. Doszło do sytuacji klasycznej dla reżimów autorytarnych: walka z zewnętrznym wrogiem stała się pretekstem do „dokręcania śruby" w kraju i ingerencji w sprawy sąsiadów. W niemal każdym przemówieniu Chamenei wspominał o Stanach Zjednoczonych, niezależnie od tematu dyskusji i słuchaczy. Obwiniał USA za niemal wszystkie problemy Iranu i świata islamskiego, twierdząc, że Stany Zjednoczone przez lata uciskały Iran, a teraz nienawidzą go za jego niezależność (W. Neman, „Imperium wroga…").

▶ Państwo ajatollahów…

System rządów w Iranie nie jest ani demokracją, ani teokracją. Założyciel i najwyższy przywódca Ruhollah Chomeini opracował jego podstawową doktrynę, znaną jako „opieka prawnika", w latach poprzedzających powstanie Islamskiej Republiki w 1979 roku. Chomeini postulował, że sprawiedliwy rząd jest możliwy, jeśli na jego czele staną uczeni religijni, aby zapewnić zgodność z prawem islamskim. System ten został wprowadzony w życie w drodze referendum konstytucyjnego po rewolucji islamskiej z 1979 roku. Organy nowoczesnej republiki – jednoizbowy parla-

eprasa.pl d19016ffac

ment (madżlis), władza wykonawcza kierowana przez prezydenta oraz sądownictwo – zostały otoczone przez system duchowny („Ośrodki władzy w Islamskiej Republice Iranu…"). Ajatollahowie to swego rodzaju „islamscy prawnicy": ludzie, którzy całe życie poświęcili studiowaniu boskich praw i uzyskali prawo do samodzielnego podejmowania decyzji w każdej sprawie – od polityki po transpłciowość. W odróżnieniu od zwykłych duchownych ajatollahowie nie tylko odprawiają obrzędy, lecz także kształtują program prawny i ideologiczny, którego musi przestrzegać każdy wierny szyita (W. Neman, „Imperium wroga…").

Jednym z czynników, który pozostawał niezmienny w całej współczesnej historii Iranu, jest najwyższa władza najwyższego przywódcy (rahbara), strażnika prawa, który zgodnie z konstytucją jest faktycznie dożywotnim przywódcą Iranu. Konstytucja Iranu wyznacza tę funkcję jako głowę państwa i przyznaje jej ogromną kontrolę w oparciu o teorię, że władza polityczna wywodzi się z władzy religijnej. Artykuł 110 konstytucji Iranu określa główne uprawnienia tej funkcji. Obejmują one ustalanie polityki krajowej i nadzorowanie jej wdrażania, a także dowodzenie siłami zbrojnymi oraz mianowanie szefów wojskowych oraz dowódców Korpusu Strażników Rewolucji Islamskiej (IRGC) i policji. Władza najwyższego przywódcy nie jest jednak absolutna. Jest on wybierany przez Zgromadzenie Ekspertów, organ składający się z 88 bezpośrednio wybieranych prawników, którym konstytucja powierza nadzór nad najwyższym przywódcą. W praktyce jednak sprawują oni nadzór w ramach tajnej komisji i nie jest jasne, czy kiedykolwiek próbowali w znaczący sposób kontrolować Chomeiniego lub Chameneiego („Ośrodki władzy w Islamskiej Republice Iranu…"). Prezydent, który może sprawować urząd przez maksymalnie dwie czteroletnie kadencje, jest odpowiedzialny za wykonywanie ustaw kraju, ustalanie polityki w ramach wytycznych określonych przez najwyższego przywódcę oraz prowadzenie dyplomacji w imieniu państwa. Prezydent mianuje członków gabinetu, którzy muszą zostać zatwierdzeni przez parlament. Przedstawia również projekt budżetu, który następnie musi zostać przyjęty w ramach normalnego procesu legislacyjnego.

Parlament, czyli madżlis, liczy 290 miejsc. Jego członkowie są wybierani w wyborach bezpośrednich na czteroletnią kadencję w okręgach geograficznych, przy czym pięć miejsc jest zarezerwowanych dla mniejszości religijnych. Odsetek duchownych zajmujących w nim miejsca spadł – z ponad 50 proc. w 1980 roku do 5,5 proc. w 2020 roku – podczas gdy wzrosła liczba osób powiązanych z Gwardią Rewolucyjną. Rada Strażników ma za zadanie ustalać, czy ustawy uchwalane przez parlament są zgodne z konstytucją i zasadami islamu. Połowa z 12 członków Rady to teologowie mianowani przez najwyższego przywódcę; druga połowa to prawnicy wybrani przez parlament. Rada Strażników kwalifikuje również kandydatów do Zgromadzenia Ekspertów, prezydentury i parlamentu, co daje jej ogromny wpływ na kształtowanie parametrów irańskiej demokracji wyborczej. W wyborach powszechnych w 2016 roku organ ten zatwierdził zaledwie połowę zgłoszonych kandydatów do parlamentu i jedną piątą kandydatów do Zgromadzenia Ekspertów. Często eliminowała ona reformatorskich kandydatów ubiegających się o urząd („Ośrodki władzy w Islamskiej Republice Iranu…").

Inny organ, Rada Wyższej Służby, odgrywa rolę mediatora między parlamentem a Radą Strażników. Została ona utworzona dekretem w 1988 roku, a w następnym roku została dodana do konstytucji w drodze poprawki. Najwyższy przywódca, który mianuje członków rady na pięcioletnią kadencję, przekazał jej od tego czasu uprawnienia do nadzorowania rządu. Organ ten stanowi kolejną drogę, dzięki której najwyższy przywódca może zdecydować się na sprawowanie ściślejszej kontroli nad rządem. Najwyższa Rada Bezpieczeństwa Narodowego jest kierowana przez prezydenta i obejmuje przewodniczącego parlamentu oraz prezesa Sądu Najwyższego – czyli szefów wszystkich trzech gałęzi władzy. W skład rady wchodzą również szefowie sił zbrojnych oraz ministrowie stanu, spraw zagranicznych i wywiadu, a także dwaj osobiści przedstawiciele najwyższego przywódcy; w ten sposób obejmuje ona osoby mianowane zarówno przez prezydenta, jak i najwyższego przywódcę. Jej uprawnienia konstytucyjne są szerokie; ma ona za zadanie ustanawiać szeroki zakres polityk dotyczących obrony i bezpieczeństwa, reagując na zagrożenia zarówno zagraniczne, jak i wewnętrzne („Ośrodki władzy w Islamskiej Republice Iranu…").

▶ …i strażników rewolucji

Jak zauważają eksperci, w przeciwieństwie do innych krajów regionu, takich jak Tunezja, Egipt i Syria, gdzie władcy zostali obaleni, Iran okazał się bardziej odporny na zewnętrzne wstrząsy dzięki swojej ideologicznie motywowanej strukturze bezpieczeństwa. Zamiast typowej dyktatury skupionej wokół jednego przywódcy, w Iranie funkcjonuje swego rodzaju „polidyktatura" – „sojusz zwolenników politycznego islamu i twardego irańskiego nacjonalizmu", mówi były dyrektor Francuskiego Instytutu Badań nad Iranem w Teheranie Bernard Urkad. Władza jest podzielona między kilka ośrod-

eprasa.pl d19016ffac

ków – organy religijne, siły zbrojne i główne sektory gospodarki. Z tego powodu system ten jest znacznie trudniejszy do obalenia niż dyktatura jednego przywódcy. Jeśli instytucje państwowe stanowią „szkielet" reżimu, to struktury siłowe są uważane za jego mięśnie. Korpus Strażników Rewolucji Islamskiej, działający równolegle z regularną armią, nazywany jest „głównym filarem reżimu", mówi Urkad. IRGC nie tylko wykonuje zadania wojskowe, lecz jest także potężną siłą polityczną i gospodarczą, która ma szerokie interesy biznesowe i wywiera wpływ poprzez dobrowolną organizację paramilitarną Basidż (L. Barrucho, „Odetnij jedną głowę, a wyrosną nowe"…).

Korpus Strażników Rewolucji Islamskiej (zwany czasem również Gwardią Rewolucyjną i Pasdaran) to jedyna w swoim rodzaju ogromna elitarna formacja wojskowo-polityczna Iranu, utworzona w 1979 roku ze zmilitaryzowanych oddziałów Islamskich Komitetów Rewolucyjnych. Na początku rewolucji islamskiej Ruchollah Chomeini zupełnie nie ufał starym siłom zbrojnym, znanym w Iranie jako Artesz (słowo z języka farsi oznaczające armię), i często mawiał: „W Artesz szach na zawsze będzie siedział we krwi". Tak powstał IRGC, który po upływie dziesięcioleci stał się nie tylko najpotężniejszą siłą militarną Iranu, lecz także siłą polityczną, religijną i gospodarczą – z praktycznie nieograniczonymi uprawnieniami. Po śmierci Chomeiniego w 1989 roku następny rahbar Ali Chamenei przekształcił Korpus Strażników Rewolucji Islamskiej w odrębną elitarną formację, bezpośrednio wiążąc swoją władzę z jej wpływami. Jednocześnie pozwolił IRGC wielokrotnie rozszerzyć swoje uprawnienia w polityce i gospodarce Iranu oraz zacząć podejmować własne decyzje taktyczne, a następnie strategiczne (Aleksandr Dubrowskij, „Czarna wola IRGC. Czy Iran staje się dyktaturą wojskową?", Radio Swoboda, 11 marca 2026).

Na pierwszy rzut oka Iran może wydawać się Zachodowi radykalną teokracją, krajem, którego oficjalna ideologia opiera się mocno na szyickim islamie i którym rządzi kilkudziesięciu ajatollahów oraz kilku wielkich ajatollahów. Jednak obecnie, jak podkreśla politolog i iranista Nikołaj Meszhedow, jest to raczej państwo wojskowo-oligarchiczne, skrajnie zmilitaryzowane, którego podstawą i istotą jest właśnie IRGC. Powszechny wpływ wojskowy, polityczny i, co bardzo ważne, gospodarczy Korpusu Strażników jest główną przeszkodą dla zmiany reżimu i jakichkolwiek zmian w Iranie: – W ostatnich latach cały irański system gospodarczy został skonstruowany w taki sposób, że państwo dominuje nad sektorem prywatnym, którego rola jest skrajnie regulowana. Jak mówią sami Irańczycy: „nie mamy sektora prywatnego, mamy sektor półpaństwowy". Rozumieją przez to, że w rzeczywistości prowadzenie działalności gospodarczej w tym kraju bez powiązań z IRGC jest niemożliwe (A. Dubrowskij, „Czarna wola IRGC…").

Jedną z przewag Korpusu Strażników nad innymi strukturami Islamskiej Republiki jest gotowość do działania w warunkach faktycznego rozpadu państwa. W zasadzie przeszedł już na zdecentralizowany model zarządzania: lotnictwo, marynarka wojenna, siły Quds i wojska lądowe działają samodzielnie, bez ścisłej kontroli sztabu. Prawdopodobnie IRGC opracowało tajny protokół dowodzenia, przeznaczony na sytuacje kryzysowe. W warunkach ataku zewnętrznego z pewnością nie należy publicznie ujawniać nazwisk strategów wojskowych. W ten sposób korpus prawdopodobnie zachowa zdolność bojową nawet w obliczu dalszego niszczenia infrastruktury Islamskiej Republiki przez wojska amerykańskie i izraelskie (Antonio Giustozzi, „Agonia hydry. Jak irański system funkcjonuje bez hierarchicznego przywództwa i dlaczego na razie chaos w Iranie jest bardziej prawdopodobny niż demokracja", The Insider, 4 marca 2026).

Jak zauważa na łamach brytyjskiego „Telegraph" znany zachodni politolog i iranista Ali Alfonseh, po wyborze ajatollaha Modżtaby Chameneiego na stanowisko najwyższego przywódcy pod presją IRGC, Iran nadal może nazywać się Islamską Republiką – jednak w rzeczywistości coraz bardziej przypomina państwo, w którym wojskowi rządzą pod szatami duchownych: „Przez dziesięciolecia Iran nieustannie zmierzał w kierunku militaryzacji. Z wiekiem zmarły ajatollah Ali Chamenei coraz bardziej polegał na IRGC w obronie reżimu przed wewnętrznym sprzeciwem i presją zewnętrzną. Dlatego awans właśnie Modżtaby stanowi logiczną kulminację tej długotrwałej tendencji. Elita duchowna zachowuje formalne atrybuty władzy, ale decydująca władza znajduje się teraz gdzie indziej. IRGC stało się najwyższym arbitrem reżimu" (A. Dubrowskij, „Czarna wola IRGC…"). Analitycy zauważają, że reżimy autorytarne zazwyczaj kończą się, gdy spełnione są trzy warunki: masowa mobilizacja społeczeństwa, rozłam w elicie rządzącej oraz przejście sił bezpieczeństwa na stronę opozycji. W przeszłości Iran często borykał się z pierwszym z tych czynników, ale dwa pozostałe, zdaniem ekspertów, praktycznie nie występowały. Bernard Urkad uważa, że koniec Islamskiej Republiki jest nieunikniony, ale nie jest bliski. „Każdy reżim prędzej czy później się kończy. Główne pytanie brzmi: kiedy dokładnie" (L. Barrucho, „Odetnij jedną głowę, a wyrosną nowe"…). ■

eprasa.pl d19016ffac

Tomasz Sakiewicz

Czy Tusk będzie miał swój kryzys

Zarządzanie państwem w demokracji to w zasadzie wieczna walka z wieloma kryzysami. Czasem osiągają one ostre stany, czasem są tylko zapowiadane przez powszechnie znane objawy. Cykl koniunktura–kryzys w zasadzie jest normalnością. A jednak jedne państwa z trudności wychodzą obronną ręką, inne mogą pogrążyć się w otchłani nieszczęść wewnętrznych i zewnętrznych. Oczywiście zewnętrzne okoliczności są ważne, ale ważniejsze są działania państwa, elit i społeczeństwa. Kiedy cały ekosystem państwa nastawiony jest na walkę z kryzysem, a przede wszystkim na rozwiązywanie problemów, załamaniom można zapobiegać, a kiedy przyjdą – pozbywać się ich. Zupełnie inaczej jest, gdy państwo i elity stawiają sobie inne cele. Wtedy działania są nieskoordynowane albo nikt ich nie podejmuje. Są więc osłabione lub wręcz przyspieszają kryzys.

Chyba nie było od 1989 roku gorszych czasów dla władzy niż te, w których działał rząd Morawieckiego. Największa od 100 lat epidemia i wojna na naszej granicy. To mogło doprowadzić gospodarkę do ruiny. Wyszła ona jednak z tego obronną ręką, zadłużenie państwa – jak na te warunki – było umiarkowane. Problem stanowiła sięgająca kilkunastu procent inflacja, która dotknęła większość krajów, szczególnie naszego regionu. Inflacja była praktycznie nie do uniknięcia. Państwa ratowały się przed recesją, pompując pieniądze w gospodarkę. Chwilę później w rynki paliwowe uderzyła panika związana z wojną na Ukrainie.

Inflacja bardzo pogorszyła nastroje społeczne, już i tak podminowane obostrzeniami i obawami związanymi z pandemią i wojną. Oczywiście rządząca przez osiem lat konserwatywna ekipa nie ustrzegła się wielu błędów, ale jak na tamte problemy – radziła sobie nieźle. Była nastawiona na szukanie rozwiązań, a nie na zagadywanie trudności. Strzałem w kolano stała się część projektu Polski Ład, podwyższająca składkę zdrowotną dla drobnych przedsiębiorców. Ta, wydawało się świetna, recepta na uzdrowienie finansów służby zdrowia okazała się bardzo szkodliwa dla setek tysięcy małych przedsiębiorstw i albo ograniczyła ich działalność, albo zepchnęła ich z rynku. PiS stracił szansę na utrzymanie władzy, ale sprawa składki zdrowotnej była też bombą z opóźnionym zapłonem, jeżeli chodzi o aktywność gospodarczą Polaków.

Nowy rząd przejął państwo w stosunkowo dobrym stanie. Od tej pory sytuacja jednak wyraźnie się pogarszała. Zupełnym zaskoczeniem był gwałtowny wzrost zadłużenia. Ekipa Tuska tłumaczyła to wyciągnięciem z zakamarków finansów publicznych ukrytych długów. Tak mogło być przez rok, maksymalnie dwa lata. W trzecim roku jednak sytuacja stała się jeszcze gorsza. Rząd zamiast przyglądać się niepokojącemu zjawisku, uwierzył we własną propagandę. Zadłużenie rosło z kilku powodów. Nic nie zrobiono w sprawie małych przedsiębiorstw, które schłodziły swoją aktywność. W efekcie zamiast większej składki, mamy niższe podatki. W makrogospodarce zamrożono bogate programy inwestycyjne, a rząd przestał walczyć z rosnącymi kosztami energii. Pojawiło się też wiele problemów z samą szczelnością systemu finansów publicznych. To charakterystyczne dla rządów Donalda Tuska. Problemy się skumulowały, ale nie musiały być krytyczne. Wystarczyła odrobina szczęścia. Tego jednak nie ma, kryzys w Zatoce Perskiej obnażył słabości tej władzy. Zamiast walczyć z rosnącymi cenami paliw, rząd chciał zatkać sobie dziurę budżetową. Teraz spirala inflacyjna rozkręci się na dobre. Kto miałby to zatrzymać? Raczej nie ta władza. Zagadać problemów już się nie da. ■

KIEDY CAŁY EKOSYSTEM PAŃSTWA NASTAWIONY JEST NA WALKĘ Z KRYZYSEM, A PRZEDE WSZYSTKIM NA ROZWIĄZYWANIE PROBLEMÓW, ZAŁAMANIOM MOŻNA ZAPOBIEGAĆ, A KIEDY PRZYJDĄ – POZBYWAĆ SIĘ ICH. ZUPEŁNIE INACZEJ JEST, GDY PAŃSTWO I ELITY STAWIAJĄ SOBIE INNE CELE. WTEDY DZIAŁANIA SĄ NIESKOORDYNOWANE ALBO NIKT ICH NIE PODEJMUJE.

eprasa.pl d19016ffac

InPost | GAZETA POLSKA | NIEZALEŻNA GAZETA POLSKA NOWE PAŃSTWO

Prenumerata Elektroniczna za **1 zł***

NOWOŚĆ!

Gazeta Polska i Nowe Państwo – teraz do odbioru przez Twój Paczkomat® InPost

Dostawa co środę / Bez kolejki / Bez kompromisów

ZESKANUJ

Zamów już teraz!

prenumerata.swsmedia.pl/inpost

*Kupując roczną prenumeratę Gazety Polskiej lub Nowego Państwa, otrzymasz dostęp do wersji elektronicznej za jedyne 1 zł – na cały okres prenumeraty.

eprasa.pl d19016ffac